

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

KWIAT DALEKIEJ PÓŁNOCY

James Oliver Curwood

ROZDZIAŁ I

DUŻO MOŻLIWOŚCI

Co za oczy! Co za włosy! Co za karnacja! Śmieję się jeśli chcesz, Whittemore, ale ja mówię, że nigdy nie widziałem tak pięknej dziewczyny!

Wyrazista twarz Gregsona, gdy patrząc przez stół na przyjaciela zapalał równocześnie papierosa, promieniała wprost entuzjazmem.

- Nie raczyła na mnie zerknąć, mimo że gapiłem się na nią otwarcie! — wzdychał. — I nie było rady! Wprost nie mogłem od niej oczu oderwać! Daję słowo, wymaluję ją jutro na okładkę dla Burkego. Burke przepada za okładkami do swego miesięcznika przedstawiającymi piękne kobiety. Słuchaj stary, dlaczego ty właściwie tak chichoczesz?

- Bynajmniej nie z powodu tej jednej historii! - tłumaczył Whittemore. - A widzisz, myślę sobie

...

Powiódł wzrokiem po wnętrzu ubogiej chałupy, oświetlonej tylko jedną lampą olejną zwisającą u sufitu. Gwizdnął cicho przez zęby.

- Myślę, czy znajdziesz na ziemi taki zakątek, gdzie nie groziłoby spotkanie z najpiękniejszą istotą świata. Ostatnia była w Rio Pedras, prawda Tom? Hiszpanka czy Kreolka? Zdaje się mam jeszcze przy sobie twój list, więc ci go jutro przeczytam. Wcale mnie zresztą nie zdziwiłeś. W Porto Rico są istotnie prześliczne dziewczęta. Ale nie sądziłem, że potrafisz nawet tutaj, w głuszy ...

— Ach, ta doprawdy bije wszystkie inne! — odparł artysta, otrząsając popiół z papierosa.

— Nawet tę dziewczynę z Valencji, hę? Rozbawiony Filip Whittemore przechylił się nieco przez stół, przy czym na jego przystojną, ogorzałą od wichru i mrozu twarz padło jaśniejsze światło lampy. Tom Gregson stanowił z nim zupełny kontrast; policzki miał gładkie, okrągłe, wąskie, wypieszczone ręce i budowę tak delikatną, że nieomal kobiecą. Po raz dwudziesty chyba tego wieczoru mocno uścisnęli sobie dłonie.

— Ty także nie zapomniałeś Valencji, co? — cieszył się malarz.

— Daję słowo, ależ rad jestem, że cię znowu widzę, Fil! Zdaje mi się, jak byśmy się nie spotykali od wieków, a toć to jeszcze nie ma trzech lat od powrotu z Południowej Ameryki. Valencja! Czy o niej kiedyś potrafimy zapomnieć! Gdy Burke wręczył mi przed miesiącem pierwsze, znaczniejsze honorarium, mówiąc: Tom robisz się sławny, potrzebujesz teraz wypoczynku - pomyślałem o Valencji, i zatęskniłem gorzko do tych dawnych dni, gdy we dwójkę omal nie rozpętaliśmy rewolucji. Ledwo nie straciliśmy głów przy okazji. Ciebie wyratowała odwaga, a mnie piękna dziewczyna!

— No i zimna krew! - roześmiał się Whittemore. — Wtenczas właśnie doszedłem do przekonania, że jesteś człowiekiem o najzimniejszej krwi, jakiego sobie tylko można wyobrazić. Czy próbowałeś dowiedzieć się, co porabia donna Izabella?

— Umieściłem dwukrotnie jej portret w miesięczniku Burkego. Raz jako Boginię Południowych Republik, a drugi raz jako Dziewczynę z Valencji. Wyszła potem za męża za tę nieciekawą kreaturę, plantatora z Carabobo, i sądzę, że są szczęśliwi.

— Zdaje mi się, że były jeszcze inne... - rozważał Whittemore z udaną powagą. — Na przykład ta w Rio, która miała przynieść ci majątek, byle zechciała tylko pozować do portretu. W zamian za ten komplement mąż jej zamierzał ci wsadzić sześć cali noża pod żebro, lecz wytłumaczyłem mu w porę, że jesteś młody, niedowarzony, i nawet niespełna rozumu ...

- Wytlumaczyłeś mi pięścią! - radośnie wrzasnął Gregson. - Ależ to był wspaniały cios! Widzę jeszcze ten nóż! Zaczynałem właśnie mówić Ojcie Nasz, gdy bac! I runął na podłogę. Zasłużył sobie na to w zupełności. Nie uczyniłem przecież nic złego. Moją najlepszą hiszpańszczyzną poprosiłem tylko piękną panią, czy nie raczy mi chwilę pozować? Kiego diabła uznał te niewinne słowa za obelgę? A ona naprawdę była piękna!

- Oczywiście! — przyznał Whittemore. — Jeśli sobie dobrze przypominam, była najpiękniejszą istotą na ziemi. Ale później przyszły jeszcze inne. Co najmniej ze dwadzieścia, każda bardziej czarująca niż jej poprzedniczka.

- Z tego się składa moje życie - rzekł Gregson, przy czym głos miał o wiele poważniejszy niż przedtem. — Mogę malować tylko kobiety, i to malować dobrze. Poczytałbym za wariata tego wydawcę, który zamówiłby u mnie rysunek bez ładnej twarzyczki. Niech im Bóg da zdrowie! Sądzę, że nie tak prędko zabraknie na świecie ładnych kobiet. Gdy w jakiejś kobiecie nie dostrzegam nic pięknego, chciałbym umrzeć ...

- Tylko po co podnosić każdą rzecz do najwyższej potęgi?

- Kiedy właśnie o to chodzi! Jeśli przypadkiem jest nazbyt blada, jak na przykład donna Izabella, w myśli ożywiam jej cerę i mam piękno bez zarzutu! Lecz moja dzisiejsza nieznajoma jest naprawdę bez zarzutu! Chciałbym jedynie wiedzieć co to za jedna?

- To znaczy, gdzie można ją znaleźć i czy zechce pozować do paru szkiców oraz jednego portretu na okładkę? -wtrącił Whittemore. — Przecież o to chodzi?

- Właśnie. Masz wyraźne zdolności wnikania w istotę rzeczy, Fil!

- Burke kazał ci przecież wypocząć.

Gregson posunął w stronę przyjaciela pudełko z papierosami.

- Burke jest poetycznym poczciwcem nienawidzącym żmij, pajaków i drapaczy chmur. Powiedział mi: Greggy, wypocznij sobie na łonie natury ze dwa tygodnie w ciszy i samotności zupełnej. Jako jedyne towarzystwo weź zmianę ubrania i bielizny oraz parę skrzyń piwa. Wypoczynek, przyroda, piwo co za banał! A ja marzyłem właśnie o Valencji, o donnie Izabelli, o krajach gdzie sama natura pieni się i musuje ustawicznie, jakby od zarania dziejów pojono ją szampanem. Tak Fil, twój list przybył w samą porę!

- A był przecież lakoniczny! — rzekł Filip. Wstał i niespokojnie począł przemierzać pokój wszerz i wzdłuż. -Obiecałem ci trochę przygód oraz prosiłem abyś przybył skoro ci tylko czas pozwoli. Dlaczego? Hm, dlaczego? ...

Zawrócił ostro, stanął i spojrzał na Gregsona.

- Chciałem cię mieć, gdyż to co się przytrafiło w Valencji, i to co w Rio, to były fraszki w porównaniu do piekła, które się tu rozpęta niebawem. Potrzebuję pomocy, rozumiesz? I nie o zabawę idzie! Prowadzę sam jeden grę na straconej placówce. Jeśli kiedyś przydać mi się może wierny druh, to właśnie teraz! Dlatego do ciebie pisałem.

Gregson odsunął krzesło i wstał. Był o głowę niższy od towarzysza i raczej wąty. Ale w chłodnych stalowobłękitnych oczach, w twardym zarysie brody miał coś przykuwającego uwagę. Szczupłe palce uściśniły dłoń Filipa niby stalowe kleszcze.

- Wreszcie przystępujesz do rzeczy, Fil! Czekałem cierpliwie niby Hiob albo niby nasz przyjaciel Bobby Tuckett, jeśli go pamiętasz, który począł zabiegać przed siedmioma laty o względy Minnie Sheldon, a ożenił się z nią nazajutrz po dniu, gdy otrzymałem twój list. Znadto byłem pochłonięty dociekaniem, co się kryje między wierszami twojej epistoły, aby móc iść na ślub. Nic zresztą nie odgadłem. Głowiłem się nawet daremnie całą drogę z La Paz. Wezwałeś mnie! Przybyłem. O co chodzi?

— W pierwszej chwili wydam ci się wariatem, Greggy! - zachichotał Whittemore, zapalając fajkę. - Twoja estetyczna natura będzie niewątpliwie urażona. Spójrz!

Chwycił Gregsona za ramię i powiódł go do drzwi.

Chłodne niebo północne jarzyło się od gwiazd. Chata, której ściany tonęły w splątanej gęstwinie wyrosłych w ciągu lata pnączy, stała u szczytu wyniosłego wzgórza, na Dalekiej Północy noszącego szumne miano góry. Wokół leżała dzika głusza, biało-szara w pobliżu, czarna w oddali. Dochodził z niej monotony płaczliwy szmer wodnego przyływu. Filip, oparłszy dłoń na ramieniu Gregsona, wskazał na samotną pustkę.

- Nie tak znów wielka odległość dzieli nas od Oceanu Lodowatego - rzekł. — Czy widzisz to światło podobne do ogniska, które raz przygasa, to znów pnie się w górę? Czy nie przypomina ci tej nocy, podczas której zmykaliśmy z Carabobo, a donna Izabella wskazywała nam drogę ucieczki? Wtenczas świecił nam księżyc. Teraz jest zorza północna. Słyszysz łoskot przyboru w zatoce? A w powietrzu czuć nawet bliskość gór lodowych. Za przełęczą górską, o karabinowy strzał, leży fort Churchill. Pomiędzy nami a cywilizacją, na przestrzeni czterystu mil, nie ma nic prócz indiańskich osiedli oraz faktorii Kompanii Zatoki Hudsona. Co za spokój pozorny, co za cisza! Tss, słyszysz, jak w fort Churchill wyją psy pociągowe? To głos dziczy, głos tego kraju! I ten przyływ oceanu, tak pełen tajemniczości. Gwarzy o sprawach dla człowieka niepojętych i w mowie dla nas nie zrozumiałej. Znasz się na pięknie, Greggy, to cię musi nieco wzruszać.

- Owszem. Ale dokąd sterujesz, Fil?

— Do celu, Greggy, wprost do celu, tylko bez pośpiechu. Zamierzam ci wyjawić dlaczego sprowadziłem cię tutaj. Waham się z wypowiedzeniem ostatniego słowa. Wygląda tak trywialnie wobec tego całego piękna, wobec twojej filozofii życiowej. Jakże tu bowiem przejść od donny Izabelli, do ryb!

- Do ryb?

- Właśnie, do ryb.

Zapalając nowego papierosa, Gregson trzymał przez chwilę zapałkę w ten sposób, by oświetlić nią twarz przyjaciela.

- Słuchaj no! - wybuchnął. - Nie sprowadziłeś mnie tu chyba dla rybołówstwa?

- I tak, i nie. Ale jeśli nawet tak, cóż w tym złego? Ujął Gregsona za ramię i z twardego uścisku palców

malarza poznał, że Filip tym razem mówi poważnie.

- Przypomnij sobie, co rozpętało rewolucję w Hondurasie, dwa tygodnie po naszym przybyciu do Porto Barrios? Dziewczyna, prawda?

- Słusznie, dziewczyna i nawet niezbyt ładna.

- I o jaki drobiazg poszło! Przypomnij sobie ten plac w Ceiba ocieniony palmami. Prezydent Belize pije wino z kuzynką, narzeczoną generała O'Kelly Bonilla, pół Amerykanina, pół Irlandczyka, wodza sił zbrojnych Republiki i najserdeczniejszego przyjaciela w dodatku. W chwili, gdy pozornie nikt nie zwraca na nich uwagi, Belize całuje kuzynkę, doprawdy jedynie po kuzynowsku. Lecz właśnie niepostrzeżenie nadchodzi O'Kelly i przyjaźń jego do prezydenta zmienia się w gorzką nienawiść o posmaku zazdrości. W ciągu trzech tygodni rozpętał potem rewolucję, pobił wojska rządowe, wygnał Belize'a ze stolicy, wciągnął do zamieszek Nikaraguę oraz zmusił do interwencji trzy francuskie, dwa niemieckie i dwa amerykańskie okręty wojenne. Sześć tygodni po owym niewinnym pocałunku O'Kelly sam został obwołany prezydentem. Pomyśl Greggy, taka błaża przyczyna i taki rezultat! Dlaczego ryba nie miałaby wywołać znacznie większej hecy?!

- Doprawdy zaczyna mnie to interesować! - rzekł Gregson. — Jazda Fil, przystąp do rzeczy. Nie

przeczę, że ryby kryją w sobie wiele możliwości. Gadaj!

ROZDZIAŁ II

ROZWÓJ WYPADKÓW

Trwali obaj chwilę w milczeniu, nasłuchując posępnego łoskotu przyływu huczącego poza ciemną linią boru. Potem Filip pierwszy zawrócił ku chacie.

Gregson poszedł w ślad za przyjacielem. W świetle wielkiej lampy olejnej zwisającej u sufitu zauważył w twarzy Whittemore'a niedostrzeżony poprzednio wyraz: twardy skurcz szczęk, niepokój oczu, bezpodstawne na pozór wzruszenie. Pewien był, że te cechy pojawiły się dopiero w ostatnich paru sekundach. Radość z powodu dzisiejszego spotkania, po dwuletniej niemal rozłące, rozwiała na krótko troskę gromadzącą się teraz na nowo.

Przypomniał sobie portret Whittemore'a naszkicowany z pamięci, jako wspomnienie owych czasów, które obaj pamiętali tak wyraźnie: chłodne, nieugięte rysy i równocześnie pogodny zuchwały uśmiech, zdający się drwić z wszelkich przeciwności losu; uśmiech człowieka zawsze gotowego do walki z żartem na ustach. Dał ten rysunek do miesięcznika Burkego, opatrując go tytułem: Dzielny Człowiek. Burke skrytykował go z powodu uśmiechu właśnie. Ale Gregson wiedział, co robi. Portret przedstawiał przecież Whittemore'a.

Coś się teraz zmieniło w Filipie. Postarzał się, postarzał zadziwiająco. Wokół oczu miał głębokie zmarszczki, a policzki mu zapadły. Znikł żywiołowy dobry humor, a ożywienie sprzed kwadransa było zaledwie nieudolnym wspomnieniem dawnej beztroski. Te dwa lata musiały wpleść w egzystencję Filipa wiele spraw niezrozumiałych, toteż Gregson zastanowił się chwilę, czy właśnie tym sprawom należy zawdzięczać, że z wyjątkiem ostatniego listu, przez cały ten czas nie otrzymał od szkolnego kolegi ani jednego słowa.

Skoro zajęli miejsce po obu bokach stołu, Filip wyjął z kieszeni niewielki zwitek papierów. Spośród nich wyciągnął mapę, którą z kolei wygładził dłonią.

— Tak — powiedział w zadumie. — Ryby kryją w sobie wiele możliwości. - Nie po to cię zresztą sprowadziłem, byś walczył z wiatrakami. Obiecałem ci prawdziwą walkę. Czyś widział kiedy schwytanego w pułapkę szczura? Drzwi pułapki stoją otworem, lecz u wylotu stróżuje krwiożerczy terrier. Podniecający sport dla więźnia, nie ma co gadać. Wyobraź sobie teraz na moment, że więźniem jest istota ludzka!

— Sądziłem, że będziemy mówić o rybach - wtrącił Gregson. — Tymczasem powiesz mi zaraz, że w pułapce siedzi dziewczyna albo że ktoś schwytał dziewczynę na wędkę ...

— A jeśli nawet tak - Filip uważnie obserwował towarzysza. — Jeśli ci powiem, że w pułapce siedzi kobieta ... dziewczyna ... niejedna dziewczyna nawet, tylko dziesięć, sto kobiet i dziewcząt. Co wtenczas. Greggy?!

— Walka oczywiście! I to co za walka!

— Na to się też zanosi, Greggy! Niecodzienna walka i niecodzienne zamieszanie. Przy tym weź pod uwagę, że łatwo nam przyjdzie zginąć, tobie i mnie. Jest nas przecież tylko dwóch. A zamierzam stawić czoło potędze, wobec której siły zaangażowane w rewolucjach południowoamerykańskich wyglądają jak cent przy dolarze. A teraz spójrz!

Podsunał mapę Gregsonowi, wskazując coś na niej palcem.

— Czy widzisz tę czerwoną smugę? To nowa linia kolejowa do Zatoki Hudsona. Dawno minęła już La Paz, przy czym jej twórcy pragną wykończyć pracę do wiosny. To najwspanialszy twór tego rodzaju na kontynencie amerykańskim, najwspanialszy, bo tak potrzebny, i tak długo odwołany.

Okolo stu milionów ludzi nie zauważyło dotychczas jego gigantycznego znaczenia i raptem otworzyły się im oczy. Ten szlak wiodący poprzez czterysta tysięcy mil dzikiej głuszy, otwiera dostęp do kraju zajmującego niemal połowę tej przestrzeni co całe Stany Zjednoczone, a bogactwa mineralne zawarte w tej ziemi dadzą więcej w ciągu lat pięćdziesięciu niż okolice Jukonu lub Alaska w ciągu całego okresu ich eksploatacji. Droga z Montrealu, Duluth, Chicago do Liverpoolu i innych portów europejskich skraca się o pełnych tysiąc mil. Zatokę Hudsona poczną nawiedzać liczne statki, na brzegach jej powstaną portowe miasta, a pod kręgiem polarnym wyrosną olbrzymie huty. Czy wiesz, że same okolice bieguna zawierają dość rudy żelaza i węgla kamiennego, by zaspokoić zapotrzebowanie całej kuli ziemskiej w ciągu setek lat. To tylko część korzyści, Greggy, jakie przynosi światu otwarcie nowej kolei. Pamiętasz, jak przed dwoma laty wybierałem się w te strony i proponowałem ci, byś jechał ze mną? Szukałem przygód, ale nie śniło mi się nawet ...

Umilkł, uśmiechając się jak dawniej zuchwale i beztrasko.

- Nie śniło mi się nawet, do jakich zadań los mnie przeznacza. Dążyłem drogą wytyczoną dla nowej linii kolejowej, wyglądając zajmującej okazji. Kanada spała wtenczas i nie nadarzało się nic, co by mnie mogło nęcić. Na wschód od przyszłej kolei towarzystwa przemysłowe wzięły już opcję na góry zawierające rudę żelaza lub na pola kryjące złoża węgla kamiennego. Na zachodzie wałęsałem się ja sam. Spędziłem sześć miesięcy pośród francuskich osadników, Indian i Metysów. Byłem z nimi, polowałem, nauczyłem się nieco francuskiego i narzecza Cree. Czuję się tam doskonale. Stałem się z duszy i serca człowiekiem Północy jakkolwiek brakło mi nieco doświadczenia. Kluby, bale, miejskie rozrywki znikły z mojej pamięci. Pamiętasz zresztą, że nienawidziłem zawsze siedzącego trybu życia i że wpływało to na mnie fatalnie. Tu znienawidziłem go jeszcze bardziej. Byłem po prostu szczęśliwy. I wtenczas... Zwinął pierwszą mapę, wyjął natomiast spośród papierów drugi plan, tym razem narysowany ołówkiem.

- I wtenczas Greggy — rzekł, rozprostowując plan na stole - znalazłem to czego szukałem. Objawienie zstąpiło na mnie pewnej gwiazdnej nocy, gdy siedziałem przy ognisku przed namiotem. Spójrz na tę mapę i powiedz mi co na niej widzisz?

Gregson słuchał jak urzeczony. Szczycił się, że w żadnej sytuacji nie traci głowy ani nie ujawnia miotających nim uczuć. Ta pozorna obojętność mogła mu czasem silnie zaszkodzić. Obecnie jednak niczego nie udawał; był mocno przejęty. W palcach trzymał nie zapalonego papierosa. Nie spuszczał oczu z twarzy towarzysza. Czekał na rewelację. Wobec zachęty Filipa spojrzał na rozłożoną przed sobą mapę.

— Nie ma tu nic szczególnego — rzekł. — Tylko rzeki i jeziora.

— Słusznie! — wykrzyknął Filip. Zerwał się niespodzianie i począł nerwowo przebiegać pokój. - Rzeki i jeziora! Setki, co mówię, tysiące rzek i jezior. Greggy, pomiędzy nami a cywilizacją, niedalej jak czterdzieści mil od nowej kolei, leży do trzech tysięcy jezior! Z tych, dziewięć dziesiątych roi się od ryb, aż niedźwiedzie zamieszkujące pobrzeża stale śmierzdzą rybą. Pstrągi, Gregson, najpiękniejsze pstrągi! Ogólnie biorąc, lustro wód na tej całej przestrzeni ma obszar trzykrotnie większy niż pięć Wielkich Jezior razem wziętych. Nikomu jakoś dotychczas nie przyszło na myśl, co to za bogactwo! Przecież tutejszą rybą można cały świat nakarmić! Przecież to milionowa wartość! Ta oto myśl spadła na mnie pośród nocy i rozważyłem zaraz, że gdybym tak mógł zapewnić sobie wyłączność na tych paru jeziorach zanim się zbuduje kolej ...

- Zostałbyś milionerem — poddał Gregson.

- Nie tylko to! - wtrącił Filip, przystając na chwilę pośrodku izby. - Na razie doprawdy nie myślałem o pieniądzach. Były stanowczo na drugim planie w moich rojeniach nocnych. Zobaczyłem natomiast, co zacios mogłaby wymierzyć Daleka Północ, jak grzmotnąć w zachłannych aferzystów

monopolizujących handel żywnością na całej przestrzeni Stanów! Przecież te niezmiernie zapasy ryby dałoby się sprzedać w Nowym Jorku, Bostonie lub Chicago z dużym zyskiem, a mimo to o połowę taniej niż sprzedaje trust! Nie myśl, że jestem wyłącznie filantropem! Spostrzegłem okazję do upokorzenia ludzi, którzy zrujnowali mego ojca, aż złamany umarł. Zabili go! Okradli mnie w parę lat później. Tak więc, opuszczając na krótko Daleką Północ, udałem się wpierw do Ottawy, a potem do Toronto i Winnipeg. Znalazłem Brokawa, starego kolegę mego ojca i wtajemniczyłem go we wszystko. Wspominałem ci kiedyś o Brokawie, jednym z najdzielniejszych, najzręczniejszych i najbardziej zajadłych bojowników zachodu. Rok po śmierci mego ojca stał już na nogach równie mocno jak wprzódy. Brokaw znalazł jeszcze paru wartościowych współników i poczęliśmy zabiegać o koncesję. Od razu szło jak z kamienia. Ledwo projekty nasze doszły do wiadomości ogółu, trudności jęły się piętrzyć zewsząd. Z dnia na dzień powstało Kanadyjskie Towarzystwo, zasobne w kapitał i poczęło się ubiegać o tę samą koncesję co my. Oczywiście Kanadyjskie Towarzystwo służyło do mydlenia oczu, a działał spoza niego trust! Czego tam nie było, oszczerstwa, kampania prasowa! I mimo to ...

Twarz Whittemore'a zmiękła. Roześmiał się, wyjął z kieszeni fajkę i zapalał ją uważnie.

— Nie potrafili dać nam rady, Greggy! Pojęcia nie mam jak się Brokaw do tego zabrał, wiem tylko, że przeciągnął na naszą stronę trzech członków parlamentu i pół tuzina innych polityków co nas zresztą kosztowało sto tysięcy dolarów! Ale nasi oponenti podnieśli taki gwałt, dowodząc że rdzenni Kanadyjczycy będą oburzeni na inwazję obcego elementu, iż otrzymaliśmy jedynie koncesję prowizoryczną i to z zastrzeżeniem, że rząd ma prawo cofnąć ją nawet przed upływem terminu. Mało mnie to obeszło, byłem bowiem pewien, że prowadząc interes uczciwie, po upływie pół roku przeciągniemy na swoją stronę całą ludność. Na końcowym zebraniu wyraziłem moje poglądy, po czym podzieliliśmy się pracą. Brokaw i pięciu dalszych współników miało prowadzić interesy na Południu, ja zaś miałem wyłączne kierownictwo spraw na Dalekiej Północy. Nie minął miesiąc, a już pracowałem. O, tutaj - tu pochylony nad ramieniem Gregsona wskazał palcem skrawek mapy - rozbiłem główną kwaterę mając do pomocy Mac Dougalla, szkockiego inżyniera. W ciągu pół roku mieliśmy nad jeziorem Ślepego Indianina stu pięćdziesięciu robotników, a pół setki łodzi zwoziło zapasy. Wszystko szło nawet gładziej niż myślałem. Zbudowaliśmy już przystań, dwa składy, lodownię, magazyny i wykańczaliśmy własną bocznice kolejową. Zatraciłem się w pracy. Zapomniałem nawet o istnieniu współników. Gospodarzyłem tak oszczędnie, że wydałem niespełna sto tysięcy dolarów. Po sześciu miesiącach, gdy zamierzałem właśnie wyjechać na południe, jeden z naszych magazynów wraz z towarem wartości dziesięciu tysięcy spłonął niespodzianie. Było to pierwsze niepowodzenie, gryzłem się więc należycie. Ledwo spotkałem Brokawa, ledwom się z nim przywitał, wygarnąłem od razu złą wieść.

Staął przed Gregsonem, nieco blady, i spoglądał nań uważnie.

- Wiesz co mi odpowiedział, Greggy? Obserwował mnie chwilę mając w kątach ust zagadkowy uśmieszek, po czym rzekł: To wszystko głupstwo, Filipie, nie ma się czym tak przejmować! Zarobiliśmy już przecież na tej rybiej kampanii okrągły milion dolarów! ...

Gregson wyprostował się na krześle.

- Milion dolarów! Bagatela!

— Milion! — potwierdził Filip z uśmiechem. — W Banku Narodowym miałem otwarty rachunek na sto tysięcy dolarów. Miła niespodzianka, co?

Gregson odłożył papierosa. Obie ręce oparł na stole. Milcząc oczekiwał dalszego ciągu.

ROZDZIAŁ III

REKINY GIEŁDOWE

Filip przechadzał się dobrą minutę wzdłuż i w poprzek izby. Przystanął znów.

- Milion, Greggy! Sto tysięcy czystego zysku dla mnie! Podczas gdy ja harowałem dniem i nocą chcąc pokazać społeczeństwu i rządowi co możemy i chcemy zrobić - podczas gdy w myśli święciłem zwycięstwo nad łapczywym trustem — oni również nie zasypiali gruszek w popiele. Brokaw i wspólnicy założyli przedsiębiorstwo pod nazwą Wielkie Północne Towarzystwo Rybackie, zarejestrowali je w New Jersey i zdążyli sprzedać akcje za milion dolarów! Gdy przybyłem, ruch wrzał w całej pełni. Ponieważ Brokaw miał upoważnienie do występowania w moim imieniu, więc okazało się raptem, że jestem wiceprzewodniczącym największej imprezy złodziejskiej ostatniego dziesięciolecia. Więcej pieniędzy szło na reklamę, niż na istotny rozwój przedsiębiorstwa. Moje listy pisane z Północy, pełne zachwyty dla podjętego dzieła, odbijano w setkach tysięcy egzemplarzy, i mydlono nimi ludziom oczu. Wyraziłem się w jednym liście, że gdyby eksploatować jedynie połowę znanych mi jezior, dałoby to jeszcze około miliona ton ryb rocznie. Ale w prospekcie Brokaw wykreślił ustęp następujący: „Dla eksploatowania połowy tych jezior trzeba by mieć około piętnastu tysięcy robotników, tysiąc wagonów chłodni i rozporządzać kapitałem pięciu milionów dolarów“. Rozmiar ich łotrostwa oszołomił mnie na razie, gdy zaś zagroziłem, że popsuję im szyki, Brokaw tylko parsknął śmiechem. Łotry, nie zaniechali żadnej ostrożności! Zaznaczyli we wszystkich prospektach, że Towarzystwo posiada jedynie prowizoryczną licencję, którą rząd może cofnąć w razie jakichś wykroczeń. I ta klauzula zjednała im zaufanie drobnych ciułaczy. Ta biedota właśnie, którą chciałem poratować tanią żywnością, wysupłała krwawo oszczędzany grosz na milion dolarów z górą. Oszukano ich gorzej, niżby to uczynił trust, bowiem trust zwraca część wkładów w formie procentów, a tu niewątpliwie akcjonariusze mieli wszystko stracić. I to była moja wina, Greggy! Ja byłem za to odpowiedzialny! Ja wymyśliłem całą tę kombinację! Moje listy zrobiły reklamę temu towarzystwu! Figurowałem przy tym wszędzie jako założyciel i wiceprzewodniczący!

Upadł na krzesło. Twarz lśniła mu od potu, choć w izbie panował raczej ziąb.

- Zostałeś mimo to? - spytał Gregson.

— Musiałem zostać. Co miałem robić? Nie mogłem zahaczyć Brokawa w żaden sposób. W przebiegłości i sprycie moi wspólnicy prześcignęli Bismarcka. Nie przekroczyli przy tym prawa. Sprzedali akcje za milion, podczas gdy wkłady wynosiły dotychczas sto tysięcy, ale gdy zrobiłem Brokawowi ten zarzut, uśmiechnął się tylko. „Ale my cenimy samą koncesję na przeszło milion!“ Miał rację. Ustawa nie przeszkadzała im cenić koncesji na milion albo nawet wyżej! Cóż mogłem zrobić wobec tego? Zrezygnować ze stanowiska, z tych stu tysięcy i ogłosić publicznie, co mnie do tego skłania. Omal tego nie uczyniłem, ale w porę przyszła refleksja. Istniała jeszcze możliwość dać Towarzystwu uczciwy dochód. Brokaw i kompania zostali po prostu zaskoczeni moją decyzją. Przekonałem ich co do wielkich istniejących naprawdę możliwości. Obliczyłem, że w ciągu dwóch lat Towarzystwo powinno wypłacić udziałowcom pięćdziesiąt centów od akcji dziesięciodolarowej. Trzech członków zarządu wycofało się jednak i to z ogromnym zyskiem. Zagrabili cudze pieniądze, a ja byłem tego mimowolnym sprawcą.

Zacisnął ręce tak silnie, że błękitne żyły napęczniały na nich jak postronki.

- Potem ...

- Co potem? ... — nieśmiało spytał Gregson. Filip rozluźnił palce.

- Gdyby się na tym skończyło, nie wzywałbym cię -rzekł. — Wałkowałem długo tę sprawę, chciałem bowiem być ją dobrze od początku pojął. Pożegnałem więc Brokawa i przybyłem znów na Północ. Miałem teraz wystarczające środki do postawienia przedsięwzięcia na właściwej stopie. Zwerbowałem jeszcze dwustu ludzi, założyłem dwadzieścia nowych stacji rybackich, zbudowałem drugą bocznicę do linii kolejowej i począłem wznosić olbrzymią tamę na jeziorze Ślepego Indianina. Mieliśmy już trzydzieści koni przygnanych z La Paz przez puszcę, a dwadzieścia dalszych zaprzęgów było w drodze. Nie liczyłem teraz na większe trudności, pewien, że dalsza praca pójdzie gładko, gdy Brokaw obwieścił mi nowy, gorszy kawał.

Niemal natychmiast po moim wyjeździe napisał list, który zresztą długo błędził w drodze. Powiadał w nim, że wykrył spisek mający na celu rozbicie naszego Towarzystwa, że potężne siły wchodzą tu w grę i mają nam szkodzić gdziekolwiek się ruszymy. Był najwidoczniej w wielkim strachu. Potężny trust, z którym ośmieliliśmy się zadrzeć, przystępował do likwidacji naszej spółki. Wysłali już na Północ swoich emisariuszy. Szło o wywołanie zamieszek pomiędzy nami, a miejscową ludnością, które zmusiłyby rząd do wkroczenia. Pamiętasz, że nasza licencja była jedynie czasowa? Właściwie ludność miała zdecydować, czy możemy tu zostać dłużej, czy nie. Jeśli wybuchnie antagonizm, rząd wkroczy niewątpliwie i stracimy koncesję.

Zrazu list Brokawa zaniepokoił mnie jedynie w drobnej mierze. Znałem przecież ludność miejscową. Wiedziałem, że Indianie, Metysi, Francuzi są również nieczuli na przekupstwo jak Brokaw na głos sumienia. Lubiłem tuziemców; ufałem im. Uczciwość jest wśród nich przysłowiowa, mimo że nie posiadają tak jak my kościoła na każdym rogu i kaznodziei na każdej ulicy, pod otwartym niebem nawet. Pełen oburzenia odpisałem Brokawowi, że ci dzikus, jak ich nazywa, nie dadzą się z pewnością skusić ani pieniędzmi, ani wódką. A jednak ...

Otarł czoło z potu. Zmarszczki wokół ust pogłębiły się silniej.

- Greggy, w tydzień po otrzymaniu przestrogi od Brokawa, spłonęły nam dwa składy nad jeziorem Ślepego Indianina. A jeden skład stał od drugiego o trzysta jardów. Nie wątpiłem ani chwili, że padły ofiarą podpalenia!

Czekał milcząc, lecz Gregson nadal obserwował go również w milczeniu.

— Tak się zaczęło przed trzema miesiącami. Odtąd, na każdym kroku czuję obecność złej siły. Tydzień po pożarze składów spłonęły warsztaty przeznaczone do budowy łodzi, które wystawiliśmy znacznym kosztem u ujścia Szarego Bobra. Nieco później, przypadkowy rzekomo i niewątpliwie przedwczesny wybuch dynamitu, przysporzył dwa tygodnie pracy dla pięćdziesięciu ludzi oraz dziesięć tysięcy dolarów wydatków. Zorganizowałem specjalną służbę bezpieczeństwa złożoną z pół setki najzaufańszych robotników, ale wynik był naprawdę żaden. Niedawna powódź zmyła trzy mile toru kolejki dojazdowej. U szczytu wzgórza, opodal było małe jeziorko; otóż czyjaś zbrodnicza ręka założyła tam potężną minę i wybuch rozsadzając skalną krawędź wyzwolił całą masę wód. Kimkolwiek są nasi wrogowie niewątpliwie orientują się znakomicie w naszych poczynaniach i uderzają zawsze w miejsce najczulsze a najslabiej strzeżone. A najciekawsze, mimo iż usiłuję zataić nasze straty, wieść o tych zamachach rozlewa się coraz szerzej i dotarła już do Churchill. Ludzie plotą, że tuziemcy wypowiedzieli nam wojnę i chcą nas przegonić za wszelką cenę. Dwie trzecie robotników już w to wierzy. Mój inżynier, Mac Dougall skłania się także w stronę pesymistów. Pośród robotników: Francuzów, Indian i Metysów szerzy się podejrzliwość i ferment. Niepokój, niezadowolenie rosą z godziny na godzinę. Jeśli tak dalej pójdzie, nas czeka zupełna ruina, a wrogów naszych niewątpliwie zwycięstwo. Jeśli nie zdołamy położyć temu kresu, to w ciągu miesiąca najdalej cała ziemia od fortu Churchill po pustkowie spłynie krwią, budowa kolei stanie w martwym punkcie, a rozwój tego kraju cofnie się o dobrych sto lat. I ta zbrodnia, ta podłość ...

Filip blady, skupiony, zaciskając szczęki, wyjął z kieszeni obszerny list pisany na maszynie. Podał go Gregsonowi.

- Ten list zawiera ostatnie słowo - wyjaśnił. - Przeczytaj go, a dowiesz się rzeczy, których nie zdążyłem powiedzieć. Nie jest przeznaczony dla mnie, ale przypadkowo otrzymałem go wraz ze swoją pocztą i spostrzegłem omyłkę dopiero po otwarciu koperty. Pochodzi ze sztabu naszych przeciwników, a siedł pod adresem ich głównego agenta.

Umilkł i obserwował jak Gregson pochylony, czyta szczerlnie zapisane arkusze. Spostrzegł skurcz palców przyjaciela w chwili obracania pierwszej kartki. Zauważył, jak blednie twarz młodego malarza, jak mu sztywnieją ramiona i ręce. Skończywszy czytać Gregson podniósł głowę.

— O, Boże! — westchnął.

Po czym obaj mężczyźni spojierali na się długo bez słowa.

ROZDZIAŁ IV

PLANY WROGÓW

Filip przemówił pierwszy.

— Teraz już rozumiesz?

— Ależ to niemożliwe! — wyjąkał Gregson. - Nie mogę w to uwierzyć! Podobne rzeczy działy się być może przed tysiącem lat, ale nie teraz! Na miłość boską, człowieku nie mówisz mi chyba, że ty bierzesz to na serio?!

— A jednak tak! - oświadczył Filip krótko.

— To niemożliwe! — mówił Gregson, mnąc list w rękę. — Nie wierzę, by istniał człowiek zdolny do rozpętania podobnej klęski!

Filip uśmiechnął się posepnie.

— A jednak taki człowiek żyje i działa. Greggy, znałem ludzi, którzy wyrzucali miliony, poświęcali honor i uczciwość, wydawali na śmierć głodową tysiące kobiet i dzieci po to jedynie, by zwyciężyć w jakiejś kombinacji finansowej. Znałem aferzystów łamiących nieomal każde prawo boskie czy ludzkie. No, a ty? Czyż nie stykałeś się z nimi niejednokrotnie, czy nie rozmawiałeś z nimi, nie paliłeś ich cygar, nie siedziałeś przy ich stole? Spędziłeś przecież tydzień w wiejskiej posiadłości Seldena, a któż jak nie Selden spekulował przed trzema laty na pszenicy i podniósł sztucznie cenę chleba o dwa centy na funcie? To Selden wywołał zamieszki głodowe w Chicago, Nowym Jorku i dwudziestu innych miastach, a potem zapełnił więzienia tłumem nędzarzy! A Selden jest przecież zaledwie jednym z tysiąca żyjących dziś rekinów! Minęły czasy romantyczne, Greggy! Teraz wszechwładnie panuje dolar! Dolar nie zna łaski ani pobłażania! Ludzie pokroju Seldena nie dbają o łzy kobiet i dzieci! Dolar z pończochy nędzarki ma dla nich tę samą wagę, co pieniądz z kieszeni twojej lub mojej. Cóż ich w ogóle powstrzyma?!

Gregson rzucił na stół list zmięty niby szmatę.

- Muszę jeszcze coś wyjaśnić! — rzekł, patrząc uważnie w bladą twarz Filipa. — Sprawia przecież wrażenie, że toczyła się obszerna korespondencja między tymi osobami, a list który mi dałeś pieczętuje ją niejako. Wynikałoby stąd, że twoi wrogowie potrafili już podjudzić przeciw tobie ludność miejscową. Teraz obmyślają cios ostateczny...

Przerwał, mając w oczach wyraz przerażenia. Filip skinął głową twierdząco.

- Widzisz, Greggy, tu panuje jedno prawo, niepisane. Przed rokiem odwiedziłem Prince Albert i siedziałem sobie kiedyś na werandzie starego Hotelu Windsor. Towarzystwo składało się wyłącznie z myśliwych i traperów przybyłych na parę dni do miasta z głuszy leśnej. Większość spośród nich żyła w lesie okrągły rok. Dwóch od pięciu lat przebywało w głębi barren. Gdy tak siedzieliśmy, na ulicy pojawiła się kobieta. Skręciła w naszą stronę. Od razu rozmowy umilkły, a ten i ów niespokojnie poruszył się na krześle. W chwili, gdy nas mijała, wszyscy, co do jednego porwali się na nogi i stali tak długo z odkrytymi głowami, aż kobieta przeszła. Ja jeden tylko siedziałem nadal. Otóż Greggy, to jest właśnie prawo tutejsze, mocne choć niepisane: cześć mężczyzny dla kobiety. Wolno ci kraść, zabijać, ale nie wolno kobiety znieważyć! Złodzieja lub mordercę ściga tylko policja; ten kto złamie najwyższe prawo, ma przeciwko sobie całą ludność. I właśnie ten list zawiera plan spisku, który by obrażając w najwyższym stopniu uczucia leśnych mieszkańców cały ich gniew obrócił przeciwko nam! Jeśli plan się powiedzie, jesteśmy zgubieni!

Teraz Gregson zerwał się z krzesła. Przebiegł pokój, stanął, zapalił nerwowo papierosa i

spojrzał w twarz Whittemore'a.

- Rozumiem już! - rzekł. - Jeśli plan się powiedzie mieszkańcy leśni zetrą was z powierzchni ziemi. Ale — tu zastanowił się chwilę — dlaczego nie oddasz tej sprawy w ręce władz albo w ręce policji? Przecież chyba musisz wiedzieć dla kogo list był przeznaczony?

Filip wręczył mu przybrudzoną kopertę, z rodzaju tych, w jakich przesyła się zazwyczaj dokumenty urzędowe.

- Tu masz adres?

Gregson gwizdnał cicho przez zęby.

- Lord Fitzhugh Lee! - przeczytał wolno jak gdyby własnym oczom nie wierząc. - Na miłość Boską angielski arystokrata?

Filip uśmiechnął się cynicznie.

- Może i arystokrata. Ale jeśli zamieszkuje tę okolicę to w każdym razie nikt go tu nie zna. Nikt o nim nie słyszał. Policja poczyta rzecz całą za głupi kawał. Co znaczy jeden list, bez żadnych innych dowodów? A zwracać się do sfer rządowych, na to znów nie starczy czasu. Za daleko i za wolno idzie procedura. Co do policji zaś: na całej tej przestrzeni mamy trzech przedstawicieli władzy, którzy patrolują obszar piętnastu tysięcy mil kwadratowych: gąszczy leśnych, gór i prerii. Nie Greggy, owego lorda Fitzhugh musimy znaleźć my sami. I to znaleźć bez zwłoki...

- A jeżeli nam się nie powiedzie, co wtenczas?

- Trzeba się będzie strzec. Wiesz obecnie tyle samo co i ja. Występują jednak dalsze zagadki. Sądziłem na razie, że rozumiem powód, dla którego nas tak zwalczają. Ale obecnie widzę, że musiałem się jednak mylić. Jeżeli zrujnują nasze Towarzystwo w tak ohydny sposób, zamkną tym samym na długie lata dostęp każdej innej kompanii. Więc musi tu być coś jeszcze...

- Niewątpliwie - powiedział Gregson. Filip zawahał się z odpowiedzią.

- Tak niewątpliwie - rzekł wreszcie. - Słuchaj Gregson, wysnuj teraz własne wnioski, a potem zestawimy nasze podejrzenia. Kluczem do sytuacji jest lord Fitzhugh Lee. Ktokolwiek kieruje akcją, lord Fitzhugh jest głównym jej wykonawcą. Mniej mnie obchodzi ten kto pisał list, niż ten dla którego był przeznaczony. Jak widzisz adresowano go do Churchill, ale lord Fitzhugh Lee wcale się tam nie pokazał. Sprawdzałem już te rzeczy. Mam wrażenie, że tajemniczy Anglik nie był tam nigdy.

- Dałbym rok życia za egzemplarz „Dod's Peerage“ albo „Who's Who“ — rozważał Gregson, strząsając popiół z papierosa. — Ki diabeł, ten lord Fitzhugh? Co za Anglik bawiłby się w ogóle w podobne świństwa?

Filip poweselał wyraźnie.

- Jak widzę - rzekł — zaczynasz już łamać sobie głowę. W ciągu ostatnich trzech dni niejednokrotnie zadawałem sobie to pytanie i nie zdołałem wymyślić odpowiedzi. Gdyby nazwisko brzmiało po prostu Tom Brown lub Bill Jones, sprawa byłaby jasna. Ale co ma tu do roboty lord Fitzhugh Lee?!

Pozostawali chwilę obaj w milczeniu.

- Nasuwa mi się myśl... - zaczął Gregson.

- Słucham!

- Że sprawa jest bardziej jeszcze skomplikowana niż się nam wydaje. Może te ryby i wasze Towarzystwo stoją na dalszym planie, a główną kwestią jest... bo ja wiem co? W każdym razie coś niezmiernie ważnego...

- Ja też tak sądzę! — potwierdził Filip spokojnie.

- Czy podejrzewasz chociaż, o co właściwie chodzi?

- Nie mam zielonego pojęcia. Wiem tylko, że kapitał brytyjski jest bardzo zainteresowany

złożami mineralnymi, położonymi na wschód od przyszłej linii kolejowej. Ale oni nie mają żadnego przedstawiciela w Churchill. Kierują wszystkim agenci z Montrealu i Toronto.

- Czy pisałeś do Brokawa w sprawie tego listu?

— Jesteś pierwszym człowiekiem, którego w ogóle wtajemniczam w tę sprawę. Zapomniałem nadmienić, że Brokaw tak się przejął tutejszą pracą, że sam przybywa na Daleką Północ. Statek Kompanii Zatoki Hudsona, kursujący dwa razy do roku, odwiedzi niebawem Halifax i jeśli Brokaw nie zmienił zdania to powinien się zjawić lada dzień, ściślej mówiąc mniej więcej za tydzień. Ale, ale — tu Filip wstał, pracowicie grzebiąc w kieszeni i uśmiechając się do przyjaciela — cieszy mnie, że obok przykrych rzeczy, mogę ci także donieść coś przyjemnego. — Panna Brokaw przybywa wraz z ojcem. Jest bardzo ładna.

Gregson, zapalając właśnie papierosa, trzymał zapałkę w palcach tak długo, aż mu sparzyła palce.

— Serio? Słyszałem nawet o niej!

— Oczywiście, musiałeś słyszeć o jej urodzie. Nie jestem takim kobieciarzem jak ty, Greggy, ale tu skłaniam głowę. Przyznasz niewątpliwie, że jest to najpiękniejsza kobieta jaką widziałeś kiedykolwiek i zechcesz malować jej portret na okładkę do miesięcznika Burkego. Będziesz się tylko dziwił, po co tu w ogóle przyjeżdża. Ja również nie mogę tego zrozumieć.

Miał istotnie zamyślony wyraz oczu. Ale Gregson wstał właśnie i podszedłszy do drzwi spoglądał w mrok nocny.

— Powiedz mi Fil - spytał — skąd się tu biorą takie ogromne i tak silnie błyszczące gwiazdy?

— Po prostu powietrze jest przejrzystsze niż gdzie indziej. W porównaniu do naszej, miejskiej atmosfery, to tak jak kryształowa szyba wypucowana do czysta.

Gregson gwizdał chwilę po cichu. Potem rzekł nie odwracając głowy.

— Musiałyby być istotnie niezwykłą piękną, by się równać z dziewczyną widzianą przeze mnie dziś wieczór. Mówię o panie Brokaw.

— Nie lubię zakładów — odparł Filip — ale tu, gotów jestem założyć się o najbardziej elegancki kapelusz z Nowego Jorku, że panna Brokaw jest z pewnością urodziwsza.

— Zakład stoi! — oświadczył Gregson ochoczo. — To nas nawet trochę rozerwie, Fil! I w ogóle na dziś mam dosyć poważnych spraw. Skończę teraz rysunek, który szkicuję z pamięci, bo gotów jestem zapomnieć najbardziej charakterystyczne cechy. Masz coś przeciwko temu?

— Nic, a nic. A ja pójdę trochę odetchnąć świeżym powietrzem.

Wciągnął płaszcz, po czym zdjął czapkę ze ściany, gdy tymczasem Gregson temperował pod lampą ołówki. Filip był już w progu, ale malarz wyjął właśnie z kieszeni starą kopertę i rzucił ją na stół.

— Jeśli spotkasz osobę podobną do tej — rzekł wskazując głową — przemów dobre słowo za mną. Szkicowałem zresztą w takim pośpiechu, że mało przypomina oryginał. W rzeczywistości jest o wiele piękniejsza.

Filip śmiejąc się wziął do ręki kopertę.

— Najpiękniejsza istota na świecie ... — zaczął. Urwał niespodziewanie. Gregson, podnosząc głowę znad temperowanego ołówka, zobaczył, że z twarzy przyjaciela znika uśmiech i że na smagłe policzki wypływa gwałtowny rumieniec. Filip obserwował długą chwilę rysunek na kopercie, po czym przeniósł wzrok na malarza.

Teraz Gregson roześmiał się z kolei wesoło i niepodejrzliwie.

— No i jakże wygląda wobec tego twój zakład? - zadrwił dobrodusznie.

— Jest doprawdy bardzo piękna — wyjąkał Filip, obrócony już w stronę drzwi. — Nie czekaj na

mnie Greggy, kładź się spać, gdy będziesz senny.

Słyszał jeszcze za sobą śmiech malarza i zastanowił się chwilę, co by rzekł przyjaciel dowiedziawszy się prawdy. Bo przecież rysunek naszkicowany śpiesznie na odwrotnej stronie starej koperty, przedstawiał śliczną twarzyczkę Eileen Brokaw.

ROZDZIAŁ V

DZIWNE SPOTKANIE

O kilkanaście kroków za progiem, w cieniu wyniosłej jodły, Filip zatrzymał się chwilę niepewny, czy wrócić do chaty, czy też iść dalej. Z miejsca, na którym stał widział Gregsona, pochylonego nad stołem, zabierającego się już do pracy.

Filip musiał przyznać, że rysunek wstrząsnął nim. Krew uderzyła mu do głowy i tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności Gregson nie domyślił się prawdy. Panna Brokaw była zresztą oddalona o tysiąc mil co najmniej. Jeśli statek opuścił już Halifax, płynęła teraz po północnej części Atlantyku. Nigdy dotychczas nie odwiedziła Dalekiej Północy. Ponadto, Gregson nie spotkał z całą pewnością córki starego Brokawa, znając ją tylko z opowiadań przyjaciela oraz z kroniki towarzyskiej w pismach. Jakim więc cudem naszkicował ją tak wiernie?

Przysunął się nieco do otwartych drzwi, lecz po namyśle stanął znowu. Jeśli wróci i pocznie wypytywać malarza, zdradzi się niewątpliwie z jedyną rzeczą, którą chciał właśnie zachować w tajemnicy. Cóż znaczy ten szkic? Łudzące podobieństwo, nic więcej. Czy mało jest na świecie twarzy zupełnie do siebie podobnych?

Zdecydowany już, począł iść gęstwą jodłową, aż dotarł do wąskiej ścieżyny wiodącej na nagi szczyt wzgórza. Na razie jednak las nacierał, zewsząd gasząc lśnienie księżyca i gwiazd, toteż Filip macał wokoło rękami, niby ślepiec.

U szczytu natomiast było zupełnie jasno, a krajobraz szary i czarny szeroko rozpościerał się wokół. Od północy zatoka sprawiała wrażenie rozległej łąki. W odległości pół mili parę świateł: czerwonych mrugających oczu — zdradzało obecność fortu Churchill. Południe i zachód miały jednolity, siwy odcień.

Filip przechylił się nieco przez wielki głaz, opierając łokcie na gęstej, zielonej ściółce mchu. Patrzył i dumał. Czuby jodeł w dolinie szemrały łagodnie. Spośród konarów dolatywało niskie hukanie sowy. Nie po raz pierwszy wabił go zew nocy, każąc marzyć przy świetle gwiazd, zamiast spokojnie spać w łóżku. Dzisiaj głos przyrody przemawiał natrętniej niż kiedykolwiek. Zdawał się być czymś namacalnym, czymś blisko obecnym, siedzącym obok na odległość ręki. Częściowo nastrój ten wywołała rozmowa z Gregsonem; częściowo, w znacznej mierze nawet, wizerunek kobiety tak bardzo podobnej do Eileen Brokaw.

Myślał już wyłącznie o niej. Czy panna Brokaw zauważy cokolwiek, gdy tu przybędzie? Czy jej łagodne, szare oczy przenikną go do głębi duszy, jak przeniknęły niegdyś owej nocy tak zdaje się niezmiernie odległej? Było mu smutno. Po raz drugi tego dnia czuł cierpienie równie dotkliwe, jak ból fizyczny. Gryzła go tęsknota. Pożałował, że wezwał Gregsona. Gregson i Eileen należeli teraz właściwie do tego samego świata. Niepotrzebnie odnawiał wspomnienia.

Było mu gorąco, mimo że od niedalekich lodowców dał wyraźnie mroźny powiew. Wspominał dawne życie. Widział Filipa Whittemore'a takiego, jakim był niegdyś, przed katastrofą. Samotność przygniatała go coraz bardziej. Spoza czarnej gęstwiny jodeł szumiącej u stóp, spoza mglistej dali wyzierała miniona przeszłość. Jak mu świat stał otworem. Jak się wdzięczyło wszystko. Jak wszystko runęło naraz w przepaść.

Zacisnął kurczowo pięści. Śmierć ojca, ruina materialna, oto co mu przypadło w udziale. Walczył długo, takiego już miał bojowego ducha. Zrywał się na nogi ze złowieszczym uporem. Pomału zerwał z dawnymi przyjaciółmi, przestał uczęszczać do klubu i zobojętniał na pokusy wielkomiejskie.

Zapraǳnął rzeczy nowych, większych: pracy i przestrzeni. Nikt nie mógł pojąć zmiany, jaka w nim zaszła. Nikt go nie rozumiał. Raz jeden myślał, że znajdzie wreszcie bratnią duszę.

Odetchnął głęboko, westchnął prawie wspominając pewien bal w pałacu Brokawa. Słyszał trajkotanie gości, śmiech kobiet i mężczyzn, szmer jedwabi, a potem wśród względnej ciszy słodkie tony ulubionego walca. Muzyka zaczęła właśnie grać, gdy przystanął poza kępą palm, chcąc zajrzeć głębiej w cudne oczy Eileen Brokaw. Widział samego siebie, pochylonego nad jej szczupłymi, białymi ramionami, pijanego jej niezwykłą urodą. Zbladła w oczekiwaniu tego, co zaraz powie. Miesiącami walczył, opierając się jej wdziękowi. Poddawał się już nieraz, lecz w ostatniej chwili zawsze potrafił opanować serce i umysł. Obserwował przecież, jak ta anielska na pozór dziewczyna rani serca męskie, i jak później lekkomyślnie opowiada o swych podbojach. Wiedział, że poza niewinnym wejrzeniem szarych oczu, czai się głód hołdów; że sens życia tej światowej panny to właśnie bezmyślna zabawa i nic więcej. Szczerość była tu tylko maską.

Roześmiał się po cichu, gdyż minione chwile stawały mu w pamięci coraz wyraźniej. Oto niezdara Ransom wlaźł między palmy i ocierając czerwoną spoconą twarz plótł coś trzy po trzy na ucho małej miss Meesen. Niezgrabiasz Ransom ocalił Filipa. Namiętne słowa zamarły mu na ustach; gdy zaś Ransom i panna Meesen odeszli wreszcie chichocząc, zamiast mówić o miłości, Filip zaczął mówić o sobie. Miał jeszcze nadzieję, że go zrozumie, odczuje pustkę w jego egzystencji i zechce mu współczuć.

Wyśmiała go po prostu!

Wstała z kanapki z ogniem w oczach. Gdy przemówiła, głos załamywał się jej nieco. Z daleka dobiegał głośny śmiech Ransoma; piękna panna wzgardliwie wydeła wargi. Nienawidziła w tej chwili półgłówka, który jej zabawę popsuł; nienawidziła Filipa, że tak łatwo zmienił bieg myśli. Odeszła nie odwracając głowy, a Filip odetchnął z ulgą. Ransom ani się domyślał, dlaczego Whittemore odnalazł go chwilę później i wylewnie uściśnął mu rękę.

Wciąż jeszcze nie mógł się oderwać od tamtych wspomnień; machinalnie odwróciwszy się do skały, począł zstępować w dół, ku zatoce. Myślał, co porabia teraz głupekowaty Ransom, który tak lekkomyślnie wydawał co do grosza dochody ojcowskie? A Harry Dell, Roscoe, ogromnego wzrostu Dan Philips i trzech czy czterech innych młodych ludzi, zakochanych bez pamięci w Eileen Brokaw? Dell wielbił nawet ziemię, po której stąpały jej drobne stopy, a gdy go odtrąciła niemiłosiernie, podobno palnął sobie w łeb! A Roscoe? Ten z pewnością odniósłby zwycięstwo, gdyby nie krach finansowy, który zmiotł jego firmę i uczynił zeń raptem nędzarza. Roscoe wyemigrował później do Kolumbii Brytyjskiej, gdzie usiłował znów zrobić majątek. Co do wielkiego Dana zaś ...

Filip zawadził nogą o głaz, upadł i wstał z rozbitym kolanem. Wstrząs przywołał go do rzeczywistości, toteż chwilę później, pocierając bolącą nogę, wyzywał sam siebie od wariatów. Cóż stąd, że Brokaw z córką zbliżają się do tych wybrzeży? Piękna Eileen nie obchodzi go już nic a nic. Mruczając te i tym podobne zapewnienia, skręcił w stronę Churchill.

Nocy tej gwiazdy i księżyc były jeszcze jaskrawsze niż zazwyczaj. Krajobraz wkoło: nawisie głązy, spadzisty brzeg, skraj boru i rozległa przestrzeń zatoki pławiły się w świetle nieomal dziennym. Spojrzawszy na zegarek Whittemore stwierdził, że minęła już dwunasta. Jakkolwiek zerwał się dziś przed świtem, nie czuł wcale znużenia ani potrzeby snu. Zdjąwszy czapkę szedł z odkrytą głową, stąpając cicho obutymi w mokasyny nogami. Szeroko otwierając oczy, chłonał czujnie otaczające piękno.

Na przedzie spiętrzyła się masa skalna, wygładzona i wyslizgana w ciągu wielu wieków chłostaniem wzburzonych fal. Filip wdarł się aż na górę, zdyszany, lecz rad. Obracając głowę, poszukał śpiącego na wybrzeżu fortu Churchill.

Fort mieścił się od stuleci w tym samym miejscu, pomiędzy dwoma zalesionymi garbami. Idąc górą, Filip minął starą przystań, budowaną z bloków skalnych przed stu pięćdziesięciu laty, dla pierwszych okrętów jakie się ośmieliły zawieruszyć na to obce morze. Przystanął ponad jeszcze starszymi szczątkami pierwszej warowni i dostrzegł, że światło miesiąca igra na brązowej lufie antycznego działa, porzuconego wśród ruin jako zbędny grat.

Zobaczył potem w dole niskie, drewniane budynki, i wyczuł w powietrzu obecność wielu śpiących istot. Były tam chaty robotników, składy narzędzi i towarów, biura, urzędy. Miejsce dawnych, zuchwałych zdobywców zajęli ludzie walczący o dolara.

W jednym z domostw błysnęło naraz światło. Filip wiedział, że są to biura Towarzystwa Kopalnianego Kewatin, i Kompanii Skupu Gruntów. Światło oraz przysadzisty cień starego Pearse'a na firance okiennej, skierowały myśli Filipa na inne tory. Znał Pearse'a odkąd ten ostatni przybył do Churchill i uderzyło go raptem, że właśnie człowiek tego pokroju może być identyczny z lordem Fitzhugh Lee. Towarzystwo Kopalniane Kewatin oraz Kompania Skupu Gruntów posiadały bardzo niewiele terenów, zarówno kopalnianych jak innych, tymczasem Pearse nadmienił niegdyś, że interes ich rozwija się znakomicie, sprzedają bowiem na południu prawa do działek zawierających bogactwa mineralne, jakkolwiek eksploatacja tych bogactw rozpocznie się dopiero za nieokreśloną ilość lat. Ale - przyszła Filipowi gorzka refleksja - czyż moje przedsiębiorstwo nie popełnia tego samego nadużycia?! ...

Gorycz rozpanoszyła się w nim na nowo. Nie jest niczym lepszym od Pearse'a ani od lorda Fitzhugh Lee. Jakże los z niego zadrwił! Zły i zgnębiony kroczył szybko samą krawędzią urwiska, aż w dole, poza budynkami Kompanii Zatoki Hudsona, zobaczył jarzące głównie paru indiańskich ognisk. Pies zwęszył jego obecność i zawył. Usłyszał szorstki, rozkazujący głos z głębi namiotu i cisza zapadła znowu.

Skreślił teraz w prawo, idąc coraz szybciej, jak gdyby pragnąc dogonić mknące niespokojnie myśli. Gmatwało się wszystko: los, nieszczęście, Eileen Brokaw. Niespodzianie stanął.

Wydało mu się, że na przedzie słyszy głosy. Wynurzył się już tymczasem z leśnego mroku i znajdował obecnie na szarej skalnej platformie, sterczącej ponad zatoką niby ostrze noża, mające bronić Churchill przed obcą napaścią. Blok piaskowca zamykał mu drogę, wyminął go ostrożnie. W następnej chwili rozpląszczył się za nim.

O parę metrów, w jasnym świetle księżyca, siedziały na urwisku trzy postacie tak nieruchome, jakby je kto z kamienia wyciosał. Filip instynktownie sięgnął do pochwy po rewolwer, lecz cofnął znów rękę widząc, że jedna z trzech istot jest kobietą. Obok kobiety przykucnął potężny wilczur, a z drugiej strony siedział mężczyzna. Ten ostatni przyjął pozę czysto indiańską, z łokciami na kolanach, z brodą złożoną w dłoniach, przy czym uparcie i uważnie spozierał w dół na śpiące Churchill.

Ale najbardziej zainteresowała Filipa kobieta, plecami wsparta o skałę. Ona również wpatrywała się w Churchill, pochylona nieco ku przodowi. Miała odkrytą głowę. Rozpuszczone włosy spływały jej na ramiona, na plecy, gęstą masą leżały na skale, lśniące połyskliwie w księżycowym świetle. Nie była Indianką, to pewne.

Dziewczyna wyprostowała się niespodziewanie, a potem zerwała na nogi na poły obrócona w stronę Filipa. Lekki powiew sfalował jej włosy. Filip nie spotkał nigdy jeszcze wśród leśnego ludu twarzy równie pięknej. Taką mogłaby być Eileen Brokaw, gdyby dusza jej była inna.

W obawie, że nieznajoma dostrzeże go w mroku, głębiej usunął się w cień. Ale kobieta obróciła się właśnie profilem, szczupła i smukła na tle gwiazdnego nieba. Pochyliła się potem nad psem, mówiąc coś doń pieszczotliwie, lecz Filip nie rozróżniał treści słów. Mężczyzna podniósł głowę i Filip poznał ostre, wyraziste rysy pół krwi Francuza. Cofnął się nieco, równie cicho jak przybył.

Powstrzymał go głos dziewczyny.

— To więc jest Churchill, Piotrze. Churchill, gdzie zawijają okręty?

- Tak, Janko, to jest Churchill.

Umilkła na chwilę, by wybuchnąć raptem głosem pełnym głębokiego żalu.

— Nienawidzę tego miasta, Piotrze! Nienawidzę! Nienawidzę!

Filip wysunął się teraz spoza skały.

- Ja także go nienawidzę! - rzekł.

ROZDZIAŁ VI

WIZJA DAWNYCH LAT

Ledwo wymówił te słowa, już ich pożałował. Wydarły mu się mimo woli, wywołane rozpaczliwą nutą w głosie dziewczyny. Była w niej ta sama tęsknota, którą odczuł w szumie fal przyplywu, w westchnieniach wiatru szemrzącego w gałęziach sosen i jodeł. Współczuł jej całą duszą i tak dobrze ją rozumiał. Stał z odkrytą głową, przychyłony i zdumiony równocześnie, że tak ich zatrwożyła jego niespodziana obecność.

Dziewczyna obróciła się doń twarzą, toteż widział jej oczy pełne lęku. Ruch Metysa był jeszcze szybszy. Momentalnie stanął na nogach, ciemne rysy stężyły mu dziwnie i ręką sięgnął do pasa niewątpliwie po broń. Sprawiał wrażenie gotowego do skoku zwierzęcia. Tuż obok dwóch postaci ludzkich błysnęły długie kły wilczura.

Teraz dziewczyna pochyliła się szybko, wpijając palce w długie kudły na karku psa. Nie spuszczać oczu z twarzy intruza, przemówiła parę uspokajających słów. Napięcie trwało równie silne. Filip spostrzegł, że pod ręką Metysa błyska stal.

- To doprawdy zbyt cenne — rzekł Whittemore, czyniąc dłonią wymowny gest. — Bardzo mi przykro, że przeszkodziłem państwu! Przychodzę tu nieraz sam, by wypalić fajkę, i posłuchać szumu fal. Słyszałem, jak pani powiedziała, że nienawidzi Churchill. Ponieważ nienawidzę go również, więc ośmieliłem się wtrącić swoje trzy grosze.

Odwrócił się do dziewczyny.

- Bardzo mi przykro, doprawdy. Raz jeszcze przepraszam.

Obserwował nieznajomą z rosnącym zdumieniem. Odrzuciwszy rozpuszczone włosy, stała w świetle księżyca wysoka i smukła, patrząc już bez cienia trwogi. Odziewała ją suknia z kosztownej, kremowej skóry sarniej, wyprawionej równie miękko jak zamsz. Szyję miała obnażoną, a przy dekolcie kołnierz z cennej koronki. Podniesiona do piersi dłoń ukazywała szkarłatny czy też purpurowy mankiet aksamitny, uszyty według mody sprzed dwóch setek lat. Usta miała rozchylone, przy czym spod czerwonych warg lśniły białe zęby. Oddychała szybko i nerwowo, zdawała się jednak nie słyszeć jego słów.

- Zaskoczył nas pan, ot wszystko - rzekł Piotr spokojnie. Mówił nienaganną angielszczyzną, przy czym nisko schylał głowę w ukłonie. - To my raczej winniśmy przeprosić za zbyt daleko posuniętą ostrożność.

Filip wyciągnął rękę.

- Nazywam się Whittemore, Filip Whittemore. Oczekuję w Churchill przybycia statku pasażerskiego, i mam nadzieję, że pozwolą mi państwo spocząć na tej skale?

Na chwilę palce Piotra uściśniły jego dłoń, a głowa Metysa schyliła się znów w dworskim ukłonie. Whittemore zauważył, że człowiek ten, zarówno jak i jego towarzyszka, nosi szerokie, szkarłatne mankiety sprzed paru wieków, a broń połyskująca u jego pasa nie jest wcale nożem, lecz krótkim rapierem.

- Nazywam się Piotr, Piotr Couchee — rzekł. — To zaś jest moja, hm... siostra, Janka. Nie zamieszkujemy fortu Churchill, lecz przybywamy z Fortu Bożego. Dobranoc panu.

Dziewczyna cofnęła się o krok, teraz zaś skłoniła się tak nisko, aż rozpuszczone włosy spłynęły przez ramiona ku przodowi. Bez jednego słowa skręciła wraz z Piotrem poza blok skalny i nim Filip się opamiętał, znikli już oboje w srebrnej nocnej dali.

Milcząco patrzył za nimi. Całe to spotkanie wydało mu się niezmiernie dziwaczne. Nie dalej jak przed godziną roił o dawnych mieszkańcach fortu Churchill, spoglądał na ich mogiły, a oto niespodziewanie zobaczył zjawy wyjęte nieomal żywcem z zamierzchłych czasów. Po raz pierwszy widział podobnych ludzi. Ich stroje niedzisiejsze, rapier Piotra, dworskie ukłony przypominały sztychy staroświeckie, wiszące w Churchill w biurze agenta Kompanii, na których wytworni kawalerowie wysiadali na dzikie wybrzeże ze szpadami u pasa i wstęgą ukochanej przez pierś. Piotr Couchee, z ręką na swym rapierze, był nieomal wcieleniem ksiązęcego faworyta Grosellier. A Janka...

Na skale, tuż obok miejsca, na którym siedziała Janka, błysnęło Filipowi coś białego. W następnej chwili trzymał już w ręku małą chusteczkę oraz kawałek szerokiej wstążki. Oddalając się w pośpiechu dziewczyna musiała zgubić te drobiazgi. Filip zamierzał już bieć za odchodzącymi, by zwrócić im zgubę, lecz owiał go i powstrzymał delikatny zapach heliotropu płynący z chusteczki i wstążki. Było w tej woni coś znajomego, coś co unieruchomiło go na tak długo, że zanim oprzytomniał zdał sobie dokładnie sprawę, iż na pościg jest stanowczo zbyt późno.

Uważniej spojrzął na chusteczkę. Była tak delikatna, że zgniółszy ją, nie doznał nawet wrażenia, że w ogóle trzyma cokolwiek. A wstążka? Na razie nie mógł odgadnąć jej przeznaczenia, zanim się wreszcie domyślił, że z pewnością wiązała włosy Janki.

Filip owinał sobie wstążkę wokół palca i śmiejąc się skrzył w stronę Churchill. Raz po raz przyciskał do twarzy chusteczkę, wdychając jej subtelny zapach. Przypomnił sobie wreszcie skąd zna tę ulubioną woń. Wchłaniał ją również tej nocy, gdy na balu patrzył z bliska w piękne oczy Eileen Brokaw. Eileen lubiła zapach heliotropu i zawsze nosiła we włosach lub przy sukni pęk fioletowego kwiecia.

Jakie to dziwne - myślał Filip. - Ileż to już razy w ciągu dzisiejszego dnia okoliczności przypominają mi pannę Brokaw? Mimo woli przyspieszył kroku. Chciał co prędzej zobaczyć znów rysunek Gregsona, i przekonać się, że tajemnicza piękność malarza jest tylko łudzaco podobna do Eileen.

Gregson już spał. W chacie światło ledwo się tliło, toteż Whittemore podkreślił knot. Na stole leżał porzucony rysunek. Teraz nie mógł już istnieć cień wątpliwości. To była Eileen Brokaw. W przyływie dobrego humoru Gregson napisał u dołu arkusza:

„Żona lorda Fitzhugh Lee!“

Mimo oczywistego absurdu, słowa te wstrząsnęły Filipem. Zadumał się ponadto, jakim cudem panna Brokaw przebywa już w Churchill? Którędy się w ogóle dostała? Przecież nie drogą wodną! A z drugiej strony, czy może istnieć w tym półdzikim zakątku osoba tak bliźniaczo do niej podobna?

Filip skierował się w stronę pościeli Gregsona, zamierzając go zbudzić, lecz uprzytomnił sobie w porę, że malarz z pewnością nic mu nie wyjaśni. Odrzucił również myśl, że artysta wiedząc o jego dawnym flircie z piękną panną, zdobył skądś jej fotografię i teraz płata figle przyjacielowi. Figiel byłby nie w guście Gregsona, nazbyt głupi i złośliwy.

Tak, Gregson niewątpliwie naszkicował twarz widzianą w dniu dzisiejszym. Whittemore przeczytał raz jeszcze słowa skreślone u spodu arkusza i znów doznał dziwnego, nie dającego się zanalizować uczucia, jak gdyby ten niemądry kawał miał w sobie pewną dozę prawdy.

Złożył rysunek na stole, wyjął natomiast z kieszeni wstążkę i chusteczkę, które tam ukrył przed wejściem do chaty. Przy świetle lampy stwierdził, że jedno i drugie jest równie niezwykle jak strój i zachowanie nieznaną parą. Nawet dla oczu laika były to kosztowne drobiazgi, wykonane wprost artystycznie. Wstążka miała barwę kości słoniowej, leciutko kremową. Chusteczka w formie serca nosiła w jednym rogu wyhaftowany jedwabiem napis, tak zresztą subtelny, że ledwo można było

wyczytać słowo „Camilla“.

W zamkniętym pokoju woń heliotropu zaznaczyła się silniej, toteż Filip przeniósł wzrok z chusteczki na wizerunek Eileen Brokaw. Co za dziwny zbieg okoliczności! Wyciągając rękę odwrócił szkiełką do stołu. Zapalił później fajkę i siedział kurząc, a myśli jego, wybiegłszy poza obręb izby, poza obręb chaty, ścigały postać tajemniczej dziewczyny, którą spotkał siedzącą na skale. Na pół przymknąwszy powieki, otoczony kłębamii dymu, Filip marzył. Widział Jankę wyprostowaną w świetle księżycy, zaskoczoną, z rozwianym włosiem. Zapomniał nawet o istnieniu Eileen Brokaw i o sprawach, którymi dzielił się dziś z Gregsonem. Obawy, projekty, gorączkowe szukanie najlepszego wyjścia z trudnej sytuacji, wszystko to ustąpiło na drugi plan wobec tej przypadkowo spotkanej kobiety.

Trudno mu było uwierzyć, że widział ją tylko chwilę, tak dokładnie wydawała się związana z jego całą egzystencją i tak bardzo potrzebował jej obecności. Przez tych parę minut czuł się po prostu mniej osamotniony, mniej smutny. Ach, gdyby mógł z nią pomówić, opowiedzieć coś o sobie, zapewnić, że ma w nim przyjaciela!

Zacisnął naraz palce na chusteczce. Obracając głowę niespokojnie spojrział na Gregsona. Malarz spał, twarzą zwrócony do ściany.

Piotr z pewnością wróci do skały w poszukiwaniu zapomnianych przez siostrę drobiazgów. Aż mu krew zawrzała na tę myśl. On będzie tam wcześniej i zaczeka na przyjście Metysa. Tak, ale kto wie, czy Piotr będzie się jeszcze raz po nocy wałęsał? Może przyjdzie dopiero za dnia?

Z uśmiechem przysunął sobie skrawek papieru oraz ołówek Gregsona. Pisał uważnie dobrą chwilę. Skończywszy zwinął kartkę do chusteczki. Koronkową wstążkę złożył starannie i umieścił w wewnętrznej kieszeni kurty na piersi.

Sunął do drzwi czerwony niby rak. Co by powiedział Gregson, gdyby się zbudził i odgadł, dokąd przyjaciel dąży? Gregson uważał go zawsze za stalowy charakter, za mężczyznę wyjątkowo odpornego na wdzięki niewieście. Filip otworzył i zamknął drzwi jak najciszej.

Musiał, stanowczo musiał zrobić tak, by jego kartka trafiła do rąk tych obojga. Tłumaczył im, że nie jest bynajmniej stałym mieszkańcem Churchill, które tak nienawidzą. Przepraszał ponownie za niespodziane pojawienie się nad urwiskiem, lecz ten wstęp był tylko przygrywką do dalszej treści. Wobec dwojga nieznanomych obnażał własną duszę, ofiarował swoją przyjaźń i prosił, by go darzyli zaufaniem. Nie chciał za nic, by znajomość urwała się na tym jednym, przypadkowym zetknięciu.

Rozumiał doskonale, że zachowuje się jak błazen, lecz mimo to śpiesząc ścieżką nad urwiskiem w stronę Churchill, czuł podniecenie silniejsze niż kiedykolwiek w życiu. Gdy skała była już blisko, zaniepokoił się na dobre, myśląc że Piotr może wcale nie wrócić po drobiazgi siostry albo że wrócił po nie natychmiast, a nie znalazłszy nic zrezygnował z szukania zguby. Ta obawa podcięła go tak silnie, że począł biec. Skoro tylko wpadł na szczyt urwiska i obejrzał się, nie dostrzegł nikogo. Spojrzał wtenczas na zegarek, od pamiętnego spotkania minęła godzina.

Upuścił chusteczkę w miejscu, gdzie księżycowe światło kładło plamy najjaskrawsze, po czym skręcił znów na ścieżkę. Nie dotarł jeszcze do podnóża urwistej skały, gdy kędyś, daleko rozbrzmiało wycie psa. Był to niewątpliwie wilczur. Poznał półdzikie zwierzę po głosie pełnym pierwotnej tęsknoty, płynącym zrazu cicho, by okrzepnąć niebawem, a sięgnąwszy najwyższego tonu, roztopić się znów w szumie jodeł i szemrzącej gęździe przypływu. Piotr wracał. Przedzierał się przez las. Kto wie, może Janka wracała również z nim?

Po raz trzeci tej nocy Filip wgramolił się na wierzchołek osrebrzonej księżycem skały. Wyczekująco spojrział na północ, skąd dobiegło go poprzednio wycie wilczura. Potem zerknął na miejsce, gdzie przed chwilą zostawił chusteczkę i od razu serce skoczyło w nim gwałtownie.

Skala była pusta. Chusteczka znikła.

ROZDZIAŁ VII

PRZYBYCIE STATKU

Stojąc niezdecydowany Filip wyteżył słuch, usiłując wyłowić najśłabszy bodaj dźwięk. Od chwili, gdy wypuścił z ręki chusteczkę, nie upłynęło nawet dziesięć minut. Piotr nie mógł oddalić się zbyt daleko w ciągu tak krótkiego czasu. Musiał się raczej kryć w pobliżu. Filip zawołał więc półgłosem.

- Piotrze! Hej, Piotrze Couchee!

Odpowiedziało mu jedynie milczenie. Zresztą już w następnej chwili, pożałował, że się w ogóle odezwał. Bez słowa począł zstępować w dół skłonu. Znajdował się właśnie na wybrzeżu, gdy z oddali, z głębi boru, dobiegło doń znów wycie wilczura. Filip zatrzymał się, usiłując w miarę możliwości ustalić miejsce lub przynajmniej kierunek, skąd głos ten dobiega, był bowiem teraz pewien, że pies nie podążył za Piotrem, tylko pilnuje obozu, a zapewne również i Janki.

Gdy Filip wszedł do chaty, Gregson zbudzony, siedział na brzegu pryczy.

- Gdzie się szwędasz u diabła? - spytał malarz. - Zamierzałem już iść ciebie szukać. Zgubiłeś coś, czy cię może okradziono?!

- Myślałem po prostu o różnych sprawach — odpowiedział Filip wymijająco.

- Ja także. Łamię sobie głowę od czasu, gdy wróciłeś do izby, i napisawszy list wyszedłeś znowu.

— Spałeś przecież — zaprzeczył Filip. — Umyślnie spojrzałem na ciebie!

— Może i spałem, gdyś patrzył. Ale wspominam mgliście, że cię widziałem siedzącego przy stole i piszącego jakąś epistołę. Tak czy inaczej łamię sobie głowę odkąd znikłeś za drzwiami i jeśli ci to nie sprawia różnicy, chciałbym przeczytać raz jeszcze list tego lorda Fitzhugh Lee.

Filip wręczył mu list. Z zachowania przyjaciela zgadywał, że ten nie spostrzegł chusteczki ani wstążki koronkowej.

Gregson wziął leniwym ruchem podawany papier, ziewnął i schował złożony arkusz pod zwinięty koc imitujący poduszkę.

— Czy masz coś przeciwko temu, żebym zatrzymał ten list parę dni, Fil?

— Nic a nic. Powiedz mi tylko, po co ci to potrzebne?

— Powiem, gdy sam będę wiedział dokładnie - odparł Gregson, wyciągając się znów na łóżku. — Przypomnij sobie, jak śniłem kiedyś, że ten plantator z Carabobo zamierza cię pchnąć nożem i jak nazajutrz on naprawdę próbował cię zabić! Otóż obecnie miałem również dziwny sen. Chcę się teraz przespać z tym listem pod poduszką. Może będę nawet spał na nim tydzień. Ale jeśli zamierzasz się zdrzemnąć tej nocy, to radzę ci zgaś wreszcie światło!

Filip rozebrał się, zgasił światło i wyciągnął na łóżku, lecz sen jakoś nie przychodził. Dobre pół godziny leżał wspominając zdarzenia minionych paru godzin. Pewien był, że napisany przezeń list trafił do rąk właściwych, wątpił jednak czy Piotr lub Janka zechcą mu dać odpowiedź. Nie żałował mimo to niczego. Jeśli spotka ich znowu, przypadkiem nie będzie już zupełnie obcym przechodniem. Pewien był, że drogi ich się zejdą prędzej czy później. O ile sami nie zajrzą do fortu Churchilla, to on ich poszuka w puszczy.

Zadawał sam sobie dziesiątki pytań, na które wszakże nie znajdował odpowiedzi. Co to za dziewczyna o manierach królowej i kim jest jej towarzysz, zachowujący nieomal dworski ceremoniał? Skąd pochodzą, czyżby naprawdę z lasu? I gdzie leży Fort Boży? Nie słyszał nigdy o podobnej osadzie, lecz wspominając dziwny a zarazem kosztowny strój Janki, jej delikatną

chusteczkę pachnącą heliotropem, rapier u boku Piotra, powątpiewał czy istotnie w sercu głuszy mogą się taić podobne cuda.

Usnął, z postanowieniem, że skoro tylko nadarzy się sposobność spróbuje dociec czegoś więcej. Niewątpliwie ktoś z mieszkańców Churchill musiał znać niezwykłą parę, a jeśli nie, to przynajmniej musiał wiedzieć, gdzie leży ten Fort Boży.

Gdy Filip zbudził się parę godzin później, Gregson był już ubrany i czekał ze śniadaniem.

— Ładny z ciebie kompan - warczał malarz z udaną złością. - Skoro pójdziesz znów marzyć przy świetle księżycy, weź mnie przynajmniej ze sobą. A tymczasem zanurz łeb do tego wiadra z wodą i jedzmy, bo umrę z głodu!

Filip dostrzegł od razu, że Gregson przypiął swój wczorajszy szkic do jednej ze ścian.

— Wcale dobre, jak na rysunek wykonany z pamięci - rzekł, wskazując szkic ruchem głowy. — Pomaluj go jeszcze, a Burke zachwyci się niewątpliwie.

— Burke go w ogóle nie otrzyma! - półgębkiem zaprzeczył Gregson, siadając przy stole. - To wcale nie na sprzedaż!

— Dlaczego?

Gregson wyczekał, aż towarzysz siądzie i dopiero wtenczas raczył dać odpowiedź.

— Uważaj stary i gotuj się do śmiechu. Możesz nawet pęknać, jeśli to ci się podoba! Ale prawdą jest, że dziewczyna, którą spotkałem wczoraj, jest jedyną kobietą, dla której chętnie poświęciłbym życie!

— Rozumiem cię doskonale! - odparł Filip. Gregson wybałuszył na niego oczy.

— Czemu nie pękasz ze śmiechu?!

— Wcale nie mam ochoty się śmiać. Mówię ci, że rozumiem. I rozumiem naprawdę.

Gregson przeniósł wzrok z twarzy przez siebie naszkicowanej, na twarz Filipa.

— Czy ... czy ona też tak silnie przemawia do ciebie, Fil?

— Jest bardzo piękna.

— Jest bardziej niż piękna — zapewnił Gregson gorąco. — Jeśli kiedykolwiek widziałem twarz, jak się to mówi, anielską to właśnie wczoraj. Przez sekundę patrzyła nawet na mnie ...

- A jakie miała oczy?

- Prześliczne!

— Pytam o barwę? - wyjaśnił Filip, poczynając jeść.

- Szare czy też błękitne. Po raz pierwszy mi się zdarzyło, że patrząc w oczy kobiecie nie umiałem ściśle określić ich koloru. A jej włosy, Fil! Złote, ale nie tej podejrzanej sztucznej barwy, tylko po prostu wyśnione! Możesz myśleć co chcesz, możesz mnie mieć za wariata, ale muszę się dowiedzieć co to za jedna, muszę ją znaleźć, i to niezwłocznie, zaraz po śniadaniu!

- A lord Fitzhugh?

Po twarzy Gregsona przemknął cień. Jadł chwilę w milczeniu, potem rzekł:

- To właśnie nie dało mi spać po twoim wyjściu; myśli o tajemniczym lordzie i o dziewczynie. Rozumiesz Fil, ona wcale nie jest podobna do tutejszych dziewcząt. Rasa z niej bije, zastanawiałem się więc, czy nie ma przypadkiem jakiego związku między lordem a nią. Nie zależy mi wcale na tym, żeby mój domysł był słuszny, lecz obawiam się, że tak niestety jest. Piękne i dobrze urodzone kobiety nie zjeżdżają samotnie na koniec świata!... Jakie jest twoje zdanie?

Lecz Filip wolał nie pogłębiać tego tematu. Kwadrans później, obaj młodzi ludzie opuścili chatę, a minąwszy urwisko zeszli w dół do Churchill. Gregson udał się do magazynów Kompanii, podczas gdy Filip skręcił do budynku zajmowanego przez Pearse'a. Pearse siedział przy biurku. Podniósł na gościa zapuchnięte znużone oczy; opasłe dłonie spoczywały przed nim bezwładnie. Filip odgadł bez

trudu, że człowiek ten nie kładł się dziś wcale. Usiłował trud jednak nadać twarzy wyraz ożywienia.

Filip wyjął z kieszeni parę cygar, po czym zajął miejsce po drugiej stronie biurka.

- Sprawiasz wrażenie ogromnie wyczerpanego, Pearse - zaczął. - Widać interesy idą świetnie i nie możesz podolać nawałowi pracy. Widziałem, jak się świeciło u ciebie dziś w nocy już po dwunastej i omal nie wszedłem się przywitać. Pomyślałem wszakże, iż z pewnością nie chcesz, by ci przeszkadzano, toteż odłożyłem wizytę do rana.

- Bezsensowność - rzekł Pearse głosem ochryplym. - Nie mogę spać. Zapewne widziałeś mnie przez okno?

Głos miał przyspieszony i niespokojny. Filip odpowiedział niedbale.

- Nie widziałem nic, prócz smugi światła. Ale, słuchaj no Pearse, ty zdaje się znasz tę okolicę niezgorzej?

- Pracowałem osiem lat w terenie, wyczekując rozpoczęcia budowy tej przeklętej kolei — odparł Pearse, splatając i rozplatając tłuste palce. - Oczywiście, że ją znam!

- Możesz mi w takim razie powiedzieć niewątpliwie, gdzie leży Fort Boży?

- Jaki fort?

- Fort Boży.

Pearse zrobił niemądrą minę.

- To coś zupełnie nowego - bąknął. - Nie słyszałem nigdy podobnej nazwy.

Wstając z krzesła, podszedł do wielkiej mapy wiszącej na ścianie. Pracowicie począł po niej wodzić tłustym i krótkim palcem.

- To jest najnowsza mapa rządowa! — mówił, obrócony plecami do Filipa. — Ale takiego fortu na niej nie ma. Jest Jezioro Boże, na południe od Nelson House, jedyne co ma związek z Bogiem w okolicy pięćdziesiątego trzeciego stopnia geograficznego.

— Wątpię, żeby fort, o który mi chodzi, leżał tak daleko na południu! - rzekł Filip wstając.

Małe oczka Pearse'a spozierały nań badawczo.

— Nigdy o niczym podobnym nie słyszałem! — powtórzył. — I co to ma być właściwie? Faktoria?

— Nie mam zielonego pojęcia! — odparł Filip. - Chciałem sam się dowiedzieć dla ciekawości. Może zresztą poplątałem nazwę. W każdym razie bardzo dziękuję.

Zostawił Pearse'a przy biurku, po czym udał się wprost do głównego agenta. Wszakże Bludsoe, naczelny kierownik Kompanii Zatoki Hudsona na Dalekiej Północy, nie mógł mu również udzielić żadnych informacji. Nie słyszał nigdy o Fortcie Bożym. Nie pamiętał, by się kiedykolwiek stykał z nazwiskiem Couchee. W ciągu następnych dwóch godzin Filip rozmawiał z Francuzami, Indianami, wypytywał pocztyliona przybyłego dziś rano z południa. Wszystko bez rezultatu.

Czyżby Piotr skłamał? Czyżby go rozmyślnie wywiódł w pole. Poczzerwieniał z gniewu na samą tę myśl. W następnej chwili jednak uspokoił się wobec przekonania, że Metys stanowczo nie sprawiał wrażenia kłamcy. Był to raczej bojowy typ niż wykrętny. Sam zresztą nie pytany, podał Fort Boży jako miejsce stałego pobytu. Nikt go zatem do kłamstwa nie przymuszał.

Filip rozmyślnie tak kierował krokami, żeby się z Gregsonem nie spotkać, lecz ani mu przez myśl nie przeszło, że jego przyjaciel działa dokładnie w tym samym celu. Zjadłszy śniadanie z agentem, Whittemore wrócił znów na skalne urwisko, gdzie zobaczył ubiegłej nocy Jankę i Piotra. Jakkolwiek nie miał żadnej nadziei otrzymania odpowiedzi na swój list przeszukał bacznie otaczające głązy. Potem ruszył na przełaj przez las w stronę, skąd słyszał ostatnio wycie psa.

Mimo iż szukał cały dzień, do wieczora nie natrafił na ślad obozu. Dobrych parę mil dążył szlakiem wiodącym z fortu Churchill na północ. Trzykrotnie przeciął okolicę pomiędzy tym szlakiem

a zatoką, wypatrując smugi dymu ze szczytu każdego pagórka, nasłuchując pilnie wszelkich dźwięków mogących stanowić drogowskaz. Nie zobaczył śladu ludzi i nie usłyszał nawet wycia psa.

Znużony i rozczarowany wrócił do Churchill. Udał się teraz prosto do chaty, gdzie Gregson już na niego czekał. Malarz spojrział na przyjaciela badawczo, z dziwnym wyrazem twarzy. Wyglądał jak człowiek, który doświadczył niemiłych tarapatów. Pot zmieszany z kurzem zakrzepł mu na policzkach brudnymi smugami, a ręce trzymał niedbale w kieszeniach. Wstał z krzesła.

- Spójrz na mnie, Fil! Proszę cię, spójrz uważnie! Filip wytrzeszczył oczy.

- Czy ja śpię, czy też czuwam? — pytał malarz. - Powiedz mi także, czy wyglądam na człowieka będącego przy zdrowych zmysłach? No gadajże!

Odwrócił się, ruchem głowy wskazując szkic wiszący na ścianie.

- Czy widziałem tę dziewczynę na własne oczy, czy też jej nie widziałem? Może to było po prostu urojenie senne? - plótn bez związku, nie czekając aż Filip da żadaną odpowiedź. - Bo dziś nie mogłem jej znaleźć! Przetrasnąłem każdą chatę i każdy krzak w okolicy Churchill. Ganiałem póty, aż mi wprost nogi odjęło! I do diabła, nie mogę nawet spotkać nikogo, kto by ją widział tak samo jak ja! Miała wtenczas głowę okrytą, ale przypominam sobie teraz, że gdy ją mijalem, zgarniała na ramionach coś niby ciemny szal. Tak czy inaczej nikt nie pamięta podobnej twarzy! — wskazał szkic wiszący na ścianie. — Znikła! Znikła tak całkowicie, jakby przyfrunęła i odleciała. Przepadła, chyba że...

- Chyba że?...

— Chyba że się gdzieś ukrywa! Znikła albo też siedzi gdzieś w ukryciu!

— Nie masz żadnych danych na to, że się ukrywa! — rzekł Filip, usiłując zataić wrażenie jakie na nim wywarły ostatnie słowa malarza.

Gregson był wyraźnie nieswój. Zapaliwszy papierosa, pociągnął bez smaku raz czy dwa razy i cisnął go precz przez otwarte drzwi. Wtem sięgnął do kieszeni kurty, dobywając z niej kopertę.

— Diabli wiedzą, mam czy nie mam! - wykrzyknął. — Ale posłuchaj mnie Fil! Byłem dziś świadkiem przybycia poczty, wszedłem więc odważnie do kantoru i spytałem, czy mają coś dla lorda Fitzhugh Lee? Pokazałem poprzedni list, mówiąc przy tym, że jestem agentem lorda. Udało mi się w zupełności i otrzymałem ... to!

Filip pochwycił list, który mu Gregson podawał. Drżącymi palcami wydarł z koperty jedyny arkusz papieru i rozwinął go co prędzej. Były tu wypisane dwa zdania tylko:

Nie trać ani godziny! Uderz natychmiast!

Żadnego nazwiska, jedynie kleks atramentu u spodu kartki. Adres na kopercie był niewątpliwie wypisany tą samą ręką co na poprzednim liście. Obaj przyjaciele spojrzeli po sobie.

— Znamienne, co? - rzekł wreszcie Gregson. — Mało słów, ale sensu dużo. Ten, który ów list wysłał, liczy niewątpliwie, że lord Fitzhugh Lee otrzyma go bez zwłoki, a wtenczas możesz oczekiwać wybuchu. Co do tego nie można się chyba łudzić? No i czyż nie jest rzeczą znamionną, że ta piękna dziewczyna pojawia się i znika tajemniczo właśnie w takiej chwili? A poza tym, słuchaj uważnie, mówiono mi na pocztce, że na dwie godziny przed przybyciem listonosza ktoś jeszcze pytał o listy dla lorda Fitzhugh Lee!

Filip wytrzeszczył oczy.

- Mówili ci to?

- Mówili. O pocztę pytał jakiś mężczyzna, ktoś zupełnie obcy. Nie podał swego nazwiska ani nie zostawił instrukcji. Otóż kto wie, czy nie był to towarzysz mojej pięknej nieznajomej. Jeśli zatem znajdziemy jego i ją, znajdziemy lorda Fitzhugh Lee! Jeśli nie znajdziemy, śpieszmy do twego obozu i gotujmy się do walki! Rozumiesz?

- Ależ my mamy list! - zaprzeczył Filip. - Fitzhugh nie otrzyma końcowych instrukcji i plan ich jakikolwiek opóźni się przez to.

- Mój drogi — rzekł Gregson łagodnie. — Czyż nie mówiłem ci dawno, że ty jesteś siłą zbrojną, a ja dyplomata! Ty masz ręce, a ja rozum. Jestem przekonany, że identyczny list wysłano naszemu lordowi pod kilkoma adresami, by jeśli jeden zginie, drugi jednak odszedł. Idę o największy zakład, że kopia tych kilku słów znajduje się już w jego posiadaniu. Zważaj na to co mówię i zapamiętaj sobie: albo schwytemy lorda w ci najgu paru dni najbliższych, albo będziemy zmuszeni walczyć!

Filip siadł oddychając ciężko.

- Napiszę do Mac Dougalla. A ja sam muszę przecież oczekiwać przybycia statku ...

- Czyż nie lepiej napisać do Brokawa, zostawić list tutaj, a samemu śpieszyć na pomoc Mac Dougallowi?

- Nie. Sądzę bowiem, że wraz z przybyciem statku wyjaśni się wiele spraw dotąd niezrozumiałych. Muszę czekać tutaj. Pozwoli nam to zresztą szukać jeszcze tych ludzi.

Gregson nie nalegał, schował natomiast drugi list do kieszeni, w której już nosił pierwszy. Całe popołudnie przesiedział w chacie. Filip wrócił do Churchill. Dobrą godzinę spędził wśród ruin dawnego fortu, usiłując wysnuć logiczny wniosek z chaosu zdarzeń, jakie się zwały w ciągu ostatnich paru dni. Sądził, że należałoby wyjawić Gregsonowi wszystko o czym sam był powiadomiony, jednakże wahał się wciąż dla paru przyczyn. Jeśli po przybyciu do Churchill londyńskiego parowca wysiądzie zeń panna Brokaw, to po cóż ma zdradzać przyjacielowi sprawy dawno przebrzmiałe, o których tak chętnie sam byłby zapomniał? Jeśli natomiast Eileen nie będzie na statku, sam ten fakt dowiedzie ponad wszelką wątpliwość, że piękna panna znajduje się istotnie w pobliżu Churchill. Na razie jednak należało czekać cierpliwie.

Następnego ranka wyprawił posłańca z listem do Mac Dougalla, nad jezioro Ślepego Indianina, przy czym zachęcił inżyniera do jak największej bacności oraz doradzał mu powiadomienie licznych placówek o możliwości sabotażu i napaści. Gregson w dalszym ciągu nie opuszczał chaty.

- Nie powinienem się zbyt wiele szwendać — tłumaczył. - Odebrałem bezprawnie pocztę lorda Fitzhugh Lee, lepiej więc teraz siedzieć cicho i czekać rozwoju wypadków.

Filip przeszukał raz jeszcze bory na południowy zachód od Churchill mając nadzieję, że znajdzie jakikolwiek ślad Piotra i Janki. Ludzie leśni ściągali już zewsząd do fortu w oczekiwaniu wielkiego dorocznego zdarzenia: przybycia statku z Londynu; Whittemore zatrzymywał i wypytywał wszystkich. Nikt nie widział tych, o których mu szło. Minął dzień czwarty i piąty nie przynosząc żadnych zmian. Wynikałoby z tego, że na Dalekiej Północy nie istnieje Fort Boży, jak i nie istnieją Piotr Couchee i jego towarzysza. Filip stumaniał zupełnie. Szósty dzień spędził już w chacie wraz z Gregsonem. Rankiem siódmego dnia znad zatoki zahuczał głucho wystrzał armatni.

Był to sygnał od dwóchset lat wieszczący mieszkańcom Churchill przybycie statku.

Zanim obaj młodzi ludzie skończyli śniadanie i wspięli się na szczyt górującego ponad zatoką urwiska, parowiec zarzucił już kotwicę o pół mili od brzegu, w bezpiecznej odległości od skał podwodnych. Całe Churchill nieomal wyległo na spotkanie. Filip wskazał ręką szalupę agenta, która przebyła już prawie dwie trzecie drogi dzielącej statek od lądu.

— Należało się razem zabrać — rzekł Filip. - Brokaw będzie urażony, że go witam tak opieszale, a panna Brokaw tym bardziej. Wyjdźmy przynajmniej na przystań!...

Kwadrans później przeciskali się przez tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, przez gromady włóczących się za panami psów, dążąc ku wielkiemu, kamiennemu molo, wzdłuż którego cumowano statek co dzień na parę godzin w czasie najwyższego przypływu. Filip zatrzymał się pośród ciżby Indian Cree oraz Metysów, kładąc równocześnie dłoń na ramieniu Gregsona.

- Zaczekajmy tutaj — powiedział.

Szalupa agenta wracała już. Filip wyjął z kieszeni cygaro i zapalił je niezwłocznie. W miarę zbliżania się szalupy serce kołatało w nim coraz silniej. Zerknął na Gregsona. Malarz ćmił nerwowo papierosa i Filip zdziwił się, dlaczego przyjaciel tak niecierpliwym wzrokiem śledzi nadpływającą łódź.

Żagiel zakrywał jadących, toteż dłuższy czas nic nie można było dostrzec. Gdy szalupa przybiła do brzegu, Bludsoe wyskoczył na skałę z liną w rękę. Trzech czy czterech spośród jego pracowników skoczyło za nim. Żagiel opadł z chrzęstem bloków i pierścieni niby wielka, biała kurtyna, a Filip dał teraz krok naprzód, z trudem powstrzymując wydzierający się z piersi okrzyk.

Stojąc na szerokiej burcie, z jedną ręką wyciągniętą w stronę agenta, Eileen Brokaw zamierzała właśnie dać szeroki krok, mający przenieść ją na ląd. Oto już zstąpiła śmiało i zręcznie, gdy ojciec jej gramolił się z tyłu rozważnie. Z uśmiechem oczekiwania spozierała po ciemnych twarzach otaczających ją zewsząd traperów i myśliwych. Filip wiedział, że szuka właśnie jego. Puls bił mu nierówno. Odwrócił się, by stwierdzić, jak zareagował Gregson na widok pięknej panny.

Malarz ścisnął oburącz ramię przyjaciela. Palce jego były twarde jak stal. Twarz miał bladą i usta mocno zacięte. Ani drgnął, gdy tymczasem panna Brokaw, sunąc wzrokiem po obecnych, miała właśnie spojrzeć na nich. Wtem puścił Filipa i niby strzała skoczył między zgromadzonych Indian i Metysów, czyniąc tylko jeszcze znak ostrzegawczy.

Ani chwilę za wcześniej, bowiem Eileen dostrzegła właśnie wyniosłą postać Whittemore'a. Lecz on nie zauważył jej skinienia, gdyż uparcie wlepił wzrok w rząd twarzy przed sobą. Dwoje ludzi przedzierało się bliżej przez ciżbę i Filip sprężył się cały w radosnym podnieceniu. To byli oni, Piotr i Janka!

To co się zdarzyło następnie zaparło mu po prostu oddech. Janka przystanęła i zachwiała się jak gdyby słabnąc. Była już ubrana zwyczajnie, jak reszta otaczających, a Piotr również nie przypominał w niczym staroświeckiej postaci widzianej w noc księżycową. Metys pochylił się ku towarzyszcze, coś jej szepnął, po czym Janka skoczyła ku Eileen, wyciągając ręce na powitanie, zarumieniona cała ze wzruszenia czy też radości.

W twarzy panny Brokaw pojawił się wyraz ogromnego zdumienia, który wszakże znikł nader szybko. Wlepiła oczy w leśną dziewczynę, wyprostowała się wyniośle i z paroma słowami, których Filip nie dosłyszał z powodu odległości, obróciła się do ojca i do agenta. Janka zastygła w pół roku, jak gdyby ją kto uderzył. Potem cofnęła się wolno. Rumieniec radosnego wzruszenia znikł z jej twarzy. Śliczne usta drżały jak do płaczu.

Filip wykrzyknął wyrazy pocieszenia czy otuchy, sam właściwie nie wiedział co i skoczył w jej stronę. Dostrzegłszy go szybko poczęła się cofać w stronę Piotra. Byłby ją ścigał, lecz Eileen Brokaw zobaczyła go również i szła już na spotkanie, wyciągając rękę. Ojciec jej oraz agent Bludsoe nadchodzili śpiesznie.

- Filipie! - wołała Eileen.

Milcząco uściśnął jej palce. Siłę uścisku i gwałtowny rumieniec twarzy Eileen poczytała za wyznanie, któremu usta nie umiały dać już wyrazu. Filip przywitał się później z Brokawem, daremnie chciwym wzrokiem szukając w ciżbie Piotra i Janki.

Znikli bez śladu. Wobec łagodnego nacisku dłoni Eileen na swym ramieniu, Filip doznał raptem uczucia wstrętu.

ROZDZIAŁ VIII

ZAGADKA

Filip nie zwracał uwagi na setkę oczu, które śledziły z podziwem wysoką postać pięknej panny, kroczącą u jego boku.

Zdawał sobie sprawę, że panna Brokaw coś mówi i śmieje się głośno, a on sam kiwa głową odpowiadając na jej pytania zapewne bez wielkiego sensu, gdyż myśl miał zajęta jednym tylko: jak znaleźć pretekst, który by mu pozwolił pożegnać Eileen i biec za Piotrem Couchee i jego towarzyszką.

Zapomniał nawet chwilowo o niewytłumaczalnej ucieczce Gregsona, o tym że jednak Eileen przybyła wraz z ojcem na statku idącym z Londynu i że tych parę ostatnich wydarzeń, zamiast rozwikłać tajemnicę, pogmatwało ją tylko jeszcze bardziej. Całą uwagę ześrodkował na dwóch postaciach: Janki i Piotra, rozważając gorączkowo, jakby tu ich schwytać zanim opuszczą Churchill? Eileen, mimo woli zapewne, dostarczała mu szukanego pretekstu.

— Nie wyglądasz na zbyt uradowanego, Filipie! - zawołała, głosem dziecinnym, przeznaczonym wyraźnie jedynie dla jego uszu. — A ja sądziłam, że się ucieszysz z mego przyjazdu!

Filip nie omieszkał skorzystać z okazji.

— Obawiałem się, że to zauważysz! - rzekł spiesźnie. — Obawiałem się, że mnie posądzisz o obojętność, ponieważ nie wyjechałem szalupą na spotkanie i ponieważ nie tłoczyłem się na brzegu tylko czekałem w ciżbie. Ale wyglądałem tu kogoś, pewnego człowieka. Szukam go już od bardzo dawna. Właśnie przed chwilą mignęła mi w tłumie jego twarz. Stąd jestem taki roztargniony - roześmiał się udając szczerłość. - Czy wybaczysz mi jeśli cię na chwilę opuszczę? Czy wytłumaczysz mnie wobec ojca? Wrócę natychmiast i wtenczas zobaczysz, czy cieszę się z twego przyjazdu, czy też nie!

Panna Brokaw wysunęła dłoń spod jego ramienia.

- Ależ naturalnie, że ci wybaczę! - rzekła. - Śpiesz, bo gotów ci znowu uniknąć! Jeśli to ktoś ciekawy, chętnie nawet poszłabym z tobą!

Nie odpowiadając na ostatnie jej pytanie, Filip obrócił się do Brokawa i agenta kroczących blisko z tyłu.

- Muszę państwa na chwilę opuścić. Wytłumaczyłem już wszystko pannie Eileen. Wrócę zresztą niezwłocznie.

Nie tracąc ani sekundy pognął z powrotem na molo. Jak się tego niestety spodziewał Janka i jej towarzyszy znikli. Lecz był jeden tylko kierunek, dokąd mogli się oddalić niepostrzeżenie: urwisko. Ledwo smuga boru osłoniła go przed oczyma ciekawych, Filip począł prawie biec. Dotarł właśnie do stóp stromej skały unoszącej się z morza nieomal prostopadle, gdy w dół po ścieżce zaczął mu ktoś schodzić na spotkanie. Był to chłopak indiański. Filip pośpieszył ku niemu rozumiejąc, że jeśli Piotr i Janka szli tędy przed chwilą, wyrostek musiał ich niewątpliwie zauważyć.

Zanim wszakże zdążył przemówić, chłopak podbiegł ku niemu pierwszy wyciągając rękę. Zamiast pytać, Filip krzyknął z radości, gdyż drobna, ciemna dłoń podawała mu chusteczkę tę samą, którą przed paroma dniami znalazł na skale i którą tam później odniósł. Może była to zresztą inna chustka, lecz bliźniaczo podobna. Związana w węzełek taiła coś we wnętrzu, gdyż pod palcami wyraźnie chrzęścił papier. Filip omal nie podarł delikatnej tkaniny, tak mu było pilno poznać tajemnicę. Po chwili trzymał już w ręku drobny arkusik. Trzy krótkie linijki skreślone staroświeckim pismem

zawierały treść wystarczającą by serce Whittemore'a poczęło naraz bić dziko i nierówno.

Czy zechce pan przyjść nocy dzisiejszej na urwisko, gdzieś między dziewiątą a dziesiątą?

Brakło jakiegokolwiek podpisu, lecz mimo to Filip wiedział, że liścik pochodzi od Janki, gdyż tylko ona mogła skreślić tak mikroskopijne literki, podobne naprawdę do koronkowego wzorku zdobiącego chusteczkę. Przy tym ten styl naiwny a zawily! Przeczytał notatkę kilkakrotnie, by odwróciwszy się stwierdzić, że mały Indianin zmyka przesiłzgując się pośród skał.

- Ej, ty! - krzyknął Filip w ślad za malcem. - Chodź no tutaj!

Indianin błysnął w uśmiechu białymi zębami, machnął ręką i jął zmykać szybciej. Odwracając oczy od Filipa, zerknął ku szczytowi góry. Filip podążył za jego wejrzeniem i zrozumiał. Z wierzchołka urwiska Janka i Piotr spostrzegli nadchodzącego, a że równocześnie mały Indianin musiał się im nawinać, wykorzystali go jako posłańca. Być może obserwowali teraz jakie wrażenie wywarła ich kartka. Filip wybuchnął śmiechem i powiał kapeluszem na znak, że przyjmuje dziwaczne zaprosiny.

Zastanowił się nieco, dlaczego wyznaczili mu spotkanie o nocnej porze, gdy znacznie łatwiej mogli się spotkać zaraz za dnia. Lecz całość tajemnicy narastającej wkoło od dłuższego czasu była zbyt skomplikowana, by drobne szczegóły mogły mieć głębszą wartość; zawrócił więc do Churchill w radosnym przekonaniu, że los poczyna mu wreszcie iść na rękę.

Jeszcze parę godzin, spotka Jankę i Piotra, a równocześnie wyjaśni przynajmniej część dręczących zagadek.

Mniej jednakże szło o zagadki, a więcej o Jankę. Myśl o tej leśnej dziewczynie burzyła w nim krew.

Zamierzał początkowo odszukać pana Brokaw i jego córkę, lecz niebawem zmienił zdanie. Najpierw odnajdzie Gregsona i pogada z nim. Wiedział, że malarz oczekuje go w chacie, udał się więc do niej niezwłocznie, sunąc skrajem boru dla niepoznaki.

Gdy wszedł do izby Gregson przemierzał ją właśnie nerwowym krokiem. Ręce zasunął głęboko w kieszenie. Na podłodze walały się niezliczone niedopałki papierosów wypalonych zaledwie do połowy. Na widok przyjaciela malarz stanął, patrząc nań chwilę w zupełnym milczeniu.

- No i co? - rzekł wreszcie. — Co masz mi do powiedzenia?

- Nic! - odparł Filip. - Sam niewiele rozumiem. Liczę, że ty mi coś wyjaśnisz!

Twarz Gregsona ściągnięta w surowe linie nie miała w sobie obecnie nic kobiecego. Uśmiechnął się szyderczo, choć ledwo dostrzegalnie.

- Wiedziałeś przecież ... - rzekł chłodno. — Wiedziałeś dobrze cały czas, że panna Brokaw i osoba którą narysowałem jest jedną i tą samą istotą! Po cóż mnie zwodziłeś?

Filip pominął pytanie milczeniem. Zbliżywszy się szybko, ujął przyjaciela za ramię.

- To niemożliwe! - zawołał stłumionym głosem. - To zupełnie wykluczone! To nie może być ta sama osoba! Odkąd statek wypłynął z Halifax nie przybijał do brzegu ani razu! Panna Brokaw wysiadła dziś na ląd po raz pierwszy w życiu! Wszelkie inne przypuszczenia są absurdem, wierutnym nonsensem!

- A jednak — odparł Gregson niewzruszenie — kobieta, którą spotkałem przed paroma dniami, była panną Brokaw i to jest jej portret!

Wskazał wiszący na ścianie rysunek, po czym oswobodziwszy ramię z uścisku Filipa, zapalił nowego papierosa. Głos miał tak pewny i stanowczy, że Whittemore zrozumiał, iż żadne argumenty, najbardziej rzeczowe, nie zachwieją jego przekonaniem.

— To z pewnością była panna Brokaw! — rzekł znowu Gregson. — Przypuśćmy na chwilę, że przybyła do Churchill w balonie, zjadła tu lunch i odleciała na statek z powrotem. Tak czy inaczej nie wątpię ani chwili, że właśnie ją spotkałem wtenczas na przechadzce. Będę prowadził śledztwo w tym kierunku, proszę cię więc o pożyczanie mi na czas nieograniczony listu lorda Fitzhugh Lee. Ale daj mi jeszcze słowo, że w ciągu paru dni najbliższych nie powiesz nikomu o istnieniu tego listu?

— Właściwie powinienem go koniecznie pokazać panu Brokaw! — wahał się Filip.

— Koniecznie, niekoniecznie. Brokaw wie i bez tego listu, że sytuacja jest poważna. Słuchaj Fil, ty rób swoje, a ja swoje, to znaczy zdaj na mnie całą tę sprawę. Nie wspominaj nawet Brokawowi, że ja istnieję. Nie chcę spotykać ani jego, ani jej, choć Bóg widzi, że gdyby nie moja przeklęta przyjaźń dla ciebie, zabrałbym się od razu do panny Eileen. Jest teraz nawet piękniejsza niż wtenczas, gdy ją po raz pierwszy spotkałem.

— A więc jednak widzisz pewną różnicę? — roześmiał się głośno. Gregson nie odpowiedział.

— Ech, gdybym tylko odnalazł tego jej sobowtóra - westchnął Filip. — Dopiero byś się zawstydził, Greggy! Dałbym tysiąc dolarów, żeby wiedzieć, gdzie się tamta kryje.

— Dałbym tysiąc, żebyś mi tamtą pokazał — odparował malarz.

— Zakład stoi — roześmiał się Filip. - Do widzenia tymczasem, dam znów znać o sobie po południu lub wieczorem.

Udawał dobry humor, lecz gdy wracał do Churchill wcale mu nie było wesoło. Pokładał nadzieję w Gregsonie sądząc, że malarz dopomoże mu naprawdę w wyjaśnieniu wielu tajemnic, tymczasem przyjaciel uparł się, że widział pannę Brokaw przed tygodniem, co było oczywistym nonsensem i kładło na jego spostrzegawczości wielki znak zapytania. Chociaż - zastanowił się znowu Filip - kto wie czy czasem statek w drodze wyjątku nie przybił już raz do lądu?

Chcąc się upewnić Filip odszukał natychmiast kapitana i stwierdził, że statek przybył prosto z Halifax, bez żadnej zmiany w zwykłym kursie. To rozwiewało niektóre wątpliwości, lecz tym bardziej zgęszczało inne. Gregson nie mógł oczywiście spotkać panny Brokaw wcześniej niż dzisiejszego ranka! Ale kto był tym sobowtorem? Gdzie się znajduje obecnie? Co za dziwny zbieg okoliczności sprowadził je do Churchill nieomal równocześnie?

Podzielając poniekąd punkt widzenia Gregsona, łączył sobowtóra pięknej panny z lordem Fitzhugh Lee i z intrygą uknutą przeciw ich kompanii. Bolesnie uderzyła go myśl, że jeśli te podejrzenia są słuszne to w takim razie Janka i Piotr również należą do spisku. Bo przecież Janka wprowadzona w błąd łudzącym podobieństwem zamierzała przywitać Eileen niby serdeczną przyjaciółkę.

Udał się teraz wprost do domu głównego agenta i zapukał do części zajmowanej przez Brokawa i jego córkę. Brokaw wpuścił go *zaraz*, a widząc badawczy wzrok z jakim Filip rozgląda się po pokoju, skinął głową w głąb mieszkania, w kierunku zamkniętych drzwi.

- Eileen wypoczywa - oznajmił. - Podróż była bardzo męcząca. Eileen nie spała wcale dwie ostatnie noce, odkąd opuściliśmy Halifax.

Filip stwierdził zresztą od pierwszego wejrzenia, że i sam Brokaw musiał spać niewiele. Oczy miał znużone i podpuchnięte. Ruszał się jednak żwawo i mówił do rzeczy. Wskazał gościowi fotel tuż obok obszernego kominka, na którym płonęły jaskrawym ogniem wielkie kłody brzozone, po czym otworzywszy skrzynkę cygar przeszedł od razu do interesów.

— Diabła to wszystko warte! — zaczął głosem twardym i pełnym pasji, jakby z wysiłkiem najwyższym hamując wybuch gniewu. — A przecież jeszcze trzy miesiące i już byśmy mieli zarobki, moglibyśmy wypłacić dywidendy. Obliczałem dochód na pięćset od stu. Tymczasem taki pasztet!

Cisnął w ogień na wpół wypalone cygaro, po czym gniewnie urwał zębami czubek drugiego.

Filip zapalał dopiero swoje; chwilę trwała cisza.

— A jak tam twoi ludzie? Będą walczyć?

- Jeśli zajdzie potrzeba, to tak — odparł Filip. — Na niektórych przynajmniej mogę śmiało polegać. Szczególnie nad jeziorem Ślepego Indianina mamy wyborowy personel. Ale skąd w ogóle takie myśli? Proszę wziąć pod uwagę, że jeśli dojdzie do walki jesteśmy zrujnowani bez względu na wynik!

- Jeśli tuziemcy powstaną przeciwko nam gremialnie, będziemy zrujnowani niewątpliwie. Do tego nie możemy dopuścić. W tym jedyna nasza szansa. Tam na południu robiłem wszystko co leżało w mojej mocy, by przeciwników zaszachować, niestety bez rezultatu. Wrogowie działają z ukrycia, posługując się w znacznej mierze prasą. Uderzą niebawem wprost. Rozpętają tutaj burzę, którą podadzą następnie do wiadomości publicznej, zowiąc ją żywiołowym gniewem miejscowej ludności, wywołanym przez nasze zdzierstwa i nadużycia. Możliwe, że sprowadzą sobie nawet posiłki, nie dowierzając miejscowym elementom. Chcą nas zaskoczyć znienacka. Jedyna szansa to pobić ich z punktu, schwytawszy dostateczną ilość napastników, by mieć w ręku wystarczający dowód prowokacji.

Brokaw był silnie podniecony. Podkreślał każde zdanie szerokim i gniewnym rozmachem rąk. Zaciskał pięści; płonął na twarzy. Pomiedzy nim a dawnym Brokawem, chłodnym, opanowanym w najgorszych nawet tarapatach, istniała obecnie taka przepaść, aż się Filip zdziwił. Sądził poprzednio, że stary wyga obmyślił bez trudu pół tuzina planów, mających w sposób łatwy choć podstępny spowodować klęskę wrogów. Tymczasem on, usposobiony raczej skrytobójczo przez całe swoje życie, zachęcał teraz do otwartej walki!

Filip uprzedzał Gregsona, że walka będzie. Sam był głęboko o tym przekonany. Ale nie przypuszczał nigdy, że Brokaw zechce wziąć w niej udział. Pochylił się nieco w stronę współnika, mając twarz zarumienioną zarówno od bliskości ognia jak i z podniecenia. Walczyć, to walczyć! Czuł, że wygra. Ufał we własną energię i przedsiębiorczość. Lecz i to nie rozwiązywało zagadnienia.

- No dobrze, a jeśli wygramy, to co dalej? - pytał.

— Jeśli zdobędziemy dowód, że cała ta ruchawka była wywołana sztucznie - tłumaczył Brokaw — w takim razie rząd stanie niewątpliwie po naszej stronie. Już zresztą sondowałem nastroje. Napomknąłem nawet komu należy, że coś się przeciw nam knuje i otrzymałem zapewnienie, że władza się tym zajmie. Ale nim policja zdoła wkroczyć, wrogowie już uderzą. Na razie więc musimy sobie radzić sami!

— A jeśli przegramy?

Brokaw wymownie wzruszył ramionami.

- Wówczas czeka nas klęska. Rząd nabierze przekonania, że cała Daleka Północ odnosi się do nas wrogo i oczywiście odbiorą na koncesję. Akcjonariusze stracą wszystko, co do grosza.

W chwilach silnego napięcia Filip nie umiał spokojnie usiedzieć na miejscu. Wstał więc i otoczony kłębam dymu tytoniowego począł się przechadzać po wielkim dywanie całkowicie tłumiącym kroki. Rozwagał, czy nie lepiej by było złamać słowo dane Gregsonowi i powiadomić współnika o tajemniczym lordzie Fitzhugh Lee. Zastanowił się jednak, że nie wynikną stąd żadne korzyści. Brokaw wiedział i tak, że sytuacja jest poważna; przewidywał nawet rychłe rozpoczęcie walki. Można więc śmiało poczekać z wiadomością dzień lub dwa.

Rozmawiali potem jeszcze z godzinę, po upływie której ustalili w ogólnych zarysach plany postępowania. Nazajutrz Filip miał wyruszyć nad jezioro Ślepego Indianina, gdy tymczasem Brokaw miał podążyć tamże dopiero za dwa, trzy dni.

Wychodząc z mieszkania współnika Filip czuł taką ulgę, jak gdyby mu zdjęto z ramion znaczny

ciężar. Po miesiącach trosk i przymusowej bezczynności widział nareszcie przed sobą jasno określoną drogę. Był przy tym dziwnie radosny, szczęśliwy jak nigdy. Tej nocy spotka Jankę! Tak go pochłaniała ta myśl, że zapomniał nawet, iż zobaczy również Eileen.

Przed paroma dniami jeszcze upewniał Gregsona, że walka z tuziemcami równałaby się samobójstwu. Teraz płonął cały żądzą czynu podniecony tak dalece, że względnie mało obchodził go nawet wynik ostateczny: przegrana czy zwycięstwo.

Gdyby się nieco zastanowił, musiałby przyznać, że powodem nagłej zmiany nastroju jest przede wszystkim myśl o ślicznej dziewczynie, spotkanej po raz pierwszy na skale w noc księżycową. Co prawda Janak należała również do tuziemców, których miał niebawem zwalczać, ale to nie mąciło mu radości. Zbyt ufał własnej energii, własnej przedsiębiorczości.

Wracając do chaty, rozważał, że niewątpliwie Janka i Piotr przeczytali jego list, a z odpowiedzi sądząc musieli należycie pojąć kierujące nim motywy. Wierzył nawet, że gdyby przyszło do walki, to wszyscy troje staną po jednej stronie, by razem upaść lub zwyciężyć. Starczyło zaledwie paru godzin, by na nowo przeobrazić Filipa w to czym był niegdyś: w energicznego, bojowego mężczyznę. Nieznośnie długi i nużący okres dyplomatycznych zabiegów, intryg politycznych i finansowych, minął jak zły sen. Teraz mógł przestać gadać, a zacząć działać. Wieczorem na urwisku, pomówi z Janką i Piotrem najzupełniej otwarcie. Wyjaśni całą przebiegłość wrogów, ich plany zmierzające do zniszczenia Kompanii. A potem ...

Pchnął drzwi chaty, chcąc co prędzej podzielić z Gregsonem tę falę entuzjazmu. Malarza w izbie nie było. Filip zauważył natychmiast, że pas z nabojami oraz rewolwer, wiszące zazwyczaj nad łóżkiem przyjaciela, znikły również. Poszukał wzrokiem szkicu twarzyczki Eileen przypiętego do ściany ponad koją. I tego brakowało.

Filip zdjął kurtkę i czapkę, a zapaliwszy fajkę, począł gromadzić swoje drobiazgi, chcąc je mieć wszystkie pod ręką w razie śpiesznego pakowania. Zagotował sobie później kawę i siadł czekając cierpliwie. Południe już minęło, lecz Gregson wciąż się nie pojawiał. O piątej miała być wspólna kolacja z Brokawem i agentem; Eileen, za pośrednictwem ojca, kazała mu powiedzieć, że będzie nań czekała w salonie godzinę lub dwie wcześniej. Wyczekał jeszcze do czwartej, po czym, zostawiwszy na stole kartkę do Gregsona, wyszedł.

W lesie już ciemniało. Ze szczytu wzgórza Filip ułowił ostatni, czerwony blask słońca ginącego na zachodzie. Słaba poświata wisiała jeszcze nad głową, spychana coraz dalej gęstniejącym z wolna mrokiem. Poza wygięciem zatoki bieleła urwisko wyższe, groźniejsze w złudnym świetle. Szkarłatny płomień przeciął je na skos, jak gdyby ktoś dawał pochodnią sygnał tajemniczy. Parę godzin zaledwie i w tym samym miejscu Filip zobaczy Jankę. Parę godzin ... Lecz teraz, natychmiast, czeka na niego Eileen.

Puls bił mu nierówno, gdy, mijając stary fort, wkraczał do Churchill. W sieni nie spotkał nikogo, drzwi zaś wiodące do pokoi Brokawów, były na pół uchylone. Na kominku płonął obfity ogień. Siedząc w pełnym blasku, Eileen uśmiechała się do wchodzącego.

Nim zamknął drzwi i odwrócił się, wstała już wyciągając do niego ręce. Wystroiła się na intencję gościa równie niemal starannie, jak niegdyś na bal w ojcowskich apartamentach. W jarzącym świetle płomieni obnażone jej ramiona i szyja były nieludzko piękne; oczy śmiały się zalotnie; włosy migotały szczerym złotem. Cały pokój przesyciała znajoma woń heliotropu, ten sam zapach, który mu tak działał na nerwy podczas pamiętnego balu, ten sam, który płynął z malutkiej chusteczki i wstążki koronkowej, zgubionej przez Jankę na skalnym urwisku.

Eileen podeszła bliżej.

— A teraz — spytała — teraz Filipie, czy cieszysz się, że mnie widzisz?...

ROZDZIAŁ IX

PORWANIE

Głos jej rozproszył czary.

— Naturalnie, że cieszę się bardzo! — zawołał ujmując jej rękę. — Zdaje mi się jedynie wciąż, że to sen. Jakże tu uwierzyć w równie piękną rzeczywistość! Czyż doprawdy jesteś tą samą Eileen, która drżała lękliwie, gdy ośmieliłem się wspomnieć o puszczy i dzikich zwierzętach, która drwiła ze mnie, ponieważ lubiłem dalekie wyprawy i życie pod namiotem, zamiast siedzieć ustawicznie w przyzwoitym miejskim mieszkaniu?! Jesteś mi winna wytłumaczenie! Skąd tak gruntowna zmiana?

— Och, zmiana jest naprawdę gruntowna! — przerwała mu potok wymowy. - Siądź proszę Filipie tu obok - usadziła go nieomal przemocą w fotelu, a sama kucnęła na niskim stołeczku, tuż u jego nóg. Splecionymi rękami podparła brodę i patrzyła w górę promieniejąca, prześliczna. - Mówiłeś mi kiedyś Filipie, że takie dziewczęta jak ja nie mają pojęcia o prawdziwym życiu, fruując jedynie ponad nim na kształt beztroskich motyli. Że dopiero bliskie zetknięcie z przyrodą może nam oczy otworzyć. Pamiętasz? Wpadłam wtenczas w pasję, poczytując szczerą twoją za impertynencję. Ale nie mogłam słów twoich zapomnieć, teraz próbuję pójść za twoją radą.

- Podoba ci się to nowe życie? - spytał Filip.

- Tak.

Obserwowała go uważnie, nie odwracając pięknych, szarych oczu ani nie spuszczać ich przed jego wzrokiem.

Czuł się poruszony do głębi. Nigdy nie wydała mu się równie piękna. Może ten ogień na kominku, ta gra płomieni barwiły jej skórę tak złociście. Może światła i cienie wciąż zmienne tak wydelikacały jej rysy? Wypowiedział pierwsze słowa jakie mu przez myśl przeszły.

— Musiałaś już próbować życia na łonie natury. Widzę to z twojej twarzy. Dla wywołania takich zmian nie starczy dzień lub dwa.

Zatrzepotała długimi rękami; rumieniec stał się szkarłatny.

— Próbowałam. Spędziłam połowę lata w naszej wiejskiej rezydencji, nad jeziorem.

— Mówię nie tylko o opaleniźnie! - nacierał Filip. — To wiatr, to przestrzeń otwarta, to dym obozowych ognisk! To powietrze przesycone aromatem jodeł, sosen i cedrów. Chyba, że cała ta zmiana jest złudzeniem, wywołanym przez odblask kominka.

— Trochę oczywiście i to. Resztę zaś należy położyć na karb podróży morskiej i lodowców. Uch, to chłodne powietrze! Jak mroźne igiełki! Jeszcze mnie twarz pali!

Potarła policzki obiema dłońmi, po czym wyciągnęła jedną rękę do Filipa.

— Proszę dotknąć! — rzekła. — Szorstkie, niby szklany papier. Moje ręce zmieniły się najbardziej. Na statku nie nosiłam nawet rękawiczek. Zakochałam się w Dalekiej Północy. Pojadę wraz z tobą w głąb kraju i będę walczyć. Co o tym myślisz?

Słowa były na pozór lekkomyślne, ale głos stanowczy. Przy tym w zachowaniu przebijały nerwowość, niepokój, których źródła Filip nie mógł dociec.

— Czy mówisz serio? — spytał zdziwiony. — Twierdziłaś przecież niegdyś, że nikt nie zawlecze cię w puszcę nawet czwórka koni!

— Niegdyś było tak istotnie - przyznała, odsuwając się dalej od ognia. Twarz miała teraz ukrytą w cieniu i nie patrzyła na Filipa. — Zaczynam jednak lubić przygody.

Czuję, że czeka nas wiele przygód. Zaczęło się już nawet w chwili wylądowania. Czy zauważyłeś

tę dziewczynę, której się wydało, że mnie zna?! ...

Umilkła, przy czym niespodziany, silniejszy odblask płomieni oświecił twarz jej wtuloną w kielich rozwartych dłoni.

- Widziałem, że podbiegła do ciebie i coś powiedziała - przyznał Filip, a serce kołatało mu nerwowo.

- Czy znałeś ją dawniej? - spytała Eileen. - Czy wiesz kto to taki?

- Spotkałem ją raz, przypadkowo.

- Skoro spotkam ją znów kiedykolwiek, to ją przeproszę — rzekła Eileen. — Ale jeśli zachowałam się niegrzecznie, to ona sama sobie winna. Zaskoczyła mnie tak niespodzianie. Gdy podbiegła wyciągając ręce, wyobraziłam sobie, że to jakaś żebraczka.

- Żebraczka! — Filipomal nie krzyknął głośno z oburzenia. — Żebraczka! Ależ — tu połapał się w tym co mówi i chcąc ukryć wzburzenie dołożył do ognia nowe polano brzozone — ależ my tu w ogóle nie mamy żebraków!

Otworzyły się drzwi w głębi i wszedł Brokaw. Filip witał się z nim, wciąż jeszcze czerwony na twarzy. Był z siebie nierad; okazał stanowczo zbyt mało sprytu i niedostateczną przenikliwość. Eileen zmieniła się tak dalece, że nie mogła tego sprawić wyłącznie podróż morska, jak mu to koniecznie chciała wmówić. Przy kolacji usiłował ją wybadać. Łowił w jej głosie fałszywe akcenty; lecz czasami znów patrzyła tak szczerze, że sam nie wiedział, co ma o tym sądzić.

Była jednakże niezmiernie podniecona. Często szukała wzrokiem twarzy ojca, patrząc nań pytająco. Zupełnie jak gdyby postępując w myśl wskazówek ojcowskich nie zawsze mogła się w nich połapać. Filip przyznawał, że jest piękniejsza niż kiedykolwiek, ale urok jej pierzchł. Był w niej jakiś fałsz. Oczy ciemniały czasem smutne czy też niespokojne. Nabierał coraz większej pewności, że przybyła na Daleką Północ z wyraźnie określonym celem. Nie chwilowy kaprys ją tu zagnał. Czy jest możliwą rzeczą -myślał — czy jest rzeczą prawdopodobną, że odbyła całą podróż wyłącznie po to, by się zobaczyć z nim, Filipem?!

Poczerwieniał znów na to przypuszczenie, a widząc, że na niego patrzy, poczuł się tym bardziej nieswój. Był rad, gdy Brokaw zaproponował mu cygaro, przy czym Eileen przeprosiwszy panów, wyszła. Otworzywszy przed nią drzwi, pożegnał się zaraz tłumacząc, że cały wieczór ma zajęty niecierpiącą zwłoki rozmową. Podała mu rękę i rozmyślnie przetrzymała ją w dłoni mężczyzny dłużej, niż tego wymagała konieczna potrzeba.

— Dobranoc - szepnęła.

— Dobranoc.

Wolno wysunęła palce do połowy, po czym niespodzianie podniosła na niego oczy. Były piękne, spokojne na pozór, jednak gdy przemówiła głos jej się załamał. Pochylona, kładąc mu się nieomal na piersi, rzekła cicho i szybko:

— Gdybyś potrafił namówić ojca do pozostania w Churchill, byłoby to lepiej dla nas wszystkich. Znacznie lepiej.

Nie czekając na odpowiedź wymknęła się z pokoju. Filip patrzył w ślad za nią zdumiony. Dał nawet krok naprzód, jak gdyby zamierzając podejść lub spytać ją o coś, lecz pohamował rychło niewczesne chęci i wrócił do starego Brokawa.

Spojrzał na zegarek: dochodziła siódma. O wpół do ósmej pożegnał się z Brokawem i agentem, i zapaliwszy świeżego papierosa zagłębił się w nocnych ciemnościach. Na umówione spotkanie było nieco za wcześnie, podążył jednak nie śpiesząc w kierunku urwiska. Tam usiadł i czekał twarzą obrócony w stronę morza.

Noc pojaśniała tymczasem rozjarzywszy się gwiazdami, aż przypomniała Filipowi nocę spod

równika. Lecz tu, na Dalekiej Północy wzrok sięgał dalej. Churchill skąpane w światłach, leżało ciche i na pozór martwe; statki na morzu wyglądały jak zjawy zawieszony w powietrzu, a dym rozwłóczył się ponad nimi w skrętach fantastycznych, jak polatujące w przestrzeni smoki przedpotopowe. Te dziwaczne wizje przykuły wzrok Filipa. Zmieniając coraz kształty i zarysy tworzyły to groźne oblicza, to chciwie wyciągnięte ręce, jakby złowrogi duch objawił się w ten sposób.

Wtem czar nocy pękł. Z dołu, nieomal u stóp wzgórza rozległ się hałas. Był to dźwięk metaliczny, który echo powtórzyło kilkakrotnie. Filip przechylił się przez krawędź. Zmącona woda załamywała tysiącrotnie światelka gwiazd. Zachlupotały nurzane wiosła i z cienia wytrysła łódź dążąc śpiesznie wprost na pełne morze.

Łódź była obszerna; Filip rozróżnił w niej cztery postacie. Trzy wiosłowały, czwarta siedziała nieruchomo na rufie. Minęli go szybko i mrok nawisłego nad wodą urwiska skrył ich niebawem całkowicie. Tylko rozfalowany, fosforyzujący szlak znaczył czas jakiś przebytą drogę.

W zwykłych warunkach to drobne zdarzenie wcale by Filipa nie obeszło, teraz jednak poczuł się wyraźnie zaniepokojony. Owa jazda ukradkiem w ciemności pod osłoną skalnych wiszarów, zrećność i szybkość z jaką gnała łódź, wszystko nawodziło myśl o czymś tajemniczym i niepowседневnym. Gdyby nie przypadkowy hałas, z pewnością by ich nie zauważył. Czyż może być, że to ma coś wspólnego z Janką i Piotrem?!

Wyczekawszy póty, aż budzik kieszonkowy wydzwonił wpół do dziewiątej, Filip wstał i wolno ruszył poprzez oświetloną księżycem przestrzeń ku północy. Janka i Piotr musieli nadejść z tamtej strony właśnie. Nie mogli się rozminąć. Nogami obutymi w mokasyny stąpał prawie bezszelestnie, trzymając się wciąż w pobliżu urwiska, tak iż miał przed oczyma całą zatokę. O dwieście czy trzysta jardów cypel się urwał, zawracał odsłaniając otwarte morze. Filip poszukał wzrokiem łodzi, ale nie dojrzał nic.

Szedł jeszcze ćwierć mili, po czym zawrócił. Była dokładnie dziewiąta. Janka i Piotr musieli się pojawić lada chwila. Filip rozglądał się, nasłuchiwał coraz bardziej podniecony i niespokojny. Czyżby Janak miała wcale nie przyjść? Czyżby go po prostu zwiodła? Serce kołatało mu nierówno i boleśnie. A tak w nią wierzył, tak ufał tej dziewczynie spotkanej zaledwie dwa razy zupełnie przypadkowo.

Po raz drugi i trzeci przemierzył urwisko. Zegarek wydzwonił wpół do dziesiątej. Nadzieja gasła.

Po raz czwarty i ostatni odbył swój krótki spacer, wyteżając wzrok do ostatnich granic. Od zatoki nadlatywał chłodny powiew; wiatr szemrał w szczytach sosen, w czubach jodeł i świerków. Huczało morze rozfalowane przyplływem. Z nagłą rozpaczą Filip pomyślał, że przegrał, że nikt się już nie zjawi.

Wtem wiatr przywiał nowy dźwięk: wołanie czyjeś u stóp wzgórza, a potem krzyk kobiety zgłuszony coraz bardziej tężejącym szumem przyplwywu.

Filip cały przeobraził się w słuch. Krzyk kobiety zabrzmiał ponownie, pełen rozpaczony i wołania o ratunek. Filip wrzasnął w odpowiedzi parę bezwładnych słów, po czym puścił się wzdłuż urwiska niby ścigły jeleni. To wołała Janka! Któż, oprócz niej, mógł się po nocy wałęsać? Tylko Piotr i Janka, nikt inny. Pędząc starał się jeszcze coś ułoić, lecz noc milczała teraz przyczajona. Stał wreszcie, chwycił oddech i krzyknął co sił w płucach.

Pomimo wściekłego łoskotu własnego serca, pomimo zadyszki, posłyszał dźwięk, nie mający z pewnością nic wspólnego z szumem leśnym czy też szmerem fal. Popędził dalej, lecz niespodzianie zabrakło mu pod nogami ziemi. Z trudem utrzymał równowagę, stojąc na samej krawędzi szczeliny skalnej. Przed oczyma roztaczała się dziwna scena.

W jaskrawym świetle księżycowym, plecami wsparty o głaz stał Piotr mając w dłoni lśniący rapier i skulony oczekiwał napaści trzech ludzi. Sekundę trwali wszyscy nieruchomo jak posągi. Wtem ludzie runęli do ataku. Zdławione krzyki, szcęk stali i ponad łoskot bitewny wybił się silny głos Piotra:

- Na pomoc, panie! Na miłość boską, na pomoc! Dostrzegł widać Filipa tkwiącego na krawędzi, gdyż wołał broniąc się.

- Niech pan strzela! Niechże pan strzela! Za chwilę będzie za późno!

Filip dobył już rewolweru. Teraz wyglądał chwili odpowiedniej. W dole walczący skłębili się w jedno. Strzelając mógł ugodzić swego sojusznika.

- Wstecz, Piotrze! - wrzasnął Filip. - Wstecz!

Piotr wykonał polecenie, Filip zaś, ułowiwszy sposobność, strzelił. Lecz niemal równocześnie huknął drugi strzał ze strony przeciwnej. Kula świsnęła koło ucha Filipa. Jeszcze jeden strzał i Piotr zwałił się między skały niby trup. Filip palił już teraz bez opamiętania do uciekających w dole napastników. Jeden z nich potknął się naraz i upadł ciężko. Towarzysze podnieśli go i powlekli. Ostatni nabój chybił, a zanim Whittemore zdołał wsunąć zapasowy magazyn, wszyscy troje znikli.

- Piotrze! - zawołał Filip. - Piotrze! Milczenie.

Pobiegł zatem wzdłuż szczeliny w kierunku lasu i znalazł wkrótce dość łatwe zejście. Spiesząc się upadł; ręce miał podrapane i głowę rozciętą zanim wreszcie trafił do podnóża. Widząc pełzającą wśród skał sylwetkę usiłował krzyknąć, lecz ze zmęczenia zabrakło mu głosu. Oddech wydzierał mu się ze świstem z rozchylonych warg, gdy pochylał się nad Piotrem.

Czepiając się skał Piotr usiadł. Twarz ociekała mu krwią. W dłoni trzymał ułamek rapiera pękniętego tuż przy rękojeści. Oczy gorzały mu nieprzytomnie; rysy miał wykrzywione cierpieniem tak dojmującym, że Filip poczuł dreszcz grozy.

- Moje rany to głupstwo ... - wycharczał. - Chodzi o Jankę ... Oni porwali Jankę?

Rapier wymknął mu się z bezwładnej ręki, a on sam osunął się wzdłuż skały na ziemię. Uklększy obok, Filip własną chustką otarł krew z twarzy Metysa. Głowa Piotra ciężko spoczęła mu na ramieniu.

— Co się stało Piotrze? — nalegał Filip. - Mów szybko! Kto porwał Jankę!

Piotr zeszywniał niby konający, który z trudem gromadzi resztkę sił.

— Niech pan posłucha - zaczął spokojnie. - Zaczaili się na nas, właśnie w chwili gdy szliśmy na pana spotkanie. Było ich czterech. Jeden zginął, leży o tam! Reszta porwała Jankę do łodzi. To śmierć dla niej! To gorzej niż śmierć!

Zwinał się na ziemi, szalonym wysiłkiem usiłując wstać. Padł z jękiem i przez chwilę Filip był pewien, że Metys umiera.

- Znajdę ją Piotrze! - zawołał. — Odszukam ją i ocalę! Przysięgam!

Wstawał już gdy Piotr pochwycił go za rękę.

— Przysięga pan?

— Przysięgam!

- W zatoczce leży czółno. Uciekli w stronę fortu Churchill.

Głos Piotra słabł. W przypiływie nagłej rozpacz, wobec ciemności, która mu spowijała głowę, czepiał się rękawa Filipa.

- Jeśli pan ją odnajdzie — szeptał — proszę jej tu nie przyprowadzać. Proszę ją zabrać do Fortu Bożego. Nie wolno tracić ani godziny, ani minuty. Nie wolno nikomu ufać! Trzeba się kryć! Trzeba walczyć, mordować, ale dotrzeć za wszelką cenę do Fortu Bożego! Pan to uczyni?! Pan mi przyrzeka?!

Bezwładnie opadł wstecz. Filip uniósł go ostrożnie, sam pochylony nieco, by móc zajrzeć w oczy już szkliste, lecz jeszcze na pół przytomne.

— Zrobię wszystko Piotrze! - rzekł. - Zabiorę ją do Fortu Bożego. Ale ty...

Oczy Piotra ciemniały. Usiłował jednak zachować przytomność do ostatka.

— Słuchaj — mówił Filip. — Nie umrzesz! Kula tylko zawadziła o czaszkę. Rana nawet już nie krwawi. Jutro musisz się udać do Churchill i odszukać człowieka imieniem Gregson, tego z którym byliśmy obaj na przystani w czasie przybycia statku. Powiedz mu, że zaszły rzeczy nader ważne i że udałem się w głąb ładu, do naszych faktorii. On zrozumie. I powiedz mu ... powiedz jeszcze ...

Szukał w myśli, co za polecenie lub nowinę przesłać ponadto Gregsonowi. Piotr patrzył przytomnie przez szparki na pół zamkniętych powiek.

Filip pochylił się niżej.

— Powiedz mu - skandował — że jestem na tropie lorda Fitzhugh Lee!

Ledwo wymówił to imię, gdy przymknięte oczy Piotra rozwarły się szeroko. Wydał charczący dźwięk, szarpnął się i wyswobodził z objęć Filipa. Wyraźnie usiłował coś powiedzieć. Z wysiłku rana się otworzyła i po czole spłynęła struga świeżej krwi. Niezrozumiałe dźwięki chrobotwały mu w gardle, lecz wyczerpanie przemogło i Metys osunął się w omdleniu.

Filip przewiązał chustką głowę ranego i ułożył go wygodniej. Potem wsunął do rewolweru świeży magazyn. Ręce miał już spokojne; umysł pracował rzeczowo. Tylko serce kołatało jeszcze w przyspieszonym tempie.

Skręcając w miejscu pognął śladem zmykających napastników, mając głowę wciągniętą w ramiona a rewolwer na wysokości piersi. Nie zrobił nawet stu jardów, gdy coś powstrzymało go w biegu. Na samej drodze, twarzą ku gwiazdnemu niebu, spoczywały zwłoki mężczyzny.

Filip pochylił się nad trupem. Złamane ostrze rapiera Piotra połyskiwało mu pod brodą. Jedną martwą ręką czepiał się stali, jak gdyby w ostatnim skurczu usiłując ją z rany wydrzeć. Twarz była wykrzywiona, oczy i usta otwarte. Śmierć musiała go zaskoczyć niemal momentalnie.

Filip pochylił się niżej, badając uważnie twarz zmarłego. Wydała mu się znajoma, niewątpliwie widział już ją przedtem żywą.

Przypomniawszy sobie naraz, spocony od stóp do głów. Ten człowiek, ten zbir, którego Piotr zabił w obronie Janki, znajdował się w łodzi, która przywiozła na brzeg Eileen Brokaw i jej ojca!

Odkrycie to wstrząsnęło nim. Przypomniawszy sobie od razu wszystko, od początku: pierwsze spotkanie z Janką, przybycie statku, chwilę gdy Janka skoczyła Eileen naprzeciw. Co to miało znaczyć? Dlaczego starczyło imienia lorda Fitzhugh, by tak poruszyć Piotra?

Nie miał jednakże czasu na dalsze dociekania. Jutro rano ktoś niewątpliwie znajdzie Piotra albo też Piotr sam dopełźnie do Churchill. Będzie miał kłopot z owym trupem. Filip wzdrygnął się, schował rewolwer do futerału i wyciągnął ręce. Czekają nań niemiłe zadanie, ale był to jedyny sposób oszczędzenia Metysowi wielu nieporozumień.

Wziął ciało w ramiona, dźwignął je z ziemi i przygięty pod ciężarem poniósł zwłoki nad urwisty brzeg. Głęboko w dole szumiał morski przypływ. Filip cisnął trupa przez krawędź i nasłuchiwał chwilę. Doleciał doń matowy plusk.

Zawrócił wtenczas śpiesznie, dążąc w kierunku wskazanym przez Piotra.

ROZDZIAŁ X

POŚCIG

Fulip zwolnił niebawem kroku ostrożnie spozierając przed siebie. Krawędź skalna staczała się łagodnie ku białej smudze piaszczystego wybrzeża, zamkniętej w dali czarnym wałem boru. Opodał widniał drugi jar. Bez trudu spełził na dół. Ściany jaru były wygładzone jakby je woda pieściła od stuleci. W dole nogi ślizgały się po suchym miłkim piasku.

Panowała tu zupełna ciemność. Im dalej szedł, tym droga była trudniejsza. Potknął się raz i drugi, błądząc wśród skał i głazów, nie mogąc przy tym pojąć czemu Piotr i Janka obrali tę ścieżynę właśnie, zamiast jakiejś innej, łatwiejszej. W miejscu gdzie jar łączył się z morskim wybrzeżem, światło księżyca i gwiazd rozjaśniało nieco mrok nocny, toteż Filip zauważył spore czółno.

Dopiero gdy zwlókł je nad samą wodę, w miejsce doskonale oświetlone, przekonał się, iż jest wyekwipowane do dalekiej podróży. Na rufie leżała spora paka z przewieszoną w poprzek fuzją. Parę mniejszych tobołków rozmieszczono tu i ówdzie na dnie. Na dziobie skóry niedźwiedzie tworzyły przytulne gniazdko przeznaczone niewątpliwie dla Janki.

Zachowując wszelkie środki ostrożności, Filip spuścił czółno na wodę, po czym cichymi pchnięciami wiosła, nie sprawiającymi więcej hałasu niż zwykły szmer fal, pognał je w stronę Churchill.

Ci co porwali Jankę wyprzedzili go oczywiście znacznie, lecz wierzył, że dogoni ich niebawem, szczególnie jeśli płyną naprawdę ku rzece Churchill. Zauważył poprzednio jak ostrożnie napastnicy sunęli wzdłuż urwiska i miał powody sądzić, że teraz wracając z łupem podwoją jeszcze ostrożność. Toteż wiosłował bez zbytniego pośpiechu, trzymając się cienia, wyęzając wzrok i słuch by ułoić najłżejszy nawet dźwięk.

Znalazłszy się naprzeciw skały, która miała być miejscem jego spotkania z Janką i Piotrem, zatrzymał łódź i stanął wyprostowany. Wiatr odwiał dym statku na pełne morze. Pomiędzy nim a okrętem leżał migotliwy czysty przestwór. Nieco dalej niż w połowie tej odległości płynęło duże czółno, kołysząc się lekko na sennej fali przyływu. Przyklększy Filip wziął do rąk fuzję Piotra. Była nabita, miała nawet ładunek w lufie. Upewniwszy się, że broń jest gotowa do użytku, Filip znów zabrał się do wiosła.

Umysł jego pracował sprawnie. Gdyby chciał, w ciągu pół godziny mógł dognać tamtą łódź. Lecz co potem? Trzech na jednego, a jeśli mu się co stanie, któż poratuje Jankę? Stanowczo mądrzej było zwlekać, wyglądać sposobniejszej chwili.

Statek wyrastał coraz bliższy; łódź okrążyła go i znikła poza nim. Filip wiedział, że byleby zażądał ze statku pomocy, mógłby ją uzyskać niezwłocznie. Kto wie, czy to nie była droga najwłaściwsza? Wahał się wiosłując wolniej. Zdecydował wszakże, iż zbyt wiele jest tajemnic w tej sprawie, by wtajemniczać w nią obcych. Najlepiej radzić sobie samemu.

Skoro sam wybawi Jankę, skoro będzie ją odprowadzać do Fortu Bożego wyjaśni przy okazji niejedną zagadkę. Kto wie nawet czy Piotr i Janka nie posiadają klucza do powikłanej intrygi grożącej unicestwieniem Kompanii? Miał pewne dane na to, iż tak właśnie jest. Dlaczego imię lorda Fitzhugh Lee tak wstrząsnęło Piotrem? Dlaczego wśród napastników znalazł się jeden ze świeżo przybyłych z Londynu pasażerów?

Niewątpliwie Janka mu to wyjaśni, jak również wytłumaczy, czemu witała Eileen tak impulsywnie? Jeśli istnieje sobowtór panny Brokaw, to Janka i o tym również będzie wiedzieć.

Stanowczo należy ją ratować własnymi siłami. A ta droga później we dwoje do Fortu Bożego! Na samą myśl, iż szereg dni będzie z nią obcować z bliska bez przeszkód. Filip odczuł błogie drżenie serca. A przed godziną zadawała się tylko parominutowym przelotnym spotkaniem. Jakże los igra z nim dziwnie. Teraz ocali Jankę, obroni, doprowadzi do miejsca przeznaczenia...

Nie bał się wcale, mimo iż zachowywał konieczną przezorność. Gregson, wcielenie rozsądku, byłby niewątpliwie zażądał pomocy ze statku; Filip wolał polegać na sobie samym, choć wiedział, że czeka go ciężka przeprawa. Trzech przeciwko jednemu, trzech co najmniej, gdyż ów postrzelony człowiek jest niewątpliwie zdalny do walki. A kto wie, czy prócz owej trójki nie pojawi się ktoś jeszcze.

Minął statek z tak bliska, że burtą czółna otarł się o ciężki kadłub. Na jakiś czas stracił łódź z oczu, lecz teraz spostrzegł ją ponownie oddaloną najwyżej o ćwierć mili. Ci, którzy porwali Jankę, sterowali wprost do ujścia rzeki. Przez chwilę stali doń bokiem, więc rozróżniał nawet sylwetki nie dość wyraźnie jednak, by móc je policzyć.

Zuchwale Filip wypłynął na oświetlony księżycem przestwór, lecz zamiast ścigać uciekających skręcił pod ostrym kątem ku brzegowi. Jeśli go zauważą, co było bardzo prawdopodobne, pomyślą, że należy do załogi statku i zamierza wysiąść na ląd. Skoro się znajdzie w gęstym cieniu przybrzeżnym, nadrobi łatwo czas stracony i przybliży się znów do łodzi zbirów niepostrzeżenie.

Zaledwie mrok go otoczył, zgiął się nad wiosłami tak zapalczywie, aż lekkie czółno z kory brzozonej zafurczało po wodzie. Dopiero gdy wyprzedził porywaczy przyszło mu na myśl, że mógłby dopaść pierwszy ujścia Churchill i urządzić tam zasadzkę. Każdy ruch wiosła zwiększała przestrzeń między nim a obcą łodzią. Po upływie kwadransa dotarł w pobliże rozległej delty porosłej dzikim ryżem oraz wszelakiego rodzaju sitowiem, gdzie wśród zielonej gmatwaniny leniwa rzeka toczyła mętne wody. Według wszelkiego prawdopodobieństwa łódź musiała obrać najbliższy kanał wiodący do głównego nurtu. Filip zatem, ukryty wśród szuwaru, cierpliwie czekał.

Z zasadzki obserwował nadbiegającą łódź. Dziwiło go, jak leniwie pracują wiosłarze. Czasem po prostu zawieszali w powietrzu pióra wiosel, trwając w kompletnym bezruchu. Sprawiało to wrażenie jak gdyby się namyślali nad wyborem drogi, ale po chwili zrozumiał, że powstrzymuje ich co innego. Nad wodą przeleciał gwizd. Z brzegu odpowiedział mu podobny sygnał.

Filip odetchnął głęboko i zacisnął zęby. Czekająca go jak widać walka o wiele cięższa, niż sobie początkowo wyobrażał.

Ledwo przebrzmiał sygnał z głębi łądu, wiosła szybko zagarnęły wodę i łódź strzeliła naprzód. Filip odsunął cyngiel fuzji Piotra, rozgarniając równocześnie trzciny przed sobą, by nic nie zasłaniało widoku. Trzy czy cztery kule celnie wymierzone, jeden szybki ruch i wydrze Jankę prześladowcom. Tę pierwszą, zuchwałą myśl zastąpiła inna, rozważniejsza. Mrok nocny bywa nieraz zdradziecki. Co będzie jeśli chybi albo trafi Jankę? Co jeśli zaskoczeni strzałami wiosłarze wywrócą łódź? Najdrobniejszy błąd może unicestwić cały plan. O ile nawet zdoła zabrać Jankę do swego czółna, znajdą się wnet oboje pod ostrzałem wrogów ze stałego łądu.

Cofnął się ponownie poza osłonę szuwarów. Łódź nadpływała bliżej. Chwila jeszcze, zrównała się z nim i serce Filipa zabiło nerwowo. Na rufie siedziała Janka. Skulona bezwładnie sprawiała wrażenie zemdlonej. Twarzy jej nie dostrzegł, lecz gdy łódź mijała go o dziesięć jardów światło księżyca błysnęło w czarnych, starganych włosach.

Sekunda i znikli mu z oczu. Nie policzył nawet mężczyzn w łodzi. Całą uwagę ześrodkował na niej. Trwała zupełnie bez ruchu, więc lęk okropny chwycił Filipa za gardło. Wspomniał potworny zamysł rozwinięty w liście lorda Fitzhugh Lee, a równocześnie zadźwięczały mu w uszach słowa Piotra Couchée:

— To dla niej śmierć! To gorzej niż śmierć ...

Może Janka pierwsza padła ofiarą demonicznego planu, mającego zbudzić gniew miejscowej ludności? Zaciskając zęby Filip wynurzył się spośród szuwarów, choć rozsądek nakazywał pozostawać jeszcze czas jakiś w ukryciu. Szczęściem żaden z wiosłarzy się nie obejrzał, a skręt rzecznej koryta zakrył ich niebawem.

Zanim z kolei Filip dotarł do zakrętu, odzyskał w zupełności panowanie nad sobą. Był pewien, że Janka na razie nic się nie stało; zemdląca najwyżej z wrażenia lub ze strachu. Zło mogło dopiero przyjść, lecz zanim przyjdzie Janka będzie wolna.

Płynął trzymając się cienia rzucanego przez pasmo trzciny. Niebawem usłyszał głosy i na przedzie pojawiła się nowa łódź. Zrównały się, dążąc teraz razem w górę prądu. O ćwierć mili trafili do głównego koryta, po czym ścigani i ścigający znaleźli się w tunelu z drzew stuletnich, tak gęstych i zwartych, że górą ledwo prześwitywały nikielne światełka gwiazd.

Filip nie widział już nic przed sobą, kierował się więc jedynie chłupotem wiosła lub przypadkowo rzuconym, głośniejszym słowem. Czasem podpływał niebezpiecznie blisko w nadziei, że pochwyci jakąś cenną informację, lecz łowił najwyżej wyrazy bez żadnego związku. Daremnie czekał, że Janka się odezwie. Raz tylko wymówiono jej imię, po czym ktoś parsknął śmiechem. Ten sam śmiech powtarzał się parokrotnie w ciągu najbliższej pół godziny.

Po pewnym czasie na przedzie zapadła cisza. Tylko wiosła zagarniały wodę częściej, a łodzie mknęły w przyśpieszonym tempie. Wtem, w górze rzeki rozległ się głos, słaby na razie, potem coraz mocniejszy, śpiewający dziką pieśń ludzi leśnych. Łodzie stanęły; Filip także zatrzymał czołno. Na przedzie rozprawiano chwilę po cichu, po czym łodzie skrzyły do brzegu. Filip wykonał ten sam manewr, kryjąc swoje czołno wzdłuż zwalonej nad rzeką sosny.

Śpiew zbliżał się. Jeszcze parę minut i obszerne czołno używane przez urzędników Kompanii wypłynęło z mroku. Minęło Filipa z tak bliska, że rozróżnił bez trudu siedzącą na dziobie malowniczą, rozśpiewaną postać. Na rufie klęczał wiosłujący Indianin. Pomiędzy tymi dwoma znajdowało się dwóch pasażerów, niewątpliwie białych. Czołno i ludzie znikli niebawem w mroku, jak cienie.

Na przedzie łodzie ruszyły znów, więc Filip podjął pogoń. Dziwił się, że Janka nie wzywała ratunku, gdy czołno niemal się o nią otarło. O ile nie powstrzymało jej omdlenie, musieli jej chyba grozić. Może zakneblowali jej usta albo zdławili za gardło? Na samą myśl krew zawrzała w nim z wściekłości.

Płynął jeszcze w górę przez trzy kwadransy mniej więcej, po czym rzeka rozlała się w jezioro, więc Filip był zmuszony wstrzymać bieg czołna póty, aż łodzie minęły otwartą przestrzeń i weszły znowu w mrok po drugiej stronie.

Zanim ośmielił się podjąć pościg na nowo, złoczyńcy wyprzedzili go o dobre ćwierć mili. Nie słyszał nawet plusku ich wiosła, toteż zaniepokojony podwoił szybkość, zwracając mniej uwagi na zachowanie ciszy. Minęło pięć, dziesięć minut, nie dostrzegł ani nie usłyszał nic. Wiosłował teraz z rozpaczliwą energią, aż bulgotała woda. Pot ściekał mu po twarzy; trwoga męczyła serce. Jeszcze pięć minut, stanął. Rzeka toczyła się na przedzie szeroka i czysta. Ogarniał ją wzrokiem na przestrzeni ćwierć mili co najmniej. Ani śladu jakiegokolwiek łodzi!

Dobłą chwilę trwał bez ruchu, dryfując tylko wraz z leniwym prądem przybity myślą, że pozwolił się wymknąć zbrodniarzom. Musieli go w jakiś sposób zauważyć i ukryci w trzcinach przybrzeżnych dali się po prostu wyminąć.

Filip skrzył czołno i połynął wstecz. Teraz zachowując jedynie pewną ostrożność, musiał niewątpliwie zbrodniarzy wytropić. Chyba że znaleźli jakieś odgałęzienie od głównego koryta i

przedzierają się tamtędy!

Na wspomnienie Janki chciało mu się wyc z żalu. Nie wątpił, że odnajdzie zagubiony ślad, lecz kto wie czy nie będzie za późno. Płynąc bardzo wolno świdrował wzrokiem mrok nocny po obu stronach rzeki. Gdy dotarł do jeziora serce miał ciężkie jak z ołowiu.

Pozostawała ostatnia szansa. Filip zawrócił znowu i popłynął, trzymając się jak najbliżej prawego brzegu. Sunął wolno, wypatrując oczy. Parokrotnie zapuszczał się w splątany gąszcz dzikiego ryżu i szuwarów, to znów zaglądał pod nawisłe gałęzie drzew. Przebył już dwie trzecie zamierzonej drogi, gdy wtem dziób czółna wjechał na piaszczystą wydnię skośnie opadającą ku wodzie. Ledwo dno zgrzytnęło o piasek, a już Filip gwałtownym pchnięciem rzucił czółno wstecz, unosząc równocześnie do ramion fuzję Piotra. Na brzegu, starannie wyciągnięte leżały obie łodzie.

Filip był pewien, że z jego pojawieniem na brzegu pocznie się ruch; w miarę jednak jak oddalał się z wolna, z fuzją w ręku, nabierał coraz głębszego przekonania, że nikt go nie zauważył. Począł się zatem znów zbliżać do lądu. Unikając wszelkiego hałasu, wywłókł czółno na ląd i po cichu skradał się wzdłuż wody. Przy łodziach nie było strażnika. Nasłuchując uważnie nie zdołał ułoić najśłabszego dowodu czyjejkolwiek obecności. Pełznąąc na kolanach i dłoniach, odnalazł wydeptaną świeżo ścieżynę wiodącą w głąb lądu.

Serce zabiło w nim radośnie, podążył ścieżką bez zwłoki, trzymając fuzję gotową do strzału. Szlak wił się pośród wysokich traw, poprzez błotnistą łąkę, a po upływie dwustu jardów ginął w zwartym lesie. Ledwo Filip zanurzył się w gąszczu spostrzegł na przedzie blask ognia. Ognisko płonęło w płytkiej kotlinie, tak iż z rzeki nie sposób było go dostrzec. Wczołgawszy się ostrożnie na szczyt niewielkiego wzgórza, Filip zobaczył w dole pod sobą obóz.

Najpierw rzucił mu się w oczy duży namiot płócienny. Na wprost namiotu gorzał stos drzewa, przy czym jakiś człowiek krzątał się wokół niego, wygrzebując węgle rozwidloną gałęzią. Drugi człowiek wyszedł właśnie z namiotu niosąc dwa obszerne rondle i patelnię. Nietrudno było zgadnąć, że zamierzają przyrządzić posiłek i że biesiadników będzie nie tylko dwóch, lecz znacznie więcej.

Filip rozglądał się z trwogą coraz głębszą, szukając drobnego choćby śladu obecności Janki. Nie dostrzegał nic. Może nie było jej wcale w obozie. Kurczowo ryjąc palcami ziemię dygotał z trwogi. Kto wie, czy nie zawlekli jej już głębiej w las ku straszliwemu przeznaczeniu.

Przeczołgał się poprzez garb wzgórza i począł pełznąć w dół ku obozowisku. Osłaniało go zwarte poszycie leśne, tak iż mógł dotrzeć niespostrzeżenie do zajętego przy ogniu zbira. Sądził, że pod groźbą rewolweru zmusi go do wyjawienia gdzie jest Janka. Drugiego obezwładni również. Miał niezaprzeczoną przewagę, gdyż zaskoczy ich znienacka. Związanych, zostawi potem na miejscu, a sam podąży śladem reszty szajki.

Całkowicie pochłonięty planem nie spuszczał oczu z ludzi przy ognisku. Dotarłszy do skraju zarośli przykucnął, z rewolwerem w garści. Wtem dźwięk jakiś opodał zwrócił jego uwagę. Ktoś kaszłał. Tamci nie poruszyli się nawet, lecz Filip odwrócił głowę.

W cieniu drzewa, które osłaniało ją poprzednio, siedziała Janka. Była czujnie wyprostowana. Miała bladą twarz i błyszczące oczy. Oddychała nerwowo, nierówno, przez rozchylone usta. Widziała go i poznała kim jest. Radość i ulga malowały się w jej rysach, przy czym wyraźnie, z trudem jedynie hamowała głośny wybuch szczęścia. A Filip niepomny gdzie się znajduje, wyprostował się w blasku ognia i wyciągnął ku niej ręce.

Zamierzał zresztą rzucić się zaraz na obu mężczyzn, lecz niespodzianie wkroczył w grę nowy, groźny czynnik. W tyle trzasnęły chaszcze, ozwało się złowrogie warknięcie i olbrzymi wilczur skoczył do gardła Filipa. Instynkt samozachowawczy sprawił, że Filip zwrócił przeciwko psu broń przeznaczoną pierwotnie dla ludzi. Białe, obnażone kły sięgały niemal jego twarzy, gdy nacisnął

cyngiel. Uniknął tych klów, ale ciężar ciała zbił go z nóg i oto leżał rzucony na plecy w pełnym świetle ogniska.

Zanim zdołał oprzytomnieć dwaj dozorczy Janki zwałili się na niego. Leżąc na wznak pocisnął cyngiel, nie mierząc. Huknął głuchy wystrzał. Równocześnie coś zdzieliło go w głowę i czyjś ciężar powtórnie przygniótł go do ziemi. Mięśnie rozluźniły się samowolnie; świat zawirował w oczach, z omdlałej ręki wypadła broń. Palce napastnika zdławiły mu gardło, lecz ten chwyt miał pograżyć Filipa w omdlenie, budził w nim siły życiowe i energię.

Rozmyślnie leżał cicho zupełnie czując, jak ciepła krew sączy mu się po twarzy. Kiedyś już wypróbował podobny manewr i udało mu się wprowadzić przeciwnika w błąd. Teraz również podstęp działał. Dławiący uścisk zelżał; człowiek przygniatający mu pierś podniósł się nieco. Jedyny, pozostały przy życiu dozorca osądził, że przeciwnik omdlał. Janka zaś, która tymczasem porwała się na nogi, była pewna, że Filip nie żyje.

Jej to krzyk okropny, pełen niewysłowionej rozpacz, zmusił go do dalszej walki o sekundę za wcześniej. Zbir miał się jeszcze na baczności nauczony widać niejedną podobną przeprawą, gdy Filip niebacznie poderwał się z ziemi. Szczepieni w śmiertelnym uścisku poczęli się tarzać i przewracać.

Z rozpaczą niezaznaną nigdy przedtem, Filip zrozumiał naraz okrutną prawdę. Postradał siły; ramiona mu słabły, z każdym ruchem działały leniwiej. Wtem zobaczył Jankę. Stała tuż nad nimi, rękami kurczowo szarpiąc suknię u szyi. Obróciła się naraz i podbiegła do ogniska. Wróciła niosąc rozżarzoną głownię. Płomień błysnął przed oczyma Filipa; gorąco uderzyło mu w twarz. Ale przeciwnik jego wrzasnął nieprzytomnie, zwierzęco, z przerażenia i bólu.

Wstawał teraz sięgając rękami karku, gdzie płonąca głownia zostawiła bolesne piętno. Filip uniósł się na kolana. Zwartą pięścią grzmotnął przeciwnika w szczękę i drugi z dozorców padł niby worek.

Lecz w tej samej chwili z głębi lasu dobiegły krzyki śpieszących na pomoc, a tupot wielu nóg pędzących na przełaj przez chaszczę zbudził głośnie echo.

ROZDZIAŁ XI

UCIECZKA

Filip i Janka stali twarzą w twarz w świetle ogniska.

— Prędej! - zawołał mężczyzna. — Musimy się spieszyć!

Pochylił się podnosząc z ziemi rewolwer. Równocześnie usłyszał jęk. Janka chwiała się, jak gdyby mdlejąc. Nim zdążył ją podtrzymać upadła ciężko.

— Jesteś ranna? — krzyknął Filip. — Co ci się stało? Janko! Janko!

Ukląkł obok, podpierając ją ramieniem, błagalnie patrząc w oczy.

— Nie, nic mi nie jest! W każdym razie nic ważnego - uspokajała go, usiłując się przy tym podnieść. - Zwichnęłam tylko nogę w kostce, jeszcze tam, na urwisku. Głupstwo.

Lecz równocześnie zachwiała się, a oczy zmętniały jej z bólu.

Filip wstał biorąc dziewczynę na rękę. O kilkadziesiąt metrów trzeszczało poszycie leśne pod stopami nadbiegających ludzi, lecz bliskość prześladowców nie wzbudziła w nim żadnego strachu. Czuł się silny i wypoczęty. Pędząc wraz z Janką ku rzece, miał ochotę rzucić głośne wyzwanie pod adresem wrogów. Serce dziewczyny kołatało tak blisko jego serca. Nurzał wargi w jej włosach. Jednym ramieniem opłótła mu szyję, drugim trzymała go przez pierś. Szczęście, radość posiadania zalewały go jak fala: hamował się z trudem by nie wypowiedzieć w słowach tego, co mu paliło myśli.

Dla takiej chwili jak obecna ryzykował życiem, ważył się na wszelkie szaleństwa, marzył o niej, lecz nie śmiał wierzyć, by się te marzenia ziściły. Biegając nie odrywał wzroku od bladej dziewczęcej twarzyczki. Oczy miała szeroko otwarte, wargi rozchylone, policzek ufnie przytulony do jego kurty.

Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, jak mocno ją tuli. Dopiero gdy stanął nad rzeką, w miejscu gdzie poprzednio ukrył czółno poczuł, że drży mu w ramionach niby ptak schwyty w sidła. Rozplótłszy ręce uniosła głowę z jej piersi. Włosy rozwichrzyły się jej i rozplotły.

Filip milcząc usadził Jankę w czółnie. W ciszy zupełnej odepchnął się od lądu. O sto jardów w dół rzeki skręcił pod ostrym kątem, przeciął nurt i przybił do przeciwległego brzegu.

Janka siedziała dotychczas bez ruchu. Łowił tylko jej przyśpieszony oddech. Obecnie palcami musnęła jego ramię.

- Proszę pana, muszę wiedzieć co z Piotrem!

W stłumionym głosie drżała trwoga. Odchyliła się nieco, mając w ciemności bladą plamę twarzy. Przegiął się ku niej tak blisko, aż poczuł zapach włosów. Szybko i cicho opowiedział co zaszło: że Piotr jest co prawda ranny, jednak niegroźnie i że on sam obiecał odprowadzić ją do Fortu Bożego.

- Czy to w górę rzeki Churchill? - spytał.

- Tak, proszę pana — odszepnęła Janka.

Usłyszeli teraz głosy i niemal naprzeciwno, po drugiej stronie zobaczyli postacie zbiegające ku rzece.

- Będą przekonani, że uciekamy w stronę Churchill! - zatriumfował szeptem Filip. — O, patrz! ...

Jedno z czółen spuszczone już na wodę pomknęło szybko w stronę Churchill. Po chwili druga łódź podążyła śladem. Niebawem, skoro umilkł plusk wiosła, Filip roześmiał się radośnie.

- Będą nas szukać do rana, pomiędzy tym miejscem a zatoką. Później będą cię znów tropić w

Churchill.

Ponieważ w ciemności trudno było cokolwiek dojrzeć, Filip zgadywał raczej niż widział, że Janka załamuje się teraz, przeżywając na nowo doznane poprzednio wzruszenia. Napięte nerwy rozluźniły się widać i dziewczyna, ściskając skronie rękami, płakała cicho. Pozwolił się jej wypłakać, trzymając własne nerwy na wodzy. Skoro zdławiony szloch ucichł, Filip nieśmiało dotknął palcami ramienia Janki.

- Czytałaś mój list? - zagadnął.

- Tak.

- Wiesz zatem, że nic ci z mojej strony nie grozi. — W głosie jego brzmiała duma oraz pewność siebie. Był to głos człowieka upojonego własną siłą. Kochał i czuł się opiekunem istoty droższej mu niż życie własne. Janka, zrozumiałwszy drgnęła. Wyciągając ręce odszukała w ciemności dłoń Filipa.

- Dziękuję panu — szepnęła. — Ufam panu tak samo, jak ufam Piotrowi.

Żadne słowa słyszane dotychczas z ust kobiecych nie sprawiły na Filipie tak silnego wrażenia. Żadna pieszczota nie wzruszyła go tak bardzo, jak ten niewinny uścisk dłoni. Klęczał na dnie czółna zawiesiwszy wiosło w powietrzu, póty aż ona sama cofnęła rękę.

- Mam zabrać panią do Fortu Bożego — rzekł, usiłując daremnie nadać głosowi spokojne brzmienie, ukryć szalejącą w sercu radość. - Musisz mi jednak wskazać drogę.

- To daleko w górę Churchill. Dwieście mil w głąb łądu.

Filip zabrał się teraz do wiosła i przez dziesięć minut mniej więcej gnał czółno w górę prądu. Później skierował je znów do brzegu i osadził na mieliźnie. Sam wszedł po kolana w wodę.

— Musimy zaryzykować i poświęcić chwilę czasu, aby obejrzyć pani nogę - rzekł. - Gdy zrobię opatrunek siądzie pani wygodniej na rufie, pośród tych skór niedźwiedzich. Czy mogę przenieść panią na łąd?

— Spróbuję sama, niech pan mi tylko poda rękę. Ujęła podawaną dłoń usiłując wstać. Natychmiast

upadła ze zdławionym jękiem.

Ten jęk zamiast zabołec Filipa, sprawił mu niewysłowioną radość. Wiedział, że dziewczyna cierpi, że każdy krok jest dla niej męką. Jednakże tam w obozie, przewyciężając ból, pośpieszyła mu na ratunek. Teraz nie mogła ustać na nogach, ale wtenczas biegła byle mu w porę pomóc!

— Poniosę panią — oświadczył tonem spokojnym i władczym, jak gdyby mając do czynienia z dzieckiem.

Nie sprzeciwiała się zresztą wcale, gdy wziął ją na ręce. Przez krótką chwilę trzymał ją znów przy piersi, gdy zaś pomógł jej stanąć na brzegu, mimo woli dłonią musnął gładką skórę twarzy.

— Zwichnięcie należy właśnie do moich specjalności — rzekł, przybierając wesoły ton, by dodać jej odwagi. — W ciągu ostatnich paru miesięcy miałem z pół tuzina podobnych wypadków. Zdejmie pani teraz mokasyn i pończochę, ja zaś przygotuję bandaż.

Dobył z kieszeni dużą chustkę do nosa i zamoczył ją w wodzie. Potem przeszukał brzeg na przestrzeni paru metrów, aż znalazł wierzbę. Przy pomocy noża zeszkrobał garść kory, zamoczył tylko w wodzie i wrócił do dziewczyny. Drobną nóżką Janki bielą w świetle gwiazd.

— Będzie bolało chwilę — rzekł łagodnie — ale innej rady nie ma. Jutro za to będzie już pani mogła stapać. Czy wytrzyma pani parę sekund?

Ukląkł przed nią, patrząc w górę, nie śmiąc tknąć nogi zanim nie da mu pozwolenia.

— Będę może krzyczeć ... — szepnęła.

Głos jej drżał, lecz nie wzbraniała wyraźnie. Filip złożył moką chustkę na kształt bandaża, rozpostarłszy na niej poprzednio wilgotną korę. Potem, ostrożnie ujął jedną dłonią stopę dziewczyny,

drugą przytrzymał nogę jej poniżej kolana.

— Będzie trochę bolało - uspokajał - ale tylko krótką chwilę.

Zacisnął palce. Z całej siły szarpnął nogą w dół, stopą zaś ku górze, aż Janka ze zdławionym okrzykiem chwyciła go za ręce.

— Gotowe! — roześmiał się Filip nerwowo. Owinął nogę bandażem tak mocno, że unieruchomił ją zupełnie. Potem podczas gdy Janka wciągała pończochę, wrócił do czołna.

Drżał trochę ze wzruszenia. Doleciał doń głos Janki słodki i nieśmiały, poczuł więc dziecinną, niepohamowaną radość. Cieszył się przy tym, że mrok osłania wyraz jego twarzy. Dałby natomiast wiele, żeby zobaczyć teraz twarz Janki.

— Jestem już gotowa! — mówiła dziewczyna.

Wziął ją zatem na ręce, przeniósł do łodzi i umieścił pośród skór niedźwiedzi, układając w ten sposób, by mając oparcie dla głowy mogła w razie potrzeby zasnąć. Na rzece, gdzie drzewa nie rzucały cienia, było znacznie widniej. Zajrzeli sobie w oczy.

— Proszę spać — nalegał Filip. — Ja będę wiosłował. Musimy płynąć całą noc.

— Czy pan jest zupełnie pewien — spytała Janka drżącym głosem — że Piotrowi nie grozi nic poważnego? Pan by mnie przecież nie oszukiwał?!

— Był tylko ogłuszony — upewniał Filip. — Rana z pewnością nie jest niebezpieczna. Ale czas nagiął, nie mogłem więc czekać aż przyjdzie do siebie. Dopędzi nas wkrótce.

Zajął miejsce na dnie łodzi, podczas gdy Janka leżała w milczeniu pośród skór niedźwiedzi. Wiosłował długo w ciszy zupełnej. Oczekiwał wciąż, że dziewczyna podejmie rozmowę na nowo, chociaż sam doradzał jej wypoczynek. Lecz ona nie odzywała się ani słowem. Po upływie pół godziny zrozumiał, że po prostu usnęła.

Doznał pewnego rozczarowania, lecz równocześnie także nowej przyjemności. Miał najlepszy dowód jak kompletnie Janka mu ufa. Spała pod jego opieką spokojnie niby dziecko. Nie bała się nawet pogoni. Mimo pustki bezludnej podkreślonej mrokiem nocnym, nie miała żadnych obaw. Filipowi krew uderzyła do głowy. Nurzał wiosło jak najciszej, byle nie naruszyć jej snu. Gdyby mógł tylko wciąż obserwować jej rysy, byłby szczęśliwy zupełnie.

Cisza wydawała mu się mniej kompletna; wypełniały ją bicie jego serca oraz chwilami głębszy oddech Janki. W miarę jak chwile biegingy dziewczyna stawała mu się coraz bliższa, coraz bardziej własna; czuł ciepło jej obecności. Czasami był pewien, że włosami muska mu wargi, że leży mu na piersiach jak wtenczas, gdy ją przez wodę przenosił, że ramionami oplata mu szyję. Jakże długo roił o podobnym szczęściu zanim wreszcie przypadło mu w udziale!

Zerknął w niebo. Księżyc opadł za południowo-zachodnią krawędź boru i zginął już pośród drzew. Pozostały jedynie gwiazdy rozproszone na firmamencie tak przedziwnie czystym, że nie kalał go nawet ślad obłoku. Filip zdziwił się przez chwilę, że cały ten blask nie zbudzi śpiącej, lecz nowa myśl sprawiła, że serce zabiło w nim radośnie. Nawet gwiazdy pilnowały snu dziewczyny! Nawet gwiazdy nie śmiały naruszyć jej wypoczynku!

- Janko! Moja Janko najmiłsza!

Dopiero wymówiwszy te słowa uprzytomnił sobie, że wymawia je głośno. Przeraził się i nachylony ku śpiącej usiłował zajrzeć w jej rysy. Niemądry okrzyk musiał ją zbudzić. Lecz nie, spała słodko jak przed chwilą, oddychając miarowo i spokojnie.

Filip zabrał się znów do wiosła. Był już nawet rad, że głośno wyraził swą miłość. Janka wydawała mu się teraz bliższa, bardziej swojska.

Nigdy dotychczas nie uprzytomnił sobie w zupełności, jak piękna jest głusza, jak przedziwny jest jej urok. Poprzednie dawne życie, z którym zerwał, dawało zawsze znać o sobie czymś na kształt

gorzkiego smętku. Obecnie wiedział, że przeszłość nie ma nań już najmniejszego wpływu. Żył wyłącznie terażniejszością. Woda bulgotała śpiewnie za rufą łodzi; bryzgała srebrnymi kroplami z unoszonego w powietrze wiosła; szemrała wesoło wśród trzciny i traw przybrzeżnych, a czasem zadzwoniła niby kryształowy dzwonek.

Dźwięki nocne dobiegały wyraźniej; tłumaczyły się same przez się. Gdy łódź skręcała wokół rzeczno-cypla, Filip usłyszał chłopot i zrozumiał nie widząc, że to łoś spożywa kolację, stojąc po brzuch w wodzie. Dawniej sięgnąłby zaraz po fuzję, lecz obecnie ten plusk złączył się jedynie w jego umyśle z harmonią nocy.

Nieco później doleciał doń trzask łamanych chaszczki i dalekie, samotne wycie wilka. Słuchał bez cienia zdenerwowania, jedynie z pogodnym zadowoleniem. Wszak to przemawiał kraj Janki, ziemia, w której się wychowała. Co za radość, że każde pchnięcie wiosła wiedzie ich dalej w głąb tej czarownej krainy.

Skoro się jednak spokojnie zastanowił, zrozumiał, że właściwie Janka jest dla niego istotą całkowicie obcą. Kochał ją, lecz nic o niej nie wiedział. Niecierpliwie począł wyglądać świtu w nadziei, że gdy dziewczyna się zbudzi, sama zechce uchylić rąbka tajemnicy. Dowie się może nareszcie, co ją pchnęło na spotkanie Eileen Brokaw oraz co spowodowało zamach, który skończył się jej porwaniem a zranieniem Piotra.

Wiosłował jeszcze godzinę, po czym przy świetle zapałki spojrzął na zegarek. Była trzecia.

Janka spoczywała cały czas bez ruchu, lecz gdy zapałka wypaliła się między palcami, a ogarek z sykiem wpadł w wodę, Filip drgnął słysząc głos dziewczyny.

- Już nadchodzi ranek, prawda proszę pana?

- Za godzinę zacznie świtać — odparł Filip. — Długo pani spała. Czy nie jest pani teraz głodna?

- Ojciec mój i Piotr zawsze pytają, czy nie jestem głodna, ilekroć im samym głód dokucza — uśmiechnęła się Janka, wyprostowując się równocześnie pośród skór niedźwiedzi. - W tym tobołku znajdują się rozmaite zapasy, włącznie ze słoikiem oliwek.

- Doskonale! — zawołał Filip uradowany. — Gdyby jeszcze zechciała pani mówić mi po imieniu. Ogromnie nie lubię tego słowa „pan“.

- Jeśli to naprawdę takie ważne, w takim razie zgoda - skinęła głową Janka. - A teraz przyrządę panu filiżankę kawy.

- Komu? Co za panu?

- Tobie, Filipie.

Roześmiał się przekornie. Głos Filipa lekko drżał.

- Byliście widać przygotowani do dłuższej drogi — rzekł. - Mieliście zapewne odjechać zaraz po spotkaniu ze mną nad urwiskiem. Ciekawym... ciekawym, czemu byliście dla mnie tak łaskawi?...

Doskonale zdawał sobie sprawę, że plecie głupstwa i błogosławi ciemności kryjące zdradliwy rumieniec. Janka odpowiedziała taktownie.

- Byliśmy bardzo ciekawi ciebie poznać. Piotr w ogóle jest ciekawy, co do mnie zaś, chciałam podziękować za zwrot zgubionej chusteczki. Żałuję, że nie znalazłeś wstążki koronkowej, którą straciłam równocześnie.

- Owszem, znalazłem — rzekł Filip. Poniewczasie ugryzł się w język, klnąc własne gapiostwo. Janka milczała. Odezwała się dopiero po chwili.

- Czy mam teraz przyrządzić kawę?

- Czy możesz już stąpać? Jak twoja noga?

- Zupełnie o niej zapomniałam — rzekła. — Wcale już nawet nie boli.

Jej ogromna prostota, słodycz głosu, naturalny sposób bycia zachwyciły Filipa, napełniając go

równocześnie zdumieniem. Nie spotkał nigdy leśnej dziewczyny, która by choć trochę przypominała Jankę. Była nie tylko śliczna, urocza, lecz także pełna swoistej, wrodzonej dumy i godności. Zupełnie jak panna z dobrego domu, której życie upłynęło w doskonale postawionej szkole i wśród wytwornych salonów.

- Wsiądziemy teraz na łód — rzekł Filip, szukając wzrokiem otwartego brzegu. - Wyobrażam sobie jak ci się przykrzy, chyba że zdążyłaś się już przyzwyczaić do tego rodzaju podróży? ...

- Czy się zdążyłam przyzwyczaić? Ależ ja się tu przecież urodziłam!

- W puszczy?

- W Forcie Bożym.

- Nie mieszkałaś tu chyba stale? Dziewczyna milczała chwilę.

- Owszem. Stale - rzekła wreszcie. - Mam obecnie osiemnaście lat i po raz pierwszy zetknęłam się z tym, co wy nazywacie cywilizacją. To moja pierwsza wizyta w forcie Churchilla. Po raz pierwszy w ogóle opuściłam Fort Boży.

Mówiła głosem stłumionym i tęsknym, załamującym się chwilami tragicznie. Filip słuchał w takim napięciu, że serce prawie mu bić przestało. Nachylony ku przodowi nie spuszczał oczu z prześlicznej twarzy dziewczyny.

ROZDZIAŁ XII

WE DWOJE

Łódź wbiegła między trzciny, zatrzymując się przy brzegu, lecz Filip był tak zdziwiony, że siedział nadal bez ruchu.

— Prosiłaś mnie niedawno, bym mówił prawdę — rzekł wreszcie, z trudem dobierając wyrazy — tymczasem teraz, ty sama ...

— Mówię prawdę — przerwała mu chłodno. — Dlaczego miałabym kłamać, proszę pana?

Istotnie, dlaczego? Ale nie szło już nawet o prawdę czy kłamstwo, szło o to, by Janka nie obraziła się na dobre.

— Nie posądzałem cię przecież o kłamstwo! — zawołał Filip śpiesznie. - Przebac mi proszę. Tylko to jest tak niezwykle, tak trudno, tak prawie niemożliwe temu uwierzyć! Czy wiesz, o czym myślałem co najmniej dwie trzecie nocy, po spotkaniu z wami nad urwiskiem? Że cudem jakimś cofnąłem się o całe stulecia wstecz! Ty i Piotr byliście zjawami z zeszłego wieku. Jak gdybyście zstąpili na ziemię spoza światów, przynosząc ze sobą rycerskie piękno dawnych dworów królewskich. Jawiliście mi się na kształt uroczego snu. Tymczasem twierdzisz teraz, że zawsze mieszkałaś w tej głuszy! ...

Oczy Janki rozjarzyły się światłem wewnętrznym. Uniósłszy się spośród skór niedźwiedziach pochyliła się ku niemu. Twarz mieniła się jej wzruszeniem. Chciwie łowiła każdy wyraz.

— Naprawdę? Myślałeś tak naprawdę? — szepnęła.

— Tak, gdyż w przeciwnym razie nie napisałbym tego listu! Poprzednio przechodziłem właśnie koło cmentarzyska, zawierającego kości zmarłych kobiet i mężczyzn, którzy żyli przed stu i dwustu laty, toteż skoro zobaczyłem ciebie i Piotra wspomniałem pannę D'Arcon, która wzgardziła miłością księcia, by znaleźć grób wraz z kochankiem w pobliżu Churchill. Zastanowiłem się także, czy Grosellier...

Była tak podniecona, że aż oddech wybiegał jej nierówno z rozchyłonych ust. Wtem, jak gdyby się spostrzegłszy cofnęła się nieco, z nerwowym zażenowanym uśmiechem.

— Cieszę się, że pan o nas w ten sposób pomyślał — wyjaśniła zmieszana. — To przecież słynny rycerz Grosellier założył Fort Boży.

Filip już nie mógł dłużej wytrzymać. Zapomniał, że Łódź spoczywa nieruchomo pośród sitowia i że właściwie zamierzali przecież wysiąść na ląd. Głosem drżącym z przejęcia począł szczegółowo opowiadać, co się zdarzyło tej nocy nad urwiskiem. Powtórzył rozmowę z rannym Metysem, nie tając niczego, prócz imienia lorda Fitzhugh Lee. Janka słuchała, nie przerywając mu ani słowem. Wyprostowana i smukła przypominała jedną z otaczających czółno trzciny. Nie spuszczała z jego twarzy ciemnych wyrazistych oczu. Zanim skończył mówić źrenice jej pociemniały jeszcze bardziej.

— Niech wielki Bóg wynagrodzi ci wszystko coś dla nas uczynił — rzekła głosem niskim, nabrzmiałym wzruszeniem. - Dzielny z ciebie człowiek, Filipie. Należysz do tego typu ludzi, o których marzyłam zawsze.

Serce Filipa drgnęło radością. Pohamowawszy się jednak, rzekł spokojnie.

— To ci się tylko tak zdaje. Nie uczyniłem nic nadzwyczajnego. Na moim miejscu Piotr zrobiłby to samo. Chcę tylko byś zrozumiała, że jedyna forma wdzięczności, na której mi zależy to zaufanie twoje i twego brata.

- Rozumiem - głos Janki zniżył się nieomal do szeptu. — Walczyłeś w obronie Piotra tam nad

urwiskiem, mnie zaś wróciłeś wolność. Winniśmy ci wszystko, nawet życie. Ale — tu pochyliła się jeszcze bliżej — nie mogę ci nic wyjawić!

- Wolisz by to z czasem uczynił Piotr - odpowiedział Filip. Czuł się nieco urażony i nie mógł tego skryć całkowicie. - Przepraszam.

- Nie. Źle mnie zrozumiałeś! - wykrzyknęła Janka śpiesznie. — Miałam jedynie na myśli, że nie zdołam ci powiedzieć nic nowego, gdyż znasz całą sprawę równie dobrze jak ja, a może nawet lepiej.

Załkała krótko z nadmiaru wzruszenia, lecz opanowała się w jednej chwili.

- To po prostu mój kaprys sprowadził nas oboje do Churchill! - ciągnęła dalej, zanim on z kolei zdołał przemówić. — Jeśli zaś chodzi o fakt, dlaczego mieszkaliśmy stale w namiocie, a do Churchill zesłaliśmy jedynie raz, w dzień przybycia statku, to znów tajemnica Piotra. Co do napaści tych zbirów, nie znam właściwego powodu i mogę się jedynie domyślać...

- Domyślać czego?...

Janka odsunęła się trochę. Milczała czas jakiś, by rzec później bez gniewu, lecz ze stanowczością monarchini.

- Może ojciec ci to wyjaśni, gdy dotrzemy do Fortu Bożego.

Niespodzianie pochyliła się ku niemu, wyciągając obie ręce.

- Gdybyś tylko mógł wiedzieć, jak ogromnie jestem ci wdzięczna! — wykrzyknęła impulsywnie.

Przez chwilę Filip przytrzymał jej dłonie. Czuł jak drżą. W oczach dziewczyny dostrzegł łzy.

- Tak się wszystko dziwnie splotło — rzekł bardziej wzruszony, niżli to chciał okazać. — Bo znów ja odniosłem wrażenie, że ty i Piotr moglibyście mi pomóc rozwikłać pewną moją sprawę. Dałbym wiele, by odszukać jednego człowieka. Otóż po zbrodniczym zamachu nad urwiskiem i po tym co Piotr powiedział, sądziłem...

Zawahał się. Janka nieznacznie wysunęła ręce z jego dłoni.

- Sądziłem - dokończył Filip - że znacie tego człowieka. Nazywa się lord Fitzhugh Lee.

Nie zauważył niczego, co by mogło naprowadzić na ślad, że Janka słyszała już kiedyś to imię. Wyraz jej oczu nie uległ najmniejszej zmianie.

- Nie słyszeliśmy o nim nigdy w Forcie Bożym - rzekła spokojnie.

Filip pchnął łódź bliżej brzegu, po czym wstał i przekroczył burzę.

— Ten Fort Boży musi być śliczną miejscowością - zauważył, nachylając się, by pomóc dziewczynie wysiąść. — Zbudziłaś we mnie coś, czego byłem pewien że wcale nie posiadam: gwałtowną ciekawość.

— To rzeczywiście śliczna miejscowość! - odparła podając mu rękę. - Ale skąd mogłeś zgadnąć?

- Tak mi się wydało, gdym na ciebie patrzył! - roześmiał się Filip.

Wyszukał dogodne miejsce na brzegu, przyniósł jedną ze skór niedźwiedzi, po czym zaczął gromadzić suche szuwary oraz chrust.

- Pewien jestem, że musi tam być cudownie! - bąknął pocierając zapałkę. Płomień buchnął, oświetlając jaskrawie jego twarz.

Janka krzyknęła.

— Jesteś ranny! Masz całą twarz we krwi! Filip cofnął się od ogniska.

— Rzeczywiście. Zapomniałem. Muszę się umyć. Zszedł nad brzeg rzeki, a przykleknąwszy zanurzył

w wodzie twarz i ręce. Gdy wrócił Janka przyjrzała mu się badawczo. Ogień oświetlał jej bladą twarz. Zebrała już prześliczne włosy w jeden gruby warkocz, swobodnie opadający przez ramię. Wydała mu się jeszcze piękniejsza teraz niżli wtenczas nocą nad urwiskiem. Ubiór nosiła ten sam.

Spostrzegł, że delikatna koronka wokół jej smukłej szyi jest rozdarta jak gdyby szarpnięciem, krótka zaś skórzana spódniczka nosi wyraźnie ślady przyschniętego błota. Krew zakipiała w nim na ten widok. Zbliżywszy się zauważył jeszcze, że na czole tuż pod włosami, ma duży siniec. Krew doszła w nim teraz do stanu wrzenia.

— Uderzyli cię? - spytał.

Myślał o ludziach, którzy porwali Jankę. Zaciskał ręce w dzikiej pasji. Uśmiechnęła się do niego.

— To była wyłącznie moja wina. Mieli ze mną dużo kłopotu.

Wobec wściekłości Filipa wybuchnęła śmiechem, przy czym śmiała się tak serdecznie, że Filip rozluźnił pięści i po chwili śmiał się wraz z nią.

— Dzielna z siebie dziewczyna - powtarzał z przekonaniem.

— Ten pakunek w łodzi zawiera rozmaite naczynia kuchenne i zapasy — przypomniała mu znacząco, gdy wpatrzony w nią nie ruszał się z miejsca.

Filip skoczył do łodzi z chłopięcym nieomal ożywieniem. Rzuciwszy tobół do stóp Janki począł rozplątywać rzemienie. Razem wybrali żądane zapasy, po czym Filip ułamał dwie rozwidlone gałęzie, a napełniwszy wodą dwa garnuszki zawiesił je ponad ogniem. Gwiżdżąc wesoło gromadził jeszcze wzdłuż brzegu zapas paliwa. Gdy wrócił, Janka otworzyła właśnie słoik z oliwkami i podała mu jedną na widelcu. Sama żuła już podobny owoc.

— Bardzo lubię oliwki — rzekła. - Czy chcesz także? Podziękował i jadł z apetytem, choć na ogół oliwek nie znosił.

— Gdzie nauczyłaś się to jeść? — spytał. — Sądziłem, że nabiera się tego zwyczaju w szkołach?

— Byłam w szkole - odparła Janka spokojnie. Miała rozbawione oczy i zarumienione policzki.

Przełknąwszy jeszcze jedną oliwkę, dodała:

- A jakże, studiowałam pilnie, a teneris annis .

- Co, łacina?! - zdziwił się Filip.

- Oui, monsieur. Wollen sie noch eine Olive haben?

W głosie jej drżał śmiech. Podała mu nową oliwkę, zarumieniona po korzenie włosów. Faliste sploty w świetle ognia migotały złotem i czerwienią.

- Byłem tego zupełnie pewien - rzekł Filip z głębokim przekonaniem. - Gdzie chodziłaś do szkół?

- W Forcie Bożym. Prędzej, prędzej, woda wykipi! Filip skoczył do ognia. Janka podała mu kawę, po

czym wyłożyła zimne mięso i chleb. Po raz pierwszy tej nocy mężczyzna dobył fajki i nabił ją tytoniem.

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu jeśli zapalę, panno Janko? — spytał uniesieniem. — W pewnych wypadkach, gdy człowiek zbyt jest wstrząśnięty, fajka zbawiennie działa na nerwy. A teraz po prostu tracę do pani zaufanie.

- A jednak mówien s tylko czystą prawdę! - dorzuciła niewinnie. Była nadal pochylona nad tobołkiem z zapasami, jednakże Filip ułowił przekorny błysk jej zębów.

- Kpisz sobie ze mnie! - zauważył Filip zmieszany. — Proszę mi powiedzieć, gdzie jest ten Fort Boży i co to takiego właściwie?

- To daleko w górę Churchill. Wielka, drewniana budowla wzniesiona zapewne przed paroma wiekami. Ojciec, Piotr i ja, i ktoś czwarty mieszkamy tam samotnie, pośród dzikich. Nigdy jeszcze nie oddalałam się od domu tak bardzo.

- Więc to zapewne dzicy ludzie w tamtych stronach mówią po niemiecku, po łacinie i po grecku?

- Po niemiecku, po łacinie i po francusku. Nie studiowaliśmy dotychczas greki.

- Znam pewną pannę - zaczął Filip, jak gdyby dla samego siebie - która spędziła pięć lat na

pensji, a mimo to rozmawia wyłącznie po angielsku. Nazywa się Eileen Brokaw.

Janka podniosła głowę, lecz po to jedynie, by wskazać garnuszek z kawą.

- Gotowe - rzekła. - Chyba, że pan woli mocniejszą?

ROZDZIAŁ XIII

RĄBEK TAJEMNICY

Filip wiedział, że Janka obserwuje go badawczo, podczas gdy po zdjęciu garnka z ognia odstawiał go na ziemię do przestygnięcia. W mózgu miał zupełny zamęt; nad tyłu sprawami się głowił, o tyle rzeczy byłby chętnie spytał, tymczasem dziewczyna z czarującą beztróską zbywała wszystko ogólnikami. Nic nie zdołało naruszyć jej równowagi. A może istotnie nie wiedziała o niczym. Lecz czyż można wierzyć, że nie miała wcale pojęcia, kim byli napastnicy? Że nie słyszała wcale o Eileen Brokaw, o lordzie Fitzhugh Lee, że mieszkała stale wśród dzikich plemion indiańskich? Jakimże cudem w takim razie знаła niemiecki i łacinę? Drwi sobie chyba z niego, czy co?

Obrócił się, by na nią popatrzeć i pochwycił spojrzenie ciemnych, przejrzystych oczu. Uśmiechnęła się z pewnym znużeniem, a w twarzy nie miała nic prócz zwykłej naiwnej słodyczy. Od razu przestał ją podejrzewać o fałsz. Zawstydził się nawet, że śmiał zwątpić w jej prawdomówność. Pełen pokory zamierzał prawie wyznać głośno swoje myśli. Powstrzymał się w porę. Zszedł znów nad rzekę, by zmyć z rąk sadzę, którą się pobrudził przy pełnieniu swych kucharskich czynności.

Dumał jak bardzo jest tajemnicza i jak wiele uroku jest właśnie w tej tajemniczości. Z każdego jej ruchu przebijał swobodny wdzięk leśnego bytowania; gesty rąk, skinienie głowy, lekki, taneczny chód. Roztaczała wokół siebie leśną atmosferę. Miała tak czyste oczy, tak szkarłatne wargi, takie bogactwo ciemnych przeświecających złotem włosów. Nic fałszu! Nic sztuczności! Jakżeby mogła kłamać? Uśmiechała się tak pocziwie, gdy wrócił znad rzeki. Przyrównywał jej oczy do oczu Indianek z plemion Cree. Były podobne, lecz jeszcze piękniejsze. Oczy Eileen były także śliczne, ale zupełnie inne. Tamte mogły zwodzić, te zaś nie.

Na białej serwecie Janka rozłożyła: zimne mięso, chleb, ser i pikle, Filip zaś podał kawę. Zauważył, iż chodząc wspiera się już chwilami całym ciężarem na zwichniętej nodze.

- Czy już lepiej? — spytał, wskazując ruchem głowy obandażowaną stopę.

- Znacznie lepiej. Spróbuję nawet chodzić normalnie. Ale nie teraz. Teraz umieram z głodu.

Naląła mu kawę, po czym sama zaczęła jeść śniadanie z takim apetytem, że nie mógł wprost od niej oczu oderwać. Jednakże głód w nim przemógł; posilali się oboje bez słowa niby dwoje zgłodniałych dzieci. Janka nalewała mu właśnie drugi kubek kawy, gdy Filip zauważył, że ręka jej drży.

- Piotr tak by się cieszył, gdyby tu był razem z nami — rzekła. — Nie rozumiem, dlaczego prosił, byśmy jechali we dwójkę do Fortu Bożego. Jeśli jest tylko lekko ranny, dlaczego nie ukryć się gdziekolwiek i nie poczekać na niego? Dogoniłby nas jutro.

- Wszystko to stało się tak szybko, że nie mieliśmy czasu na omawianie szczegółów — odparł Filip zmieszany mimo woli niespodziewanym pytaniem. Przypomniał sobie Piotra; skrwawioną, bezwładną postać mdlejącą nad urwiskiem. Konieczność okłamywania Janki nadal sprawiła mu niewymowną przykrość. Kto wie, czy Piotr w ogóle kiedykolwiek zejdzie do Churchill i wróci do Fortu Bożego?

- Może Piotr mniemał, że będą nas tropić bez przerwy

- zauważył głośno widząc, że Janka ma nadal oczy niespokojne i badawcze. — W tym wypadku oczywiście, im prędzej byśmy trafili do Fortu Bożego, tym lepiej. Pamiętaj, że Piotr troszczył się przede wszystkim o ciebie, o twoje bezpieczeństwo. Nie dbał wcale o siebie. Upłyną zresztą dwa lub

trzy dni zanim będzie prawidłowo władał ręką — zakończył niemrawo.

- Ach, więc był ranny w rękę?

- I w głowę. Ale rana w głowę była najzupełniej powierzchowna. Ogłuszyła go i tyle.

Janka wskazała na odbłask płomieni na rzece.

- Jeśli będą nas ścigać? ...

- Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — zapewnił Filip, jakkolwiek rozmyślnie odpiął przed chwilą futerał rewolweru. - Szukają nas w stronie Churchill.

- Titus venit periculum cum cantemnitur - zauważyła Janka z półuśmiechem.

Zbladła trochę, jakkolwiek Filip widział, że czyni duży wysiłek dla zachowania chociażby zewnętrznego spokoju.

- Może masz rację - odparł Filip - przysięgam jednak, że nie rozumiem o co chodzi. Powtarzam poprzednie swoje pytanie: czy nauczyłaś się łaciny żyjąc wśród Indian?

Dziewczyna pochyliła głowę, przy czym zęby jej błysły w uśmiechu.

- Mam w domu nauczyciela. Poznasz go, gdy trafimy do Fortu Bożego. To najmiłszy człowiek pod słońcem!

Słowa jej wywarły na Filipie dziwne wrażenie. Przepelniała je czułość i duma. Nie śmiał po prostu zadawać dalszych pytań. Przypomniawszy sobie, co mówiła poprzednio: „Zamieszkuje Fort Boży z ojcem, Piotrem i kimś trzecim“. Ten trzeci był właśnie niewątpliwie nauczycielem, przybyszem z cywilizowanych stron, który nauczył tę śliczną dziewczynę wszystkiego, czym się mogła poszczycić. A ona nazywała go „najmiłszym człowiekiem pod słońcem“.

Nie bardzo rozumiał, co się z nim dzieje, wiedział tylko wstając od ognia, że dźwiga znów na ramionach dawny ciężar, a samotność, odegnana na chwilę, nęka mu serce. W milczeniu spakował rzeczy. Bez poprzedniego zapału usadził Janke w czółnie. Nie zauważył nawet, że dziewczyna obserwuje go spod oka i że otwiera usta, jak gdyby chcąc coś powiedzieć. Zarówno ona jak i on poczynili ważne odkrycia, nie dające się jeszcze ująć w słowa.

— Muszę przecież wiedzieć jedną rzecz — rzekł Filip, gdy mieli już odbić od brzegu. — Muszę wiedzieć, gdzie mam szukać Fortu Bożego? Czy leży nad rzeką Churchill?

- Nad Małą Churchill. W pobliżu jeziora Waskiaowaka. Ciemność zataiła wrażenie jakie słowa te wywarły na

Filipie; gapił się chwilę oszołomiony. Z trudem powstrzymał okrzyk. Czuł, że drży. Wiedział, że jeśli przemówi, niewątpliwie zdradzi go głos.

W pobliżu jeziora Waskiaowaka! Jezioro Waskiaowaka leżało przecież o trzydzieści mil niespełna od jego obozowiska nad jeziorem Ślepego Indianina! Gdyby bomba wybuchła mu pod stopami nie zdziwiłoby go to bardziej, niż informacja udzielona przez Janke głosem tak spokojnym. Fort Boży o trzydzieści mil zaledwie od miejsca, na którym rozegra się niebawem śmiertelny bój!

Zanurzył wiosło w wodę i czółno strzeliło naprzód. Krew pulsowała w nim gorączkowo, jak w koniu wyścigowym dobiegającym mety. Spośród wszystkich rzeczy jakich się ostatnimi czasy dowiedział, ta była najbardziej znamienita, najważniejsza. Niby ogień po loncie, myśli gnały ku jednemu celowi. Czyżby Fort Boży oraz jego mieszkańcy stanowili jądro spisku przeciw Kompanii? Czyżby tam należało szukać rozwiązania zagadki?

Spojrzał na Janke. Świt już się zaczynał, a pierwsze blaski zorzy rozpraszały mrok nocny. Chłód poranny, jak zwykle za nadejściem dnia dawał się silnie we znaki, toteż dziewczyna otuliła się w jedną ze skór niedźwiedzich, podciągając ją aż pod brodę. Głowę miała obnażoną. Włosy wilgotne od mgły ciasno oblegały szyję i czoło. Miała w sobie coś dziecinnego: zdawała się tak słaba, tak bezradna, tak potrzebująca pomocy i tak pełna ufności w stosunku do swego opiekuna. Ze wstydem

odrzucał poprzednie podejrzenia. Janka, jak gdyby czując zwrot jego myśli, spojrzała mu prosto w oczy i roześmiała się porozumiewawczo, przy czym śmiech ten starczył za całą przemowę. Taki uśmiech, skierowany pod właściwym adresem, pomnaża stokrotnie siły mężczyzny. Filip poweselał od razu. Cokolwiek się knuje w Forcie Bożym, Janka z pewnością nic o tym nie wie.

- Czy wiesz — rzekł - że gdybym cię nawet nigdy więcej nie zobaczył, do końca życia będę pamiętał trzy obrazki. Pierwszy, gdy cię spotkałem nocą nad urwiskiem. Drugi, gdy tak siedzisz teraz owinięta w skóry niedźwiedzie. Tylko wybrałbym chwilę, gdy się uśmiechasz.

- A trzeci obrazek? — spytała Janka ani podejrzewając, co Filip ma na myśli. - Może wtenczas, gdy głownią sparzyłam kark temu zbirowi? ... Albo, albo ...

Umilkła niespodziewanie wydymając usta, przy czym gwałtowny rumieniec wypłynął na jej bladą zazwyczaj twarz.

- Albo wtenczas, gdy opatrywałem ci nogę - dokończył Filip, uśmiechając się na widok jej ślicznego grymasu. - Nie, to nie to panno Janko! Trzeci obrazek, którego nigdy nie zapomnę ma jako tło kamienne moło w Churchill, gdzie rzuciłaś się na spotkanie prześlicznej panny wysiadającej właśnie na ląd.

Jance krew omal nie trysnęła z twarzy. Kurczowo zacisnęła wargi. W gwałtownym ruchu skóra niedźwiedzia ześlizgnęła się jej z ramion. Oczy miała pełne skier ognistych. Tych parę słów przeobraziło ją z naiwnego dziecka w kobietę, dygocącą pod wpływem niepojętego jakiegoś wzruszenia.

- To była pomyłka! — rzekła, przy czym głos drżał jej nieco. — Pomyliłam się po prostu. Sądziłam, że ją znam, okazało się tymczasem, że nic podobnego. Nie należy pamiętać tej właśnie sceny!

- Oczywiście, głupiec ze mnie! — zawołał Filip, doznając w stosunku do samego siebie uczucia wyraźnego obrzydzenia. - Jestem największym idiotą pod słońcem. Ale proszę mi wierzyć, że nie chciałem urazić ...

- Wcale mnie nie uraziłeś! - zaprzeczyła szybko na widok jego troski. - Nie powiedziałeś przecież nic złego. Nie chcę tylko, żebyś to pamiętał. Wspominaj lepiej chwilę, gdy sparzyłam szyję tego draba!

Śmiała się już, mimo że oddychała szybciej niż zazwyczaj i twarz miała czerwoną jak w gorączce.

— Będziesz o tym pamiętał?

- Aż do śmierci!

Pogrzebawszy trochę na dnie łodzi, Janka wyciągnęła teraz drugie wiosło.

— Zachowywałam się dotychczas jak prawdziwy leń - rzekła, klękając w ten sposób, że obróciła się doń plecami. - Gdy jadę z Piotrem pomagam mu w pracy. To ty mnie tak zbałamuciłeś! Klęczę zawsze na dziobie i wiosłuję. Doprawdy, wstydzę się po prostu. Trudziłeś się przecież całą noc.

— A czuję się tak wypoczęty, jakbym nic nie robił od tygodnia - oświadczył Filip, pozerając wzrokiem smukłą kibić oddaloną na odległość wiosła.

Płynęli dobrą godzinę w górę rzeki, zamieniając zaledwie od czasu do czasu parę krótkich słów. Wiosła unosiły się i opadały w rytmicznym tempie; woda śpiewnie bulgotała pod rufą; urok cichych brzegów, piękno budzącej się wraz ze słońcem przyrody, zmuszały ich do nabożnego skupienia. Mgła rozpraszała się z wolna. Pierwszy promień słońca padł na ciężki, na poły rozpleciony warkocz Janki, zwieszony przez plecy na zalegające dno łodzi bagaże, przy czym włosy zyskały od razu takie bogactwo odcieni, aż się Filip zadziwił. Poprzednio sądził, że są jednolicie ciemne, teraz spostrzegł, że igrają w nich rudawe i złote płomyki. A im dłużej obserwował samą dziewczynę, tym mu się

wydawała piękniejsza. Ruchy ramion, skręt całego ciała, gdy silniej nalegała na wiosło, osadzenie głowy, śliczny wykrój brody widzianej czasem z profilu wszystko to sprawiało, iż czara zachwyty wypełniła się po brzegi. Zdziwił się wspominając, że Janka jest siostrą Piotra Couchée. Nie miała w sobie nic z Metyski. Falisty włos; blade policzki o wyjątkowo delikatnej cerze. Dla większej swobody ruchów zawinęła szerokie rękawy prawie po łokcie, przy czym skóra ramion miała wyraźnie odcień bladoróżowy, jak u Europejki.

Zastanawiał się właśnie nad dziwnym brakiem podobieństwa u tych dwojga, gdy Janka odwróciła głowę i po raz pierwszy przy świetle dziennym zobaczył jej oczy, błękitne jak poranne niebo. Nie, stanowczo byłby przysiągł, że między nią a Piotrem nie ma żadnych więzów pokrewieństwa.

- Zbliżamy się do pierwszych porohów - oświadczyła.

- Zaczynają się zaraz za tą brzydką górą naprzeciw. Trzeba będzie przenieść czołno brzegiem około ćwierć mili. Koryto rzeki jest pełne wielkich głazów, a prąd tak bystry, że jadąc w dół omal żeśmy się z Piotrem nie rozbili.

Od godziny było to pierwsze, dłuższe zdanie. Filip położył na chwilę wiosło w poprzek łodzi i ziewnął, jak gdyby się dopiero co zbudził z głębokiego snu.

- Biedny chłopak - rzekła Janka, przy czym uderzyło Filipa, że Eileen gdyby się tu znalazła, mogła użyć tych samych słów, lecz zamiast szczerzej przyjaźni brzmiałaby w nich nuta niemiłego spoufalenia.

- Musisz być bardzo znużony? - ciągnęła Janka dalej.

— Gdyby szło o Piotra, kazałabym mu po prostu wypocząć dobrych parę godzin. Piotr słucha mnie, gdy jesteśmy sami. Nazywa mnie swoim kapitanem. Może i ty przejdiesz pod moją komendę?

...

- Z największą przyjemnością, kapitanie. Uczynię tylko jedno zastrzeżenie: musimy dążyć naprzód. Wydawaj jakie chcesz rozporządzenia, ale musimy płynąć dalej za wszelką cenę. Dzisiejszej nocy będę zresztą spał. Spał jak zabity. A więc, kapitanie, czy mogę pracować za dnia?

Janka zwracała już dziób czołna ku brzegowi. Wykręciła się doń znów plecami.

— Nie masz nade mną litości - rzekła. - Piotr z pewnością usiłowałby mi dogodzić i łowilibyśmy cały dzień ryby w pobliskim jezioru. Ręczę, że pełno tam pstrągów.

Kapryśny ton, żartobliwe słowa, stanowiły dla Filipa zupełną nowość. Była doprawdy rozkoszna. Mężczyzna wybuchnął śmiechem donośnym i wesołym jak uczeń. Janka oświadczyła z udaną powagą, że nie widzi wcale powodu do śmiechu, po czym zaledwie czołno zaryło dziobem w piasek wyskoczyła na ląd z lekkością sarny nie czekając, aż pomoże jej wysiąść. Potknęła się jednak i upadła. Filip momentalnie ukląkł koło niej.

— Nie powinnaś tak ryzykować! Jako lekarz twierdzę, że noga nie jest jeszcze w porządku.

— Ależ jest - zaprzeczyła wesoło. - To ten paskudny bandaż. Chinka, gdy jej po raz pierwszy spowiją stopę, czuje się z pewnością tak samo. Uf! Zaraz zdejmę!

— A, więc znasz także Chiny - bąknął Filip pod nosem.

— Wiem, że zamieszkują je żółte dziewczęta, które ściskają sobie nogi w ten sposób - oświadczyła Janka, ściągając mokasyn. — Odbyłam właśnie z moim profesorem rozkoszną wycieczkę wzdłuż Chińskiego Muru. Wybieraliśmy się samochodem do Pekinu, ale się w ostatniej chwili zlekłam.

Filip burknął coś pod nosem. Udał się z powrotem do czołna, przy czym na ustach Janki zaigrał wesoły uśmiešek. Gdy wyładowawszy z łodzi zapasy Filip odwrócił się znów, dziewczyna przechadzała się po wybrzeżu, utykając nieco na jedną nogę.

— Jest właściwie zupełnie dobrze - rzekła, uprzedzając jego pytanie. - Nie boli wcale, tylko

stopa trochę mi zdrętwiała. Czy możesz rozpakować to małe zawiniątko. Muszę się trochę ogarnąć, podczas gdy ty przeniesiesz łódź.

Pół godziny później Filip zdjął z ramion czołno w górnym krańcu porohów. Jego przybory toaletowe zostały w chacie pod opieką Gregsona, wymył się więc tylko w rzece, a włosy przeczesał palcami. Gdy wrócił, Janka wydała mu się przeobrażona prawie nie do poznania. Włosy układały się faliście na kształtnej głowie. Zmieniła poszarganą sukienkę na inną, z miękko wyprawionej kremowej skórki. Bluzkę ściągnęła u szyi czerwoną kokardą, której odbłask dodawał jej policzkom różanej świeżości. Patrząc na nią Filip przypomniał sobie pewien wieczór, gdy panna Brokaw, wspomagana przez pokojówkę, ubierała się na bal całe dwie godziny. W sercu głuszy, w tak krótkim czasie Janka potrafiła się stać stokroć piękniejsza niż Eileen. Wyobraził sobie co za sensację wywołałoby pojawienie się takiego cudu na jakiegokolwiek sali balowej.

Przenosił jeszcze później czołno dwukrotnie, za drugim razem wspomagany przez Jankę, która uparła się, by nieść mały tobołek oraz dwa wiosła. Mimo całej energii moralnej, mimo dużego zasobu sił fizycznych, Filip począł wreszcie odczuwać skutki szalonego napięcia. Obliczył, że przez ostatnie dwie doby spał zaledwie sześć godzin. Mięśnie ramion i rąk cierpły ostrzegawczo. Wiedział wszakże, iż od Churchill dzieli ich jeszcze zbyt mała odległość. Mogli oczywiście rozbić obóz w głębi łądu, tak by ich z rzeki nie wykryto, lecz w ten sposób pościg miał możliwość wyprzedzić zbiegów, co stwarzało znów sytuację wysoce niebezpieczną.

Pochlebiał sobie, że tak zręcznie ukrywa istotny stan rzeczy, iż Janka niczego nie zauważy. Ani podejrzewał, że dziewczyna wiosłuje sama z coraz większym napięciem, byle dopomóc słabnącemu towarzyszowi.

Rzeka zwężyła się znacznie, a prąd stawał się coraz bardziej rwący. Od wschodu słońca do jedenastej przed południem trzeba było pięciokrotnie przenosić czołno brzegiem. Za piątym razem zjedli obiad i wypoczęli około dwóch godzin. Potem ruszyli dalej. O trzeciej Janka złożyła wiosło w poprzek łodzi i obróciła się do Filipa. Rysy mężczyzny zaostrzyły się z wyczerpania. Uśmiechał się, lecz mimo najszczerzych usiłowań uśmiech ten wychodził żałośnie. Na policzkach płonęły mu gorączkowe rumieńce. W miejscu, gdzie został uderzony w walce, odczuwał piekący ból. Janka obserwowała go dobrą chwilę w zupełnym milczeniu.

- Filipie - rzekła, przy czym po raz pierwszy wymawiała w ten sposób jego imię. — Żądam stanowczo, żebyśmy natychmiast wysiedli! Jeśli nie przybijesz zaraz do brzegu skoczę w wodę, a ty możesz sobie jechać dalej!

- Słucham, panie kapitanie - zgodził się Filip na pół przytomnie.

Janka skierowała łódź do brzegu i wyskoczyła pierwsza, podczas gdy Filip przy pomocy wiosła opierał się prądowi. Wskazała zalegające dno łodzi bagaże.

- Trzeba wylądować to wszystko wraz z namiotem. Zostajemy do jutra rana.

Skoro znaleźli się na stałym łądzie osłabienie Filipa częściowo minęło. Wywłócił łódź wysoko na łąd, po czym wraz z Janką udał się na zbadanie lesistego brzegu. Trzymali się dobrze ubitej ścieżyny łosiej, która wywiodła ich niebawem na niewielką polanę usianą tu i ówdzie złomami głazów. Opasywały ją białe pnie brzoź, ciemne świerki i jodły. Szlak łosi przecinał otwartą przestrzeń, by po drugiej stronie trafić nad szemrzący strumyk kręty i wąski, zarosły mchem i paprocią. Było to idealne miejsce na obozowisko, toteż Janka na widok chłodnej wody strumienia wydała okrzyk radości.

Wróciwszy nad rzekę Filip ukrył łódź pośród szuwarów, zatarł wszelkie ślady i począł znosić pakunki na polanę. W uroczym zakątku porośłym bujną murawą ustawił maleńki jedwabny namiot Janki i o kilkanaście kroków rozpałił ogień. Ze szczególnego rodzaju przyjemnością ścinał gałązki jodłowe na posłanie dla dziewczyny. Pracował tak zawzięcie, że w lesie pociemniało już, zanim

skończył. Przy ciepłym świetle ogniska policzki Janki rumieniły się jak dojrzałe jabłko. Obrąła sobie płaską skałę jako stół, a rozkładając na niej zapasy wybuchnęła niespodzianie śpiewem, lecz przypomniawszy sobie, że to nie Piotr jej towarzyszy, umilkła zmieszana. Filip, z ostatnim naręczem jedliny znajdował się właśnie poza nią, więc gdy się obróciła uśmiechnął się wprost w jej rozradowane oczy.

- Lubisz życie leśne? - spytał.

- Szalenie!

Oczy jej błyszczały. Rozglądała się wokoło z widocznym zachwytem.

- Czy to nie cudne? - szepnęła, oddychając szybciej jak gdyby znużona podziwem. — Za nic w świecie nie wyrzekłabym się tego życia. Urodziłam się tu i tutaj chcę umrzeć. Tylko ...

Cień przebiegł po jej twarzy.

- Wasza cywilizacja prze na północ i psuje wszystko! Odwróciła się w kierunku skalnej płyty imitującej stół.

Filip rzucił jedlinę na ziemię.

- Jedźmy teraz kolację - rzekł beztrasko.

Janka po raz pierwszy nadmieniła w paru słowach, co myśli o rdzennej ludności i o przybyszach. Obecny wybuch przypomniał Filipowi jej nienawistny okrzyk w stosunku do Churchill. Teraz jednak uspokoiła się zupełnie jedząc prawie w milczeniu, przy czym Filip spostrzegł, iż musi być bardzo znużona. Skończywszy, siedzieli trochę przy ogniu, obserwując grę płomieni. Ogień stopniowo przygasał; mrok nacierał zewsząd. Głęboka cisza leżała wokół. W jedlinie opodał pohukiwała sowa, czyniąc to głosem stłumionym i ostrożnym, jak gdyby w obawie, że nieopatrzny wrzask mógłby zbudzić na nowo jasność dzienną. Wśród chaszczy rodziły się rozliczne dźwięki: szmery, chrzęsty, szelesty, spowodowane być może przez powiew wiatru, przez zwierzęta jakieś lub przez duchy. Ponad głowami ludzi śmigły sosny, jodły i świerki gwarzyły szeptem. W oddali parsknął łoś, który idąc dobrze znajomą ścieżyną zwietrzył niespodzianie ludzką obecność. Dalej jeszcze, na małym jeziorcu w głębi boru, wielki nurek północny rzucił głośnie wyzwanie całemu światu i co prędzej skrył się pod wodę. Ogień tlił się tuż przy ziemi. Filip przysunął się nieco do Janki.

- Janko - rzekł, zwalczając z trudem chęć pochwylenia jej za rękę — rozumiem cię doskonale. Przed dwoma laty sam zerwałem z cywilizacją, by tu zamieszkać. Kocham ten kraj i nigdy go nie porzucę.

Dziewczyna milczała.

- Jednej tylko rzeczy nie pojmuję - ciągnął Filip. — Jesteś mieszkanką Północy, nienawidzisz cywilizacji, a mimo to sprowadziłaś sobie człowieka, który by cię uczył rozlicznych spraw z tą cywilizacją związanych. Twierdzisz przy tym, że jest to najmilszy człowiek pod słońcem..

Czekał drząc. Miał wrażenie, że pomiędzy jego pytaniem a odpowiedzią Janki mija wieczność. Rzekła wreszcie:

- Człowiek, o którym wspomniałam, to mój ojciec. Teraz Filip po prostu stracił głos. Ciemność kryła rysy obojga, toteż Janka nie mogła dostrzec, co się maluje w jego twarzy i ani podejrzewała, że chce jej paść do nóg.

- Wspominałaś - szepnął - o sobie samej, o Piotrze, o ojcu i o kimś trzecim. W Forcie Bożym mieszka was czworo. Sądziłem, że ten trzeci, a raczej czwarty, to właśnie twój nauczyciel.

- Nie, to siostra Piotra.

- Twoja siostra? Masz więc siostrę? Usłyszał, że Janka oddycha nierówno.

- Słuchaj — rzekła po chwili — muszę ci coś powiedzieć o Piotrze, pewną rzecz, która miała miejsce przed wielu, wielu laty. Działo się to pośród srogiej zimy, gdy Piotr był jeszcze chłopakiem.

Polował kiedyś i trafił na dziwny trop: kobiety idącej pieszo. Wokoło było pustkowie. Piotr ruszył śladem. Znalazł kobietę - martwą. Zginęła z głodu i chłodu. Godzina wcześniej i byłby ją ocalił, gdyż u piersi trupa odkrył malutkie dziecko, dziewczynkę, jeszcze żywą. Przyniósł to dziecko do Fortu Bożego, pod opiekę dobrego samotnika. Tam wychowało się i wyrosło. Nikt nie wie kim jest, kim byli jej ojciec i matka, toteż Piotr, który dziewczynkę znalazł nazywa ją siostrą, a człowiek który ją wychował - córką.

- Więc taka jest druga siostra Piotra? - zgadywał Filip.

Janka wstała ze skalnego złomu i majacząc w ciemności smukłą sylwetką, szła w kierunku namiotu. Odpowiedziała głosem zdławionym wzruszeniem czy też łzami.

- Nie. Rodzona siostra Piotra przebywa obecnie w Forcie Bożym. Ja jestem tą, którą Piotr znalazł w śniegu.

Rozplakała się i znikła w namiocie.

ROZDZIAŁ XIV

KATASTROFA

Filip siedział nadal nieruchomo. Gdyby nawet chciał, nie mógłby chyba dobyć głosu dla przywołania Janki z powrotem. Jej żalorny płacz podziałał na niego przygnębiająco. Czekał zresztą, że dziewczyna ukaże się znów, lecz wiedział, że wtenczas także nie znajdzie słów odpowiednich.

Bezwiednie prawie dogrzebał się do jednej z tych ran, których ból dokuczliwy trwa całe życie; prosić teraz o przebaczenie byłoby tylko nowym nietaktem. Powodowany pragnieniem dowiedzenia się o Jance czegoś więcej, postawił ją w położeniu bez wyjścia. Wykazawszy większą cierpliwość mógłby się przecież dowiedzieć tego samego od Piotra lub od starego samotnika w Forcie Bożym. Jak bardzo dziewczyna musi nim obecnie pogardzać, że tak Nielitościwie wyzyskał jej bezradność i własną przewagę. Ocalił ją od wrogów, to prawda, lecz w zamian za to otwarła przed nim serce, uczyniła to zaś nie z własnej woli, tylko pod przymusem.

Poprawił ogień, przy czym rozproszone drobne gałązki zajęły się od zarzewia, a jaskrawy choć krótkotrwały płomień oświetlił bladą jego twarz. Miał ochotę zbliżyć się do namiotu i usprawiedliwić przed Janką, wiedział wszakże, iż nie poważy się uczynić nic podobnego ani dziś, ani jutro, gdyż tym samym wyznałby swą miłość. Już i tak, parokrotnie, omal się nie zdradził. Rozumiał, iż w istniejących warunkach uczucie to należy zachować w głębokiej tajemnicy. Janka znajduje się w sercu głuszy, pod jego opieką, zupełnie sama i bezbronna. Cóż stąd, że ją kocha, trzeba by było jeszcze wiedzieć jakim uczuciem ona go darzy?!

Udał się między dwie skały, gdzie poprzednio rzucił naręczę jedliny na posłanie dla siebie. Położywszy się, przykrył się kocem Piotra, lecz zarówno znużenie jak i chęć snu odbiegły go całkowicie, toteż minęło sporo czasu zanim zasnął wreszcie i we śnie zapomniał o popełnionym głupstwie. Spał zresztą później jak zabity, nie słysząc żadnych dźwięków nocnych. Maleńka sowa — czarownica, wrzeszcząc przenikliwie wśród konarów, zbudziła Jankę i poderwała ją na posłaniu bladą i drżącą. Filip ani się ruszył. Obudził się dopiero gdy coś ciepłego poczęło go łaskotać po twarzy. W pierwszej chwili sądził, że to ciepło ogniska, lecz było to słońce. Wnet potem oprzytomniał całkowicie, słysząc jak Janka śpiewa w pobliżu.

Z wieczora bał się pierwszego zetknięcia z dziewczyną. Poczucie winy ciążyło mu nieznośnie. Lecz ten głos niski i dźwięczny, radosny niby świergot ptasi, wywołał w nim od razu pogodny uśmiech. Najwidoczniej Janka zrozumiała wszystko, a zrozumiawszy przebaczyła choć może nie zapomniała urazy.

Zdał sobie raptem sprawę, jak wysoko słońce stoi na niebie i od razu siadł wyprostowany. Janka dostrzegła głowę jego i ramiona wyskakujące ponad głazy i wybuchnęła wesołym śmiechem.

- Śniadanie czeka już od godziny! — wołała. — Proszę się prędko umyć albo zacznę jeść sama!

Filip wstał, w oszołomieniu spojrzął na zegarek.

- Ósma godzina! — jęknął. — Powinniśmy byli zrobić już co najmniej dziesięć mil drogi!

Janka siedziała przy ich kamiennym stole, śmiejąc się nadal. Ten śmiech, niby blask słońca rozpraszał mrok nocnego przygnębienia. Rozejrzawszy się po obozie Filip stwierdził, że dziewczyna wstała już co najmniej przed dwoma godzinami. Tobały były spakowane i ściągnięte rzemieniami. Jedwabny namiot zwinięty. Podczas gdy on spał, Janka zebrała dostateczną ilość chrustu, rozpałała ogień i przyrządziła śniadanie. Stojąc teraz w pewnym oddaleniu, zarumieniona pod jego wzrokiem, czekała co powie.

— To strasznie miłe! — wykrzyknął Filip gorąco. — Nie zasłużyłem sobie doprawdy na tyle dobroci!

— Och! — bąknęła Janka i to był cały jej komentarz. Pochyliła się nad ogniem, podczas gdy Filip pośpieszył do rzeki. Postanowił zachowywać się dziś z większą rezerwą. Nurzając twarz w chłodnej wodzie utwierdzał się w tym postanowieniu. Począwszy od dnia dzisiejszego zapomni o wszelkich sentymentach, dbając jedynie o całość i bezpieczeństwo kobiety powierzonej jego pieczy.

Dopiero o dziewiątej odbili od brzegu. Wiosłowali bez przerwy do dwunastej. Po obiedzie Filip skonfiskował wiosło Janki, każąc jej siedzieć w łodzi twarzą do siebie.

Całe popołudnie minęło Filipowi niby słodki sen. Nie napomykał nawet w rozmowie o Forcie Bożym ani o jego mieszkańcach; nie wspominał o Eileen Brokaw, o lordzie Fitzhugh Lee czy o Piotrze. Mówił o sobie oraz o sprawach, z którymi był związany bezpośrednio. O nieżyjących już rodzicach, o małej siostrzyczce, która dawno umarła. Przedstawiał swą wielką samotność i widział, jak błękitne oczy Janki napełniają się tklwym współczuciem.

Minęło popołudnie; zrobili znów trzydzieści mil zanim rozbili obóz na noc. Dzień drugi i trzeci upłynął w ten sam sposób. Czwartego dnia docierali do porohów Big Thunder, w pobliżu ujścia Małej Churchill, o sześćdziesiąt mil od Fortu Bożego.

Dnie mijały dla Filipa z radosną szybkością i jedno tylko miał im do zrzucenia, że trwają zbyt krótko. Janka stała się dla niego wszystkim w życiu. Ona wyłącznie pochłaniała serce jego i zmysły. Myślał z żalem, że tylko dwie doby drogi dzielą ich od fortu Bożego, po czym zajdą zmiany radykalne. Nawet w głuszy obowiązuje pewne formy towarzyskie, o ile zejdzie się więcej niż dwoje ludzi naraz.

Zresztą po parodniowym wypoczynku musi przecież ruszać do swego obozu, nad jeziorem Ślepego Indianina.

Filip pochmurniał nieraz od tego rodzaju myśli, ale wnet humor mu się poprawiał. Po południu czwartego dnia wypogodził się nawet zupełnie, powziąwszy ważne postanowienie. Znają się co prawda bardzo krótko, lecz łączy ich tyle wspólnych przeżyć i upodobań, jak gdyby przebywali ze sobą od dawna. Nic zatem nie stoi na przeszkodzie, by w forcie Bożym wyjawiał Jance jak bardzo ją kocha.

Janka obserwowała go właśnie w tej chwili. Zobaczyła, iż z twarzy mężczyzny znika posępny wyraz, a na policzki wybija rumieniec. Gdy zaś Filip pochwycił na sobie jej wzrok, roześmiał się bez widocznej przyczyny.

- Jeśli to coś tak zabawnego — spytała - to proszę mi powiedzieć?

Pokusa była silna, lecz Filip zwalczył ją mężnie.

— To tajemnica - rzekł - wyjawię ją dopiero w Forcie Bożym.

Janka odwróciła twarz w górę prądu, nasłuchując uważnie. Czyniła to już kilkakrotnie w ciągu ostatniej pół godziny, przy czym Filip nasłuchiwał wraz z nią. Początkowo słyszeli jedynie daleki szept, który wraz z upływem czasu przybierał na sile, na wzór jesiennego wiatru huczącego w gałęziach sosen. Był to, odległy jeszcze, lecz coraz bliższy ryk wody wśród porohów Big Thunder. Szept przeobrażał się w wycie, wycie przechodziło w łoskot, łoskot dudnił już na kształt gromu. Prąd stawał się tak bystry, że Filip musiał wyteńczyć całą siłę ramion, by posuwaród czółno naprzód. Po chwili zresztą skręcił do brzegu.

Od miejsca, na którym wysiedli wydeptany szlak wiódł ku nagiej skale spiętrzanej ponad porohami. Prócz skał nie było tu nic więcej. Niezliczone stopy ludzkie: bose, obute w mokasyny lub w trzewiki o twardych podeszwach wygładziły drożynę tuż nad brzegiem. Łapy psów: wilczurów, huski, zwykłych kundli, miały tu również swój udział. Ludzie i zwierzęta po wielekroć przemierzali

tę ścieżynę przenosząc łodzie i wszelkie ciężary.

Filip wziął tobół na plecy i ruszył wraz z Janką. Grzmot przybierał na sile. Ogłuszał ich tak, że nie słyszeli dźwięku własnej mowy. Tuż ponad porohami szlak się zwężał, szeroki zaledwie na osiem stóp, ściśnięty pomiędzy przepaścią a górskim garbem. Filip, obejrzawszy się zobaczył Jankę przytuloną do skały. W bladej twarzy dziewczęcej świeciły jedynie przerażone oczy. Przemówił do niej uspokajająco, wiedząc z góry, że dostrzeże tylko ruch warg. Potem, składając tobół na ścieżce, stanął nad samą krawędzią przepaści.

O sześćdziesiąt stóp poniżej zobaczył Big Thunder: chaos rozszalałych pian, pośród których czarne łby głazów podwodnych, wzierające chwilami na powierzchnię, sprawiały wrażenie strasznych bestii grających w ciuciubabkę. Oto jakiś głaz wydzierał się z toni, piętrzył w górę, jakby go ktoś podbijał od spodu i tonął znowu w zmydlonym kipieli. Chaos zdawał się posiadać własne życie, którego głosem był grzmot. Filip stał chwilę jak urzeczony groźnym pięknem krajobrazu. Ktoś musnął go za rękę: Janka. Stała tuż poza nim dygocąc, chcąc spojrzeć w dół, a równocześnie nie śmiąc tego uczynić. Filip ujął mocno obie jej dłonie, czym ośmielona dała jeszcze jeden krok. Cofnęła się zaraz i roztrzęsiona, plecami przylgnęła do ściany skalnej.

Drożyna skończyła się zresztą niebawem, gdyż cała jej długość wynosiła niespełna dwieście jardów. Dalej leżała zielona kotlinka, w której wypoczywali zazwyczaj wędrowcy rzeczni. Do zachodu słońca brakło jeszcze około dwóch godzin, gdy Filip przenosił już ostatnie pakunki.

— Nie będziemy tu obozowali — rzekł do Janki, wskazując szczątki licznych ognisk. — Okolica zanadto uczęszczana. Przy tym ten hałas ogłusza mnie po prostu.

Janka wzdrygnęła się wyraźnie.

- O, tak! — rzekła śpiewnie. — Uciekajmy stąd co prędzej. Boję się!

Filip zniósł czółno nad sam brzeg rzeki, gdy tymczasem Janka przydźwigała skórę niedźwiedzia. Prąd płynął tu leniwie, powolnie wirując tylko miejscami i bulgocząc jak wrzący na ogniu syrop. Filip umieścił czółno na pół w wodzie, na poły jeszcze na piasku i wracał po resztę ładunku zostawiwszy Jankę nad rzeką. Kotlina była oddalona zaledwie o strzał rewolwerowy. Obejrzawszy się idąc, Filip zobaczył dziewczynę schyloną nad łodzią. Potem zakryła ją wypukłość gruntu. Gwiżdżąc nachylił się nad bagażami, lecz niespodzianie doleciał doń krzyk, podobny do szeptu na tle łoskotu wody. Wyprostowawszy się słuchał uważnie.

- Filipie, Filipie!

Było to własne jego imię, rzucone w przestrzeń głosem pełnym rozpaczliwego przerażenia. Nie zwlekając dłużej pognął co sił z powrotem. Wydostawszy się z kotliny poszukał wzrokiem Janki. Znikła. Czółno znikło również. Ze strachu zrobiło mu się słabo. Nowy krzyk Janki podciął go niby batem.

- Filipie! Filipie!

Jak szalony pognął ścieżyną nad urwiskiem, wzywając Jankę, myśląc, że jest blisko. Spojrzał w dół nachylony nad krawędzią przepaści. W dole, pod sobą, zobaczył czółno i Jankę. Walczyła daremnie z rozhukanym żywiołem; dostrzegł, jak prąd wydarł jej z rąk wiosło. Wzywała go rozpaczliwie. Filip wrzasnął, a dziewczyna natychmiast obróciła ku niemu bladą twarz. O pięćdziesiąt jardów na przedzie czerniały pierwsze głazy. Jeszcze minuta, mniej niż minuta i Janka roztrzaska się na nich. Myśli mknęły mu przez głowę szybciej, niż mkną w przestrzeni błyski światła. Cóż mógł dla Janki uczynić? Cóż mógł zaradzić? Chyba żadna żywa istota nie mogłaby się oprzeć potędze rozszalałych wód. A jednak dziewczyna wzywała jego pomocy! Wyciągała ku niemu ręce. Wierzyła w niego, ufała mu nawet w obliczu śmierci.

- Filipie! Filipie!

— Idę, Janko! Idę! Trzymaj się mocno łodzi!

Pędził, zdzierając po drodze ciężką kurtę. Nieco poniżej karłowata sosna, znalazłszy trochę ziemi w szczelinie skalnej, nurzała w wodzie pokręcone gałęzie. Filip wgramolił się na pochyły pień ze zręcznością wiewiórki i uczepiony oburącz wisiał w powietrzu, gotów skoczyć w odpowiedniej chwili. Istniała jedna tylko szansa ratunku, jedna na tysiąc, na dziesięć tysięcy. Jeśli uda mu się spaść we właściwym mgnieniu i chwycić czółno za rufę, może potrafi sterować, nim używając własnego ciała zamiast steru.

Nadzieja pierzchła równie szybko jak się narodziła. Czółno gruchnęło o pierwszy napotkany głaz. Piana strzeliła niby gejzer i Janka znikła w jej oparach. Potem ukazała się znów prawie pod zawieszonym na gałęzi Filipem. Mężczyzna rzucił się w dół niby kamień. Szalonym wysiłkiem pochwycił dziewczynę wpół obejmując ją lewą ręką, tak iż prawą miał wolną.

Na przedzie kipiały wiry, z bliska jeszcze straszliwsze niż gdy się je oglądało z wysoka. Ryk ogłuszał, odbierając przytomność. Lecz pomiędzy dwojgiem ludzi a zaporą z głazów, leżała niewielka przestrzeń gładkiej wody, głębokiej, czarnej i rwącej. W chwilowej ciszy Filip spojrzał na Jankę. Głowa dziewczyny spoczywała na jego piersi. Spotkali się wzrokiem i w ostatnim mgnieniu przed nieuniknioną śmiercią miłość wzięła górę nad trwogą. Umrą niebawem, lecz Janka umrze przynajmniej w jego objęciach. Należy do niego na zawsze. Przytulił ją mocniej. Twarze się zbliżyły. Chciał krzyknąć, wyznać tajemnicę, którą zamierzał wyjawić dopiero w Forcie Bożym. Lecz głos ludzki utonąłby niewątpliwie w tym grzmocie jak szept w czasie zawieruchy. Janka go nie zrozumie. Kłębowisko białych pian bluzgało im już w twarze. Filip pochylił się, całując dziewczynę raz po raz, na oślep. Wir ich porywał. Mężczyzna zwinął się ku przodowi, by własnym ciałem osłonić Jankę pod zębatą krawędzią głazów.

Wszystko umknęło mu teraz z pamięci poza tym jednym najważniejszym nakazem: brać każdy cios zamiast niej. Głazy zmiażdżą go, poszarpią, pokaleczą najstraszliwiej, lecz Janka tylko utonie. Wypychał ją ku górze, głową i ramionami osłaniając jej piersi. Na półprzytomny walczył rozpaczliwie. Czas włócił się w nieskończoność, a łoskot i ryk wody nie tylko ogłuszał, lecz wdzierał się też do mózgu. Miał chwilami wrażenie, że to armaty grzmią wkoło zajadłe. Nie czuł ani bólu, ani nawet uderzeń, jak gdyby zwalczał jedynie dźwięk. Lecz dźwięk także zamierał w oddali. Filip doznał wielkiej ulgi i dziwna myśl zaświtała mu w mózgu. Opatrzność dozwoliła mu przebyć porohy szczęśliwie. Nie zawadził o skały podwodne. Ocalał. Jankę nadal trzymał w objęciach.

Gdy rzucił się w wodę, był jasny dzień. Teraz nastąpiła noc głęboka. Czuł ziemię pod stopami, wiedział zatem, że wyniósł swój ciężar na brzeg. Słyszał jak doń mówi, nazywając go po imieniu, więc z radości rozplakał się sam, bełkocząc niezrozumiałe jakieś wyrazy. Panowała zupełna ciemność, a znużenie coraz bardziej dawało się we znaki. Filip leciał teraz, spadał gdzieś głęboko w dół, Janka zaś starała się utrzymać go na powierzchni. Prosiła go także o coś. Lecz nic nie zdołało go wydrzeć z objęć snu. Marzenia senne płynęły niepowstrzymanym korowodem. Noc i dzień zmieniały się z szybkością błyskawiczną. Zbudził się wreszcie w pełnym dniu. Znajdował się w namiocie, a na zewnątrz płonęło słońce. Filip uniósł się i siadł zdziwiony.

Obok, na ziemi siedział człowiek: Piotr Couchée.

- Niech Bogu będzie chwała! - ozwał się Metys. - Jest pan ocalony.

- Piotrze! - bąknął Filip.

Wracała mu pamięć. Czuł znaczne osłabienie, lecz wiedział już, że nie śni, że to co dostrzega wkoło nie jest wytworem maligny.

- Przybyłem tu nazajutrz po waszej przeprawie przez porohy — tłumaczył Piotr, widząc oszołomienie Filipa. — Pan ocalił Jankę. Nic się jej nie stało, ale pana pokaleczyło silnie. Miał pan

gorączkę.

- Janka zdrowa, na pewno?

- Na pewno. Pielęgnowała pana, zanim ja przybyłem. Teraz śpi.

- Czy to trwało bardzo długo? Moja choroba?

- Przybyłem wczoraj - rzekł Piotr. Pochylając się nad Filipem dodał: — Niech pan tylko leży spokojnie. Przywiozłem panu list od pańskiego przyjaciela Gregsona, a podczas gdy będzie pan czytał ugotuję panu zupę.

Wyszedł z namiotu, Filip zaś otworzył list malarza. Gregson napisał jedynie kilka wierszy.

Drogi Fil, mam nadzieję, że mi przebaczysz. Znużyło mnie to wszystko. Nigdy nie lubiłem okolicy zbyt zalesionej, toteż pozwolę sobie wyjechać stąd, pozostawiając ci na pożegnanie moc najlepszych życzeń. Walcz dalej! To przecież twoja specjalność, więc na pewno zwyciężysz. Ja bym ci tylko zawadzał. Odjeżdżam na statku, który opuszcza Churchill za trzy lub cztery dni. Zamierzałem opowiedzieć ci to wszystko tej nocy, gdy tak niespodziewanie znikłeś. Żałuję, że nie mogliśmy się przedtem pożegnać. Napisz proszę, co słuchać.

Twój Tom

Filipowi z oszołomienia list wypadł z ręki. Podniósłszy oczy spojrzał półprzytomnie i nagle dziwny krzyk wydarł mu się z ust. Lecz nie szło mu tym razem o doznany zawód. Po prostu zobaczył Jankę.

Stała w wejściu do namiotu zupełnie niepodobna do dawnej Janki. Twarz miała zoraną cierpieniem. Błede wargi, przymglone oczy, policzki wklęsłe jak po chorobie. Niespodzianie upadłszy na kolana utuliła oburącz jedną z dłoni Filipa.

- Tak się cieszę - szepnęła przez łzy. - Tak się cieszę! Na mgnienie przytuliła policzek do jego ręki.

- Tak się okropnie cieszę! ...

Wstała zataczając się. Wyszła, lecz Filip słyszał, że dziewczyna idąc płacze.

ROZDZIAŁ XV

FORT BOŻY

Dopiero gdy jedwabne skrzydło namiotu opadło za wychodzącą Janką, wróciła Filipowi zdolność mowy. Parokrotnie zawołał jej imię, po czym z trudem zwalczając osłabienie siadł na posłaniu. Wreszcie wstał. Co prawda ledwo mógł się utrzymać na nogach. Ostry ból niby wyładowania elektryczne przeszywał mu ciało. Prawe ramię miał sztywne i zdrętwiałe, zauważył przy tym, że spowija je gruby bandaż. Ból głowy dolegał silnie; nogi uginały się w kolanach. Usiłował dotknąć czoła lewą ręką, lecz podniósłszy ją na wysokość oczu uśmiechnął się porozumiewawczo. Była opuchnięta i posinaczona. Ciekawe — pomyślał - czy cały jestem taki piękny? - Wyczerpany do cna padł z powrotem na posłanie. Po chwili nadszedł Piotr niosąc miskę zupy.

Filip obserwował go wzrokiem bardziej przytomnym. Metys zmienił się również, jakkolwiek w mniejszym stopniu niż Janka. Twarz mu zeszcupiała. Oczy miał posępne i garbił się, jakby go tłoczyło wielkie znużenie. Filip przyjął miskę z zupą popijając ją wolno, w milczeniu. Poczł się znacznie silniejszy. Spojrzał znów na Piotra. Metys postradał dawną dumę. Pod badawczym spojrzeniem spuścił wzrok.

Filip wyciągnął rękę.

— Piotrze!

Metys ujął podaną dłoń, a uściskawszy ją mocno czekał w milczeniu. Zaciskał tylko wargi.

— Co się stało? — pytał Filip. — Co jest Jance? Wspominałeś przecież, że nie była ranna? ...

— Na ciele jest zupełnie zdrowa — przerwał Piotr, klękając obok posłania. - Proszę tylko słuchać. Lepiej powiem o co chodzi. Pan jako mężczyzna zrozumie w pół słowa i nie trzeba będzie nawet wyjaśniać wszystkiego. Otóż z Churchill przyniosłem wieści, którymi musiałem się podzielić z Janką. Były to straszne wieści, załamała się więc pod ich ciężarem. Jako człowiek honoru niech pan nie pyta o nic więcej. Jeśli chce pan nam obojgu pomóc, proszę udawać, że pan nie spostrzega jej cierpienia. Proszę udawać, że pan wierzy, iż są to skutki nerwowego wstrząsu spowodowanego niedawną katastrofą. Nieco później dowie się pan o wszystkim i wtenczas pan zrozumie. Na razie muszę milczeć. Ufam panu, gdyż wiem, gdyż zgadłem...

Przymknął oczy spozierając ponad głową Filipa gdzieś w daleką przestrzeń.

— Ufam panu — powtórzył - i proszę o to wszystko, gdyż zgaduję, że pan Jankę kocha ...

Okrzyk radości wydarł się z ust Filipa.

— Kocham ją Piotrze! Naturalnie, że ją kocham!

— Zgadłem to — rzekł Piotr. — Czy pomoże mi pan ją ocalić?

— Do ostatniego tchu.

— W takim razie zechce pan nam towarzyszyć do Fortu Bożego, stamtąd zaś uda się pan niezwłocznie do swego obozowiska nad jeziorem Ślepego Indianina.

Filip poczuł, że na czoło występują mu kropelki potu. Nie odzyskał jeszcze w pełni dawnych sił. Gdy przemówił, głos miał nienaturalny i drżący.

— Więc ty wiesz? - wyjąkał.

— Wiem — odparł Metys. — Wiem, że pan jest tam szefem i Janka wie o tym również. Wiedzieliśmy o tym, zanim wyznaczylismy panu spotkanie nad urwiskiem. Musi pan wracać do swoich ludzi.

Filip milczał. Nadzieja, którą się tak długo sycił zamierała w nim i gasła. Spojrzał na Piotra. Twarz Metysa pokrywał silny rumieniec. Oczy latały mu niespokojnie.

— Czy to konieczne?

- Konieczne, proszę pana.

- W takim razie dobrze, usłucham. Ale przede wszystkim Piotrze, muszę się jednak paru rzeczy dowiedzieć. Nie mogę tak błędzić w ciemnościach. Czy w Forcie Bożym obawiają się moich ludzi?

— Nie, proszę pana.

- Jeszcze jedno pytanie. Kto to jest lord Fitzhugh Lee? Oczy Piotra rozszerzyły się. Żrenice poczerniały, przy

czym zamigotał w nich groźny błysk. Pochylając się Metys oparł obie dłonie na ramionach Filipa. Dobrą minutę dwaj mężczyźni przyglądali się sobie wzajem. Wreszcie Piotr przemówił. Głos miał zdławiony, niski, o brzmieniu tak niesamowitym, że w serce Filipa wkradł się ziąb.

— Zabiłbym pana raczej, niż dał odpowiedź na to pytanie! Nikt na świecie nie uczynił tyle dla Janki i dla mnie, co pan właśnie. Winniśmy panu wdzięczność bezgraniczną. Mimo to jednak, jeżeli powtórzy pan te słowa raz jeszcze, zyska pan we mnie zakłętego wroga. Jeżeli wspomni pan to imię wobec Janki, utraci pan ją na zawsze.

Z tymi słowami opuścił namiot.

Filip siedział długi czas bez ruchu. Miał wrażenie, że ziemia umyka mu spod nóg, a on sam trwa zawieszony w dziwnym chaosie. Gregson zdezerterował haniebnie, bez słowa sensownego wyjaśnienia, chociaż gotów byłby życie własne stawić o zakład, że Gregson jest druhem wiernym i wypróbowanym. W zwykłych warunkach ten fakt właśnie odsunąłby wszystkie inne na dalszy plan, lecz dziś naczelne miejsce zajmowała tajemnica Janki.

Przed dwoma dniami przecież była rozbawiona i roześmiana, ciesząc się, że trafią niebawem do Fortu Bożego; z każdą godziną wzrastała jej radość. Wraz z przybyciem Piotra zmieniło się wszystko, a istotnym powodem musiał być lord Fitzhugh Lee. Piotr zabronił mu wspominać nawet wobec Janki imienia lorda. Tymczasem przed paroma dniami zaledwie, gdy wymówił otwarcie to nazwisko, dziewczyna nie zdradziła nie tylko obawy, lecz najmniejszego zainteresowania. Zapewniła go zresztą, że słyszy to nazwisko po raz pierwszy w życiu i że w Forcie Bożym nikt go nie zna.

Filip wsparł głowę na rękach, zaciskając palce we włosach. Co to wszystko znaczy? Wspomniał moment nad urwiskiem, gdy Piotr na dźwięk tego imienia ocknął się z letargu. Usiłował wysnuć jakiś wniosek z dziwnych fragmentów zdarzeń, które się przytrafiły od chwili przybycia Gregsona do Churchill, lecz trafił w taki wir przypuszczeń, że skronie mu pękały. O tak niewielu rzeczach miał wyrobione zdanie. Kocha Jankę, tego był najpewniejszy, jak i tego również, że dziewczyna nie jest zdolna do fałszywej gry. Nie słyszała istotnie nazwiska lorda Fitzhugh Lee, dopóki Piotr nie uświadomił jej w tym względzie. Cóż zostawało mu teraz? Chyba tylko iść za radą Piotra i czekać cierpliwie na rozwój wypadków, w przekonaniu, że wszystko się skończy pomyślnie.

Filip wstał i zbliżył się do drzwi namiotu. Niespodzianie przyszła mu do głowy myśl tak kłopotliwa, aż na blade policzki trysnął szkarłatny rumieniec. Pocałował przecież Jankę w parowie, gdy śmierć zaglądała im w oczy. Pocałował nie raz, a wiele razy, zdradzając tym swą miłość. Był teraz rad i zawstydzony równocześnie; rad, że dziewczyna już wie a zawstydzony, że nie zdołał utrzymać się na wodzy. Obawiał się przy tym, że wzajemny ich stosunek będzie teraz mniej łatwy i prosty.

Janka dostrzegła go pierwsza wychodzącego z namiotu. Siedziała przed szałasem z jodłowych gałęzi, podczas gdy Piotr, obrócony plecami rozpałał w pobliżu ogień. Spoglądali na siebie chwilę w milczeniu, po czym dziewczyna zbliżyła się wyciągając ręce. Usiłowała zachowywać się naturalnie,

lecz przychodziło to jej z trudnością. Ręką drżała; wargi trzęsły się. Po raz pierwszy spuszczała przed nim oczy.

— Piotr opowiedział już co zaszło — rzekła. — To był istny cud, lecz w każdym razie zawdzięczam ci życie. Dostałam za swoje, że zachowałam się tak nieostrożnie. Co prawda, nie pokaleczyło mnie o skały tak ja ciebie, ale jednak...

Roześmiała się, cofając dłoń. Filip, pomny przestrogi Piotra, przybrał także ton pogodny i bez troski.

— To rzeczywiście było straszne. Ale zachowałam się dzielnie. Byle teraz nerwy nie odmówiły posłuszeństwa. Bywa tak nieraz, że po pewnym czasie dopiero wyczerpanie wychodzi na jaw.

Piotr odwrócił się właśnie uśmiechnięty, rad że Filip idzie za jego prośbą.

— Daję słowo proszę pana - rzekł — że nie znam kobiety, która by w podobnych okolicznościach zdołała zachować tyle zimnej krwi, co Janka. O Boże, gdy w dole rzeki znalazłem część strzaskanej łodzi, byłem pewny, że zginęliście oboje!...

Słuchając, Filip zaczynał pojmować, że lekkomyślnie przecenił swoje siły. Nogi miał dziwnie wiotkie, a we krwi miast poprzedniej gorączki czuł lodowaty chłód. Janka położyła mu dłoń na ramieniu i popchnęła go w kierunku namiotu.

— Musisz się szanować — rzekła. — Musisz teraz wypocząć aż do obiadu.

Uśluchał chętnie. Piotr odprowadził go do namiotu, przy czym w jakiejś chwili Filip zmuszony był wesprzeć się na ramieniu Metysa.

— To reakcja, proszę pana — tłumaczył tenże. — Jest pan osłabiony po gorączce. Gdyby pan mógł się nieco przespać...

— Mogę — zapewnił Filip padając na posłanie. — Ale Piotrze, chciałbym coś powiedzieć. Nie chodzi mi o żadne pytanie, tylko...

— Nie teraz, proszę pana, później.

Zaszeleściło skrzydło namiotu i Piotr się oddalił. Filip wyciągnął się wygodniej. Minęły zawroty głowy i mdłości; przyszedł kojący, głęboki sen. Zbudziwszy się po pewnym czasie Filip doznał wrażenia, że wróciła mu cała poprzednia energia. Gdy wyrzał z namiotu zobaczył tylko Piotra, natomiast wejście do szałasów osłaniała rozpostarta dera. Na pytające wejrzenie Filipa Metys skinął głową porozumiewawczo.

Filip posilił się trochę po czym nachylony w stronę Piotra, rzekł:

— Przestrzegałeś mnie przed zadawaniem pytań, nie zamierzam też pytać o nic. Nie zabroniłeś mi jednak wyjawiania moich własnych tajemnic, toteż opowiem ci coś niecoś o lordzie Fitzhugh Lee.

Ciemne oczy Piotra błysnęły.

— Proszę pana ...

— Czekażże! - przerwał Filip. — Wcale nie wyciągam ciebie na słowo. Muszę tylko powiedzieć, co sam wiem o lordzie Fitzhugh Lee, choćbyśmy się mieli potem pobić. Zgaduję, że człowiek ten jest waszym wrogiem i że on powoduje tragedię Janki. Otóż jest on również wrogiem moim. Skoro wyjawię ci dlaczego, może zmienisz zdanie i będziesz mi bardziej ufał. Jeśli zaś nie, no to sobie milcz po dawnemu!

Szybko, nie spuszczając przy tym oczu z twarzy Piotra, Filip opowiedział wszystko, co wiedział w sprawie tajemniczego lorda. W miarę jak mówił, Metys zmieniał się nie do poznania. Gdy doszło do listu, w którym planowano zagładę Kompanii przy pomocy niegodnego podstępów, Piotr wydał zdławiony okrzyk. Oczy wyłaziły mu z orbit. Na czole pojawiły się kropelki potu. Palcami kurczowo przebierał w powietrzu. Skoro mówiący umilkł, Metys zakrył twarz rękoma. Trwał tak długą chwilę, by niespodzianie podnieść znów wzrok na Filipa. Syknął.

— Jeśli to nieprawda, proszę pana?... Jeśli to kłamstwo!...

Umilkł, pokonany. Będąc sam niezmiernie odważnym, umiał poznać wartość moralną innych. Zrozumiał, że żadna siła nie zmusiłaby Filipa do popełnienia tego rodzaju kłamstwa.

— To szczerą prawdą — rzekł Filip.

Metys roześmiał się, choć najwidoczniej nie do śmiechu mu było, po czym wyciągnął rękę na znak zupełnej ufności.

— Wierzę panu - oświadczył, przy czym słowa wybiegały mu z trudem ze ściśniętego gardła. — Gdyby pan to co mnie teraz, powiedział poprzednio Jance, wie pan, co bym pomyślał?

— Nie mam pojęcia.

— Pomyślałbym, że umyślnie skoczyła w odmęty porohów Big Thunder!

— Co ty mówisz człowieku?!

— To już wszystko, proszę pana. Nie powiem nic więcej. O, Janka już się zbudziła! — dodał głośniejszym głosem w formie przestrogi. — Zwiniemy teraz namiot i ruszymy dalej!

Zanim Filip się odwrócił, Janka stała już opodal. Przywitawszy go uśmiechem pośpieszyła pomóc Piotrowi w uprzążeniu obozu. Jasnym było, że unika rozmowy z poprzednim towarzyszem. Westchnęła prawie z ulgą, gdy znaleźli się we trójkę w czółnie Piotra. Płynęli do późnego wieczoru i rozstawiali namiot Janki dopiero przy świetle gwiazd. O brzasku ruszyli dalej. Nazajutrz po południu rzeka toczyła leniwe fale przez kraj nizinny i bezleśny, zwany Pustkowiec Białego Lisa. Na horyzoncie czerniał bór i piętrzyły się łańcuchy wzgórz. Słońce ginęło poza ich krawędzią. W gęstniejącym mroku jeden wierch łowił szkarłatne promienie zachodu, jarząc się niby latarnia sygnałowa.

Łódź stanęła. Oboje, Janka i Piotr spoglądali w stronę samotnego szczytu.

Janka, siedząca jak zwykle na dziobie, obróciła się twarzą do Filipa, przy czym szkarłatny blask ubarwił jej blade zazwyczaj policzki.

— To jest właśnie Fort Boży - rzekła.

ROZDZIAŁ XVI

SIEDZIBA SAMOTNIKA

Głos Janki drżał lekko. Łódź, skręcając bokiem do leniwego prądu, dążyła teraz ku brzegowi. Filip gapił się na Piotra. Metys obnażył głowę, a twarzą zwrócony ku jarzącemu szczytowi górskiemu ukląkł na dnie łodzi. Sprawiał wrażenie rozmodlonego. Oczy miał jednak szeroko otwarte, a twarz uśmiechniętą. Duma i radość zajęły miejsce wyczerpania oraz troski. Wyglądał na zjawę sprzed stuleci, jak niegdyś na nadmorskim urwisku; brakło mu jedynie rapiera dla podkreślenia złudy. Janka niewygodnie skulona na dziobie czółna, wytwornym gestem skłoniła przed Filipem głowę.

— Witamy w Forcie Bożym, panie Filipie!

- Dziękuję! — odpowiedział Filip, spojierając w kierunku migocącej słońcem skały.

Nie dostrzegął zresztą nic więcej prócz tej skały właśnie, czarnej smugi boru oraz nędznego pustkowiecia rozpostartego pomiędzy horyzontem a brzegiem. Jeśli Fort Boży nie mieścił się pośród głazów, to kryła go chyba wzbierająca ciemność. Łódź wolno ruszyła naprzód, przy czym Janka obróciła się nieco w ten sposób, by móc objąć wzrokiem górny bieg rzeki. Las zbiegł teraz nad samą wodę, osłaniając przed wzrokiem ludzkim nagie pustkowiecie. Koryto Małej Churchill zwężyło się znacznie, przy czym stromy stok, zawalony gałęziami, piętrzył się nieomal nad głowami jadących. Milczeli wszyscy. Filip słyszał za plecami nerwowy oddech Piotra. Pełne szczególnego napięcia oczekiwanie tych dwojga, udzieliło się także i jemu. Mimo że nasłuchiwał pilnie, nie dolatywał doń żaden dźwięk, mogący świadczyć o bliskości jakiegokolwiek osady; w wielkiej ciszy nawet pies nie zawył. Cisza i mrok działały przygniatająco. Płynęli w ten sposób dobre pół godziny, po czym Piotr wpłynął czółnem w boczną odnogę, między gęste zarośla dzikiego ryżu oraz szuwarów.

Drzewa iglaste, szeroko rozrośnięta leszczyna, zamknęły się wokół podróżnych. Wyniosłe cedry spletały gałęzie na tle wieczornego nieba. Filip zaledwie rozróżniał na przedzie postać Janki.

Niespodzianie nastąpiła zupełna zmiana. Wybiegli z ciemności, niby z tunelu, przy czym wiosło Piotra nurzało się w wodzie tak ostrożnie, iż o kilka metrów nie posłyszalibyś plusku. Na przedzie czerniał wielki, mroczny masyw, nakłuty paroma jarzącymi światłami. Łódź bez szmeru osiadła na piasku. Piotr wyskoczył pierwszy; za nim Janka. Filip gramolił się na ostatku.

Metys wywlókł czółno na ląd. Janka zaś zbliżyła się do Filipa. Podąła mu obie ręce. W mroku majaczyła blada twarz dziewczyny, wypogodzona znów i promienna.

— Nie zbudziliśmy nawet psów, czyż to nie pięknie? Sprawię ojcu niespodziankę, a ty pójdziesz z Piotrem. I jeszcze chciałam ci powiedzieć ...

Wspięła się na palce, przy czym twarz jej znalazła się niebezpiecznie blisko twarzy Filipa.

— Chciałbym ci powiedzieć, że witamy w Forcie Bożym całym sercem!

Umknęła i zagubiła się w ciemności, obok Filipa zaś stanął Piotr. Zęby Metysa błyskały w dziwnym uśmiechu. Rzekł:

— Pierwszy raz słyszę podobne słowa w Forcie Bożym, proszę pana. Nie witaliśmy tu dotychczas żadnego człowieka, który by miał w żyłach krew białego i wnosił z sobą powiew cywilizacji. Przyjmujemy pana lepiej niżli króla.

- Ach, to dlatego Janka zachowuje tyle ostrożności?! -wykrzyknął Filip. — Chce utorować drogę niepożądanemu gościowi! Rozumiem teraz!

- Oczywiście, że gdyby nie pewne wstępne ostrożności, przyjęto by tu pana zupełnie inaczej niżli przyjmą teraz! - odparł Piotr szczerze. — Ruszajmy zatem po cichu, by nie zepsuć planów Janki.

Ruszył pierwszy mając Filipa tuż za sobą. Rozróżniał coraz wyraźniej zarysy wielkiego, czarnego gmachu, z którego biło parę światła. Była to dwupiętrowa masywna budowla wzniesiona z grubych bali. Osłaniał ją i ocieniał wyniosły mur skalny. Oczy Filipa prześliznęły się po tym murze, przy czym nabrał pewności, że jest to ta sama skała, na której łowił niedawno blask zachodzącego słońca. Nie było widać żadnego innego domostwa, ani też jakichkolwiek śladów życia. Piotr kroczył szybko. Minęli oświetlone okno umieszczone tak wysoko, że Filip nie sięgał doń nawet głową, po czym skręcili za węgiel, było tu czarno jak w lochu.

Metys odszukał w ciemności drzwi i mruknął z zadowoleniem stwierdziwszy, iż nie są zaparte na zasuwę. Otworzywszy je ujął Filipa pod ramię. Skoro weszli drzwi zamknęły się cicho. W twarze wionęło powietrze przyjemnie nagrzane, a stopy wyczuły coś miękkiego: skóry lub dywan. Z daleka ktoś śpiewał: niewątpliwie kobieta, choć z pewnością nie Janka.

Filip usiłował zachować spokój, jednakże serce kołatało w nim mocno. Wkraczał oto w głąb tajemniczego Fortu Bożego, gdzie zdawało się czyhać tysiące dziwnych grózb i tyleż niespodzianek. Piotr zatrzymał się na chwilę chichocząc po cichu. W oddali umilkła pieśń, ozwało się natomiast hałaśliwe ujadanie psa, a wnet potem podniecone głosy. Jance powiodło się sprawić niespodziankę. Piotr skierował Filipa przez próg do sąsiedniego pokoju.

- To będzie pana pokój! - wyjaśnił. — Proszę się tu rozgościć. Niewątpliwie władca Fortu Bożego zechce pana niebawem ujrzeć!

Mówiąc, potarł zapałkę i zaświecił lampę. Jeszcze parę sekund i znikł.

Filip rozejrzał się. Znajdował się w izbie mierzącej około siedmiu kwadratowych metrów, umeblowanej tak dziwacznie, że z piersi gościa wydarł się mimowolny okrzyk podziwu. W głębi stało obszerne łóżko mahoniowe osłonięte jedwabnymi firankami, które znów podwijały sznury z plecionego jedwabiu. W pobliżu mahoniowa toaleta dźwigała staroświeckie kryształowe zwierciadło, na wprost którego rozpierał się fotel o sztywnych poręczach. Wszędy królowały zbytek i staroświeczyzna. Światło dawała wielka lampa z kutego brązu. Stół kryła kapa z ciężkiego adamaszku. Podłogę zaścielały miękkie dywany. Ze ścian, ujęte w złoczone ramy, dziwne oblicza śledziły intruza: twarze szczupłe, posępne, surowe rysy. Kobiety o wyniosłym wejrzeniu; mężczyźni w misternie fryzowanych perukach.

Jeden obraz odwrócony był twarzą do ściany.

Filip rzucił się na fotel wyścielony aksamitem; na stole obok leżał stos książek. Przejrzał pobieżnie tytuły. *Utopia* Tomasza Moore'a, *Paweł i Virginia* Bernardin de Saint Pierre'a. Pośród pięknie oprawnych tomów błąkał się jeden Kopciuszek, zużyty i wytarty z wytłoczonym na okładce słowem: *Camilla*. To samo imię Filip wyczytał niegdyś na jedwabnej chusteczce Janki. Wziąwszy tomik do ręki począł przerzucać kartki. Były żółte, zmurszałe. Na karcie tytułowej widniał grubszym drukiem napis: *Znaczenie Boga*. Poniżej czyjaś ręka skreśliła następujący aforyzm:

Szpetne ciało mieści nieraz piękną duszę; pod kobiecą urodą kryje się często piekło.

Filip odłożył książkę z uczuciem strachu. Fort Boży przytłaczał go swą tajemniczością. Wzrok Ignął teraz mimo woli do obrazu zawieszzonego twarzą do ściany. Nie umiając zwalczyć ciekawości, zbliżywszy się obrócił malowidło. Cofnął się potem nieco z pomrukiem uznania.

Spośród złotych ram uśmiechała się do niego twarz nieziemskiej urody. Była to młoda kobieta, tym bardziej nie na miejscu wśród reszty portretów, że ona jedna nosiła strój współczesny. Filip krążył po pokoju, szukając najlepszego oświetlenia i z każdą chwilą dostrzegał w tym wizerunku większe podobieństwo do Janki. Oczy, włosy, słodki wykrój ust wszystko to przywodziło mu na pamięć ukochaną leśną dziewczynę. Kobieta była jednak wyraźnie starsza od Janki, może matka lub siostra. Ale jeśli matka, to kto i kiedy mógł ją namalować w ten sposób dyszącą życiem i zdrowiem?

Bo wszakże Piotr znalazł Jankę w śniegach, a kobieta tuląca do piersi niemowlę była już martwa.

Zawstydzony, jak gdyby uchylił rąbka tajemnicy, co prędzej odwrócił znów portret do ściany. Potępiając w duchu własną niewczesną ciekawość umył się trochę i przygładził stargane włosy.

Po upływie godziny ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Piotr. Metys zmienił się nie do poznania. Nosił wspaniałą kurtkę z miękko wyprawionej żółtej skórki, spodnie spięte klamrami poniżej kolan i buty po staroświecku poszerzone u góry. U pasa połyskiwał mu świeży rapier, ciemne włosy zaś miał starannie zaczesane ku tyłowi, przy czym długie, lekko faliste końce spadały mu na szyję. Skłonił się też dworsko, jak niegdyś.

- Czy jest pan gotów? - spytał.

- Owszem.

- Zaprowadzę pana do pana D'Arcambal, właściciela Fortu Bożego.

Minęli obszerną sień oświetloną teraz nieco, toteż Filip mógł dostrzec liczne drzwi oraz załomy, w których czaił się mrok. Skręcili do korytarza, w głębi którego połyskiwało silne światło. Przy tych drzwiach Piotr usunął się na bok, z ukłonem wskazując drogę towarzyszowi. Filip znalazł się w izbie dwakroć większej niż pokój przeznaczony dla niego. Trzy czy cztery lampy płonęły u sufitu i na stołach. Niezliczone półki dźwigały całe rzędy książek. Na ścianach wisiały piękne obrazy.

W bocznych drzwiach pojawił się właśnie jakiś człowiek i Filip zobaczył przed sobą władcę Fortu Bożego.

ROZDZIAŁ XVII

HENRYK D'ARCAMBAL

Był to właściwie starzec, siwy jak gołąb. Wzrostem dorównywał Filipowi, lecz ramiona miał szersze i tęszą pierś. W jarzącym świetle lampy, z jedną ręką na piersi, drugą wyciągniętą ku gościowi, sprawiał wrażenie dziwnie dostojne. Nosił odzież z miękkich skór, tak jak Piotr. Nadmiernie długich włosów i brody dawno zapewne nie tknęły nożyce; spod krzaczastych brwi świeciły oczy granatowosiwe, niby hartowana stal. Mimo podeszłego wieku mógł nakazać nie tylko szacunek, lecz i posłuch, a nawet wzbudzić trwogę. Filip oczekiwał głosu dudniącego na kształt gromu, tymczasem zdziwił się niepomnie słysząc słowa wypowiedziane drżąco, w podnieceniu tak silnym, że duma i energia nie mogły go zrównoważyć.

- Filipie Whittemore, jestem Henryk D'Arcambal. Niech cię Bóg błogosławi za to coś uczynił!

Zamknął dłoń przybysza w garści mocnej niby kleszcze, po czym zanim się Filip połapał, starzec chwycił go w ramiona i ucałował. Dwaj mężczyźni kochający Jankę D'Arcambal ponad wszystko na świecie, milcząco patrzyli sobie chwilę w oczy.

— Powtórzyli mi wszystko — mówił starzec. — Przywiodłeś Jankę do domu poprzez śmiertelne niebezpieczeństwa. Przyjmij proszę błogosławieństwo ojca i bądź w Forcie Bożym jak u siebie w domu!

Cofnął się, ruchem ręki wskazując w koło.

— Cóż znaczy to wszystko — rzekł — gdybym ją stracił? Gdyby ona umarła, umarłbym i ja. Ratując ją, ocaliłeś także i mnie. Witam cię jak syna. Odkąd Janka wyszła z lat dziecięcych Fort Boży gości po raz pierwszy obcego człowieka. Możesz tu pozostać jak długo trwać będą te mury. Trwają już od przeszło dwóchset lat, należy stąd zatem wnioskować, że przyjaźń nasza tak prędko się nie skończy.

Potrząsnął znów dłonią Filipa, przy czym dwie łzy stoczyły się po jego zwiędniętych policzkach. Filip z trudem hamował wzbierającą radość. Piotr zachowywał się tak opornie. Janka osłaniała się taką tajemniczością, może sam D'Arcambal łatwiej rozproszy mrok, w którym tak trudno znaleźć jakąś drogę.

— Każdy na moim miejscu uczyniłby to samo! - rzekł Filip. - Cieszę się tylko, że ta rola mnie właśnie przypadła w udziale.

— Mylisz się! - zaprzeczył D'Arcambal, poufale ujmując go pod ramię. - Jesteś jednym z tysiąca. Nie każdy potrafiłby przepłynąć porohy Big Thunder i wyjść z życiem z tej przeprawy. Jeden człowiek tylko dokonał przed dwudziestoma laty podobnego wyczynu, Henryk D'Arcambal we własnej osobie. My troje: ty, Janka i ja nie daliśmy się śmierci. To coś jak palec Boży!

— My troje?

— Tak, my troje. Toteż na równi z nami należysz teraz do Fortu Bożego.

Przeszli dalej w głąb pokoju przy czym Filip widział, że wszędzie piętrzą się książki; na półkach, na stołach, nawet na podłodze zasłanej zresztą skórą dzikich zwierząt. W otwartych szafach połyskiwały flaszki, próbówki, przyrządy: cały arsenał uczonego dziwnym trafem przeniesiony w głąb. Tutaj zatem Janka pobierała swoje nauki, stąd wyniosła tę wiedzę, którą go tak oszołomiła w rozmowie.

Starzec wskazał Filipowi krzesło, sam siadając obok. U ich stóp znajdował się niski stółek, przykryty srebrzystą skórą rysia.

- Tu siaduje Janka - tłumaczył D'Arcambal. - To jest od lat jej ulubione miejsce. Gdy jej nie ma, czuję jak życie zamiera we mnie. Dziś znajdujesz się w Forcie Bożym, gdyż tak nazwaliśmy tych parę komnat, do których obcy nie mają wstępu. Reszta, to po prostu dwór D'Arcambal, który zwiedzisz jutro. Tam wchodzi każdy przybysz, tutaj jest jądro, serce domu przeznaczone wyłącznie dla swoich. Pozwoliłem Jance, by po pewnym czasie opowiedziała ci wszystko co uzna za wskazane. Lecz na razie musisz zaspokoić moją ciekawość. Jako stary człowiek mam pierwszeństwo. Opowiedz mi szczegółowo o waszych przygodach...

Przesiedzieli tak wspólnie dobrą godzinę, przy czym Filip opowiadał o wszystkim co się przytrafiło od dnia spotkania nad urwiskiem, pomijając jedynie te szczegóły, których zapewne Piotr i Janka nie radzi byliby poruszać. Po upływie tego czasu Filip nabrał zupełnego przekonania, że D'Arcambal ani podejrzewał istnienia chmury, która niespodzianie padła na życie jego córki. Starzec zaciskał zęby i jeżył srogie brwi, gdy Filip odmalowywał zasadzkę, w którą wpadli Janka wraz z Piotrem, walkę i ranę Metysa oraz porwanie dziewczyny. Wyraził przypuszczenie, iż szło tu zapewne o okup lub o doraźny łup w postaci klejnotów czy pieniędzy. Podobne wypadki miały już miejsce poprzednio; porwano na przykład i przetrzymano czas dłuższy małą córeczkę agenta z Nelson House.

Rozmowa trwałaby bez końca, gdyby pod stołem nie ozwał się niespodzianie srebrny brzęk dzwoneczka, D'Arcambal rozchmurzył od razu nasepioną twarz.

- Ach, zupełnie zapomniałem! — wykrzyknął. - Toż to obiad czeka na nas dobre pół godziny. Poza tym...

Wyciągając rękę zacisnął znajdujący się w pobliżu dzwonek.

- Poza tym jestem okropnym egoistą.

Ledwo słowa jego przebrzmiały w powietrzu w korytarzu ozwały się kroki, a Filip skoczył na równe nogi, mimo że od dawna przekonywał sam siebie o konieczności większego panowania nad nerwami. Do komnaty weszła Janka i stanęła opodal, tak śliczna i urocza, że trudno było dostrzec coś więcej prócz tego jednego zjawiska. Przypomniała mu też do złudzenia obraz twarzą obrócony ku ścianie; te same rysy, tylko więcej w nich życia, więcej zdrowia i barw. Nosiła suknię o kroju staroświeckim śnieżnobiałą i tak powiewną, że zdawała się spływać z niej niby poranna mgiełka. U szyi pieniły się delikatne koronki; ramiona były obnażone. Włosy otaczały w lśniących zwojach kształtną głowę, jeden zaś kwiat o żywych barwach wpięty był nisko, nad karkiem.

Wrażenie było potężne, lecz po krótkiej chwili zmieszania Filip opanował się jako tako. Schylił głowę, chcąc ukryć gwałtowny rumieniec. Janka oddała ukłon z wdziękiem nieporównanym, po czym mijając przyjaciela rzuciła się w wyciągnięte ramiona ojca.

Władca Fortu Bożego zerknął na Filipa ponad głowę córki.

- Oto coś dla mnie ocalił! - rzekł rozpromieniony.

Po chwili dopiero Filip zdał sobie sprawę, że w pokoju znajduje się ktoś jeszcze. Byli to: Piotr oraz dziewczyna, której włosy w świetle lampy lśniły niby skrzydła kruka.

Wymknąwszy się z ramion ojca Janka wyciągnęła dłoń do Filipa.

— Panie Filipie — rzekła ceremonialnie — oto moja siostra, panna Couchee.

Filip uścisnął dłoń siostry Piotra. D'Arcambal zaś zauważył śmiejąc się:

— Jutro, w dworze D'Arcambal będziesz ją nazywał po prostu Otylią. Lecz dzisiejszej nocy znajdujemy się w Forcie Bożym. Ach, Janko, to tylko zawdzięczamy twoim czarom. Istna wróżka z ciebie!

- Raczej anioł ... - bąknął Filip pod nosem.

— Tę młodą wróżkę ma pan prowadzić do stołu, panie Filipie - dodał starzec. - Dziś wypada zdaje się, bym i ja nazywał gościa swego ł npanem“. Jutro natomiast gdy przywdzieję skórzane

spodnie oraz czapę futrzaną, będę mówił po prostu - Fil. Po raz pierwszy proszę pana, moją Janke prowadzi do stołu ktoś inny, prócz mnie lub Piotra. Nic dziwnego, że zazdrość mnie nęka. Proszę przodem!

Gdy Janka oparła mu dłoń na ramieniu i razem wyszli do korytarza, Filip nie mógł się powstrzymać od wyszeptania paru najcichszych słów.

— Tak się z tego cieszę ...

— A suknia panie Filipie! - wołał z tyłu D'Arcambal głosem uradowanego chłopca. — Można być dumnym z towarzystwa samej takiej sukni, już nie mówiąc o nieznośnej dziewczynie, która się w niej mieści. Suknia ta należała niegdyś do pięknej damy, imieniem Camilla, zmarłej przeszło sto lat temu.

— Ojczy, obiecałeś, że będziesz grzeczny! - protestowała Janka. - Pamiętaj, że mi obiecałeś!

— Ach, zapomniałem zupełnie, że to ty masz opowiedzieć panu Filipowi całą tę historię!

Weszli do nowej izby oświetlonej tylko ogromną lampą zawieszoną ponad stołem pokrytym najcieńszym płótnem i pięknym, starym srebrem. Zamiast krzeseł rozmieszczono wokół stołu coś na kształt ław wymoszczonych poduszkami z miękkiej zielonej skóry. Podobne ławy stały pod ścianami. Od obrazów począwszy, a skończywszy na stojących po kątach zbrojach wszystko tchnęło zamierzchłą staroświecczyzną. Ponad otwartym kominkiem, na którym płonęły olbrzymie kłody brzoźowe, wisiał oręż z ubiegłego stulecia: muszkiet, francuskie pistolety używane niegdyś w pojedynkach, krótki rapier i ciężkie szable. Rękojeści pistoletów zdobiły kokardy z wstążki tak wyblakłej, że niewątpliwie nie zmieniano ich od lat.

Podczas posiłku Filip zauważył, że Janka jest w stanie silnego podniecenia. Policzki miała nienaturalnie szkarłatnej barwy, a oczy bardziej błyszczące niż kiedykolwiek. Sprawiała także wrażenie, jak gdyby trawiła ją gorączka. Wzdrygnęła się parokrotnie, jakby dreszcz ją przeszył. Piotr niewątpliwie również zdawał sobie sprawę z dziwnego wyglądu siostry i tylko nadrabiał humorem, gdyż śmiech jego był zupełnie sztuczny. Jedyne stary D'Arcambal i Otylia promienieli szczerą radością. Nie wiadomo dlaczego Filip wspomniał ostatnią kolację w Churchill, w towarzystwie Eileen i jej ojca. Panna Brokaw także była wtenczas zdenerwowana i niespokojna, daremnie usiłując ukryć gorączkowy nastrój pod płaszczykiem banalnej gawędy.

Filip był rad, gdy posiłek dobiegał końca i D'Arcambal wstał z wysłanej skórą ławy. Wtem Filip poczuł na sobie uparte i znaczące spojrzenie Piotra.

— Janka winna jest panu parę wyjaśnień - rzekł starzec, kładąc dłoń na głowie dziewczyny. - Usuniemy się stąd, ona zaś wyjaśni to i owo.

Wyszedł wraz z Otylią i Piotrem. Po raz pierwszy od godziny Janka obdarzyła Filipa szczerym uśmiechem.

— Niewiele mam do wyjaśnienia — rzekła. — Może mi pan nawet mieć za złe, że nie wtajemniczyłam pana w te drobne sprawy wcześniej, mając tak wielki dług wdzięczności do spłacenia. Czekałam jednak na pozwolenie ojca. Udziela mi go ledwie drugi raz w życiu.

— Ależ ją w ogóle niczego nie żądam! — zawołał Filip gwałtownie. - Nie jest mi pani nic winna! Zachowałem się jak brutal, usiłując przeniknąć cudze tajemnice. Wiem, że Fort Boży jest miejscem pełnym czarui i to mi wystarcza...

— A ja właśnie będę mówić! Po raz drugi w życiu mogę, bez skrupowania, mówić komuś o moim domu rodzinnym. Za pierwszym razem zresztą nie sprawiło mi to najmniejszej przyjemności. Teraz to zupełnie co innego ...

Wskazała mu ławę obok siebie, przy ogniu, czuł się poruszony do głębi jej bliskością, szelestem sukni, zapachem perfum. Wiedział, że oto nadchodzi chwila, gdy otworzą się przed nim wrota rajui

lub też runie na zawsze przepaść bez dna. Janka zerknęła w górę, na wiszące na ścianie pistolety. Refleksy ognia igrały w jej włosach, czepiały się koronek przy piersi.

- Niewiele mam właściwie do powiedzenia - zaczęła głosem cichym niby szept. — Ale chcę, żeby pan wiedział wszystko, by z czasem każdą rzecz zrozumieć. Otóż, przed dwustu laty, książę Rupert wysłał w te okolice gromadę rycerskiej szlachty, polecając im założyć Kompanię Zatoki Hudsona. To zresztą należy do historii i pan zapewne wie o tym więcej niżeli ja. Jednym z tych rycerzy był kawaler Grosellier. Pewnego lata płynąc w górę Churchill zatrzymał się w pobliżu wielkiej skały, którą podziwialiśmy właśnie dziś o zachodzie słońca. I jego także uderzył ten widok. Wracając niebawem do Francji postanowił, że zbuduje sobie z czasem w tej okolicy zamek, co uczynił istotnie parę lat później, nazywając swój nowy dom Fortem Bożym. Przez sto lat z okładem bawiono się tu hucznie. Później na początku dziewiętnastego wieku przeszedł we władanie niejakiego D'Arcy, o którym mało co wiemy, prócz tego, że spraszał gości i hulał na zabój. Nad kominkiem wiszą właśnie jego pistolety. Zginął w pojedynku wynikłym na skutek ordynarnej zwady o kobietę z jednym ze swych własnych gości. Na podstawie znalezionych listów sądzymy, iż ta kobieta zwała się Camilla. W pokoju swoim posiadam szafkę pełną delikatnej bielizny, a wszędzie widnieją bądź jej monogramy, bądź też wyhaftowane całe imię. Ta suknia pochodzi również z jej garderoby. Wszystkiego tego muszę używać bardzo ostrożnie, gdyż niezmiernie łatwo się drze. Po panu D'Arcy Fort Boży popadł w zapomnienie, aż przed czterdziestoma laty mniej więcej ojciec nabył tę posiadłość. Oto w paru słowach dzieje Fortu Bożego. Stareto imię poszło dawno w niepamięć. Ludzie mówią po prostu dwór D'Arcambal.

- Ta nazwa nieraz obijała mi się o uszy — rzekł Filip. Umilkł, czekając co mu Janka powie dalej, lecz ona

zwijała nerwowo na kolanach skrawek wstążki.

— Oczywiście to mało ciekawe — ozwała się po chwili. — Łatwo przyjdzie także odgadnąć ciąg dalszy. Mieszkaliśmy tutaj — sami. Nikt z nas nie miał ochoty porzucać starych kątów. Może pan wierzyć lub nie, lecz nas doprawdy nie ęci szerszy świat. Nie lubimy go i drwimy zeń. Tak mnie zresztą uczono od dziecka.

Głos Janki drgnął lekko i broda się jej zatrzęsała. Filip przemocą odwrócił wzrok od twarzy dziewczyny, a wlepiwszy oczy w ogień usiłował powstrzymać słowa cisnące się na usta. Zamiast miłosnego wyznania powiedział z nutą gorzkości.

— Ja znów nauczyłem się nienawidzić świata, w którym żyłem, dopiero z biegiem lat. Dlatego właśnie przemówiłem do was wtenczas, na urwisku.

— Przychodziło mi na myśl czasami - zaczęła Janka - że postępuję nieuczciwie. Bo jak można potępiać coś, czego się nie zna, a raczej zna wyłącznie z opowiadania. Bo ojciec życzy sobie, abyśmy wiedzieli o cywilizacji jak najwięcej, lecz nie stykali się z nią nigdy. Wystarcza nam to dworzyszczce i cienie ludzi zamieszkujących niegdyś Fort Boży. Wielu znam nie tylko z opowiadania, lecz z twarzy. Mam dagerotyp Camilli Poitiers i sądzę, że musiała być bardzo piękna. W szafach przechowały się jeszcze jej trzewiki najmniejsze w świecie i wstążki podobne do tych kokard na pistoletach. W pana pokoju jest również portret kawalera D'Arcy, tuż obok obrazu obróconego twarzą do ściany.

Wstała, wyciągając dłoń do Filipa. Oczy miała wilgotne od łez.

— Chciałabym, żeby pan zobaczył ten jej portret — szepnęła.

Filip nie mógł dobyć głosu. Janka wiodła go za rękę poprzez długą, słabo oświetloną sień. W otwartych drzwiach komnaty gościnnej przystanęli. Janka drżała wyraźnie.

— Pan mi powie prawdę? — prosiła. — Pan mi powie co sądzi o tym portrecie?

— Dobrze.

Wszedłszy pierwsza obróciła obraz w ten sposób, że śliczna twarz uśmiechnęła się do nich w całej swojej porywającej krasie. W zachowaniu Janki było teraz coś patetycznego. Spoglądała na Filipa wyczekująco i błagalnie jak gdyby niepewna, czy szczęście ją zaraz spotka, czy wielka zgryzota. A ze złoconych ram patrzyła inna Janka, nieco starsza, świadoma własnej urody, oczekująca uznania i hołdów. Ciemne oczy miała szeroko rozwarte; białe ręce ukryte wśród koronek na piersi.

Filip zamierzał coś powiedzieć, lecz roześmiał się tylko po cichu. Zdarza się nieraz, że człowiek śmiechem wypowiada nadmierne wzruszenie lub nie mieszczącą się w sercu radość. Janka zrozumiała go na opak. Oczy zmętniały jej od bólu; dwie wielkie łzy spłynęły

— Więc i ty z niej drwisz! - krzyknęła. — Nienawidzą jej wszyscy: ojciec, Piotr. Czyżby naprawdę była tak zupełnie zła? A ja ją przecież kocham!

Trzęsa się od łkań, Filip postradał na chwilę mowę i zdolność ruchów. Oprzytomniawszy podskoczył i chwycił dziewczynę w ramiona.

- Janko, Janko, posłuchaj tylko! Dziś wieczór, zanim poznałem twego ojca oglądałem już ten portret. Polubiłem go od razu, bo tak bardzo przypomina mi ciebie. Janko najdroższa, czyż nie rozumiesz, że ja ciebie kocham!

Obsypał twarz jej pocałunkami. Chętnie podawała mu usta, a w pięknych oczach ułowił wyraz, który omal mu nie odebrał zmysłów z radości.

- Kocham cię, kocham! - powtarzał, nie umiejąc znaleźć innych słów prócz tych najprostszych.

Na krótko objęła go za szyję, lecz niespodzianie ramionami odepchnęła się od piersi mężczyzny, odtrąciła go i z bolesnym krzykiem wybiegła z pokoju.

ROZDZIAŁ XVIII

ZŁAMANE SERCA

Filip stał tam, gdzie go porzuciła Janka na pół wyciągnawszy ręce w kierunku drzwi, mając wargi rozchylone jak do krzyku. Jednakże ani pośpieszył w ślad za dziewczyną, ani jej nawet nie przywołał. Przed chwilą jeszcze radość oszałamiała go niby narkotyk. Trzymał Jankę w objęciach i z bliska patrzył w jej oczy pełne poddania i miłości. Należała do niego przez mgnienie, teraz zaś pozostał sam.

Krzyk, który wydała wydzierając się z jego ramion, brzmiał mu wciąż w uszach. Odepchnęła go, odtrąciła z pasją jak gdyby ją znieważało samo dotknięcie. Wolno opuszczając ręce wzdłuż ciała przeszedł do sieni. Była pusta. Panowała też kompletna cisza. Filip zawrócił do siebie i zamknął drzwi.

Wśród powszechnego milczenia słyszał kołatanie własnego serca. Spojrzał na obraz wiszący na ścianie i doznał dziwnego wrażenia, że oczy portretu zamiast po dawnemu patrzeć wprost na niego, obróciły się ku drzwiom, przez które wybiegła Janka. Zaszedł nieco z boku i wrażenie znikło. Zaczął się baczniej przyglądać malowidłu. W prawym rogu znalazł podpis malarza: Bourret oraz datę 1888. Czyżby to był portret matki Janki? Odrzucił rychło tę myśl, jako zupełnie nieprawdopodobną. Matkę Janki znaleziono bowiem martwą w śniegach o pięć lat wcześniej. Zresztą Piotr pochował ją własnoręcznie gdzieś w pustyni śnieżnej, czyli że nikt inny prócz Metysa nie widział jej.

Rękami drżącymi ze zdenerwowania Filip obrócił portret twarzą do ściany i począł się przechadzać po pokoju dumając, czy D'Arcambal po niego przyśle. Miał nadzieję, że zobaczy jeszcze Jankę dzisiejszego wieczoru. Lecz z drugiej strony Janka mogła się udać wprost do siebie, gdy tymczasem władca Fortu Bożego sądził, że nadal dotrzymuje gościowi towarzystwa. Wtenczas oczywiście nikt się tu nie zjawi, czeka go zatem noc samotna i bezsenna, pełna dręczących przypuszczeń.

Przeczekał jeszcze trzy kwadransy zanim przyszło mu na myśl, że może sam odszukać gospodarza pod jakimkolwiek pretekstem. Zamierzał już wykonać powzięty plan, gdy w sieni ozwały się przyciszone kroki, a wnet potem ktoś, wyraźnie choć nieśmiało, zapukał. Nie było to pukanie męskie, toteż w nadziei, że Janka wraca dobrowolnie Filip co prędzej podskoczył do drzwi.

Usłyszał znów zmykające kroki, lecz w sieni panował zupełny mrok, więc nie zdołał nic dojrzeć. Coś upadło mu do nóg; pochylony podniósł to z podłogi. Była to niewielka koperta, a wszedłszy z powrotem do pokoju Filip stwierdził, że zaadresowana jest do niego, przy czym charakter pisma wskazywał na rękę kobiecą. Gdy otwierał kopertę serce biło w nim jak szalone pełne radosnej nadziei. Przeczytawszy list do końca zbladł tak, aż twarz mu poszarzała.

Panie Filipie, jeśli nie może pan przebaczyć mi tego, co uczyniłam, proszę przynajmniej nie myśleć o mnie źle. Nikt bardziej niż ja nie potrafiłby ocenić pańskiej miłości, gdyż danym mi było poznać wartość człowieka, który mi tę miłość ofiarował. Mimo to nie mogę jej przyjąć, choć nie wolno mi wytłumaczyć panu dlaczego. Nie będzie pan zresztą pytał, prawda? Po tym co zaszło dzisiejszego wieczora nie będziemy się już mogli spotkać, a teraz proszę, błagam, niech pan co prędzej opuści Fort Boży. I niech nikt się nie dowie co nas łączy. Odejdzie pan rano. Modlitwa moja pójdzie w ślad za panem.

Janka

Papier wysliznął się ze sztywnych palców Filipa i zleciał na podłogę. Parę razy w życiu spadały na Filipa ciosy fizyczne tak silne, że odbierały mu przytomność. Doznał obecnie wrażenia, że jeden z tych ciosów dosięgnął go na nowo. Świat zawirował w oczach. Po omacku doszedłszy do fotela osunął się nań bezwładnie, bezmyślnie gapiąc się wciąż na bielejący na podłodze skrawek papieru. Gdyby ktoś przemówił do niego w tej chwili, nie usłyszałby z pewnością. W podobnym wypadku Gregson chichotałby nerwowo, ćmił niezliczone papierosy i układał plany jutrzejszych zmagania. Lecz Whittemore umiał wojować tylko z mężczyznami. Obnażył przed Janką swą duszę i serce, wyjawiał swą miłość — cóż miał uczynić więcej? Jak przełamać jej dziwny upór?

Długi czas przesiedział w fotelu, patrząc to w podłogę, to znów na wiszący na ścianie obraz. Potem wstając podniósł z ziemi list i podszedł do maleńkiego okienka, za którym czerniała noc. Filip wiedział, że stoi twarzą ku północy, gdyż na horyzoncie jaśniała dotąd smuga zorzy wieczornej. Mroczny wał boru zamykał nagi, smętny przestwór pustkowi.

Spróbował uchylić okno, lecz było zamknięte tak mocno, że nie dało się otworzyć. Wtenczas, przecinając izbę wyszedł do sieni, minął ją i znalazł się na dworze. Świeże czyste powietrze podziałało nań orzeźwiająco. Szybkim krokiem przebył skrawek pustkowiecia zalany światłem księżycowym i dotarł niebawem do Słonecznej Skały. Padł nań od razu cień niby od postaci olbrzymiego wartownika. Okrążając podnóże skały znalazł się w pobliżu tego miejsca, na które wyciągnęli z wieczora swoją łódź. Spojrzawszy na rzekę, stanął. Obok łodzi Piotra leżało drugie czółno, na brzegu zaś czerniały dwie ludzkie sylwetki.

Byli to niewątpliwie mężczyzna i kobieta, w chwili zaś gdy Filip na nich patrzył, mężczyzna dał niespodzianie parę kroków i schwytał kobietę w objęcia. Jej oburzony okrzyk przypomniał Filipowi głos Otylii, siostry Piotra i mimo własnych trosk Filip uśmiechnął się na myśl, że nie on jeden w Forcie Bożym padł ofiarą miłości. Odwrócił się co prędzej i odchodził po cichu, by nie przeszkadzać zakochanym. Zaledwie jednak dał parę kroków usłyszał za sobą szybki tupot biegnących nóg. Dziewczyna uciekała porzuciwszy towarzysza.

Filip cofnął się w cień skały, by kobiety nie spłoszyć, minęła go więc na odległość ręki ani podejrzewając jego obecności. Zobaczył teraz jej twarzy i serce w nim zamarło. Ledwo powstrzymał okrzyk bólu. To nie była Otylia. To była Janka.

W następnej chwili znikła mu z oczu. Mężczyzna pchnął czółno na środek rzeczutki i prąd uniósł go szybko. Wtenczas dopiero Filip jęknął. W pobliżu usłyszał podobny jęk niby echo własnego głosu. Filip dał krok naprzód i oto stanął twarzą w twarz z Piotrem Couchee.

Metys przemówił pierwszy.

- Żal mi pana, gdyż wiem jak to boli. Mnie również pęka serce.

Głos i zgnębiona postawa Piotra uderzyła Filipa. Zajrzawszy z bliska w zbolące oczy wyciągnął dłoń mocno potrząsając ręką Metysa. Wszystko naraz zrozumiał.

- Ty także ją kochasz?

- Kocham, proszę pana. Nie jako brat, lecz jako mężczyzna, który ma złamane serce.

- Tak. Teraz rozumiem.

Filip puścił rękę Piotra; głos miał zupełnie bezbarwny.

- Dostałem od niej list, w którym prosi bym opuścił Fort Boży jutro rano. Wolę wyjechać zaraz.

- Sądzę, że tak będzie lepiej.

- Mogę już do pokoju nie wracać — ciągnął dalej Filip - gdyż nie zostawiłem tam żadnych rzeczy. Janka oczywiście wszystko zrozumie, lecz musisz wytłumaczyć panu D'Arcambal, że niespodzianie przybył po mnie goniec znad jeziora Ślepego Indianina i że nie chciałem gospodarza po nocy budzić. Czy odprowadzisz mnie do pół drogi, Piotrze?

- Odprowadzę pana aż do końca. To zaledwie dwadzieści mil. Dziesięć wodą, dziesięć łądem.

Na tym rozmowa się urwała. Obaj mężczyźni zajęli miejsca w czółnie, po czym odepchnąwszy się od łądu popłynęli w tę samą stronę, w której znikł niedawno tajemniczy adorator Janki. Nie dopędzili go zresztą. Skoro zaś wypłynęli na szersze wody Churchill, Piotr skierował czółno w górę prądu. Jazda trwała około dwóch godzin i przez ten czas wędrowcy nie zamienili ze sobą ani słowa. Wreszcie Metys skręcił ku brzegowi.

- Stąd pójdziemy pieszo, proszę pana — rzekł. Ruszył naprzód szerokim sprężystym krokiem, lecz zajrzawszy mu w twarz przy świetle księżyca Filip spostrzegł odbicie rozpaczy równie silnej jak ta, która szarpała nadal własne jego serce. Szlak wiódł najpierw wzdłuż garbu wyniosłego pagórka, po czym skręcał na rozległą równinę. Szli wciąż jeden za drugim, dwa ruchome milczące cienie na tle pustki na pozór bezkresnej. Równina skończyła się jednak, a nowa wyniosłość gruntu dźwignęła się ku niebu. Po upływie pół godziny stanęli u jej szczytu. Piotr wskazał w dół, na leżący u stóp krajobraz pełen ostrych światłocieni.

- Obozowisko pana znajduje się po drugiej stronie tej łąki — rzekł. — Czy poznaje pan okolicę?

- Polowałem na tych pagórkach - rzekł Filip. - Mój dom stoi zaledwie o trzy mile stąd, a o pół mili mam ubity szlak. Tysięczne dzięki, Piotrze.

Podał Metysowi rękę.

- Do widzenia panu.

- Do widzenia.

Głosy obu mężczyzn drżały. Prawice zacisnęły się mocno. Gdy Piotr odwrócił się, by odejść, Filip poczuł jak mu coś zawadza w gardle. Wysoka sylwetka Metysa zginęła niebawem w mrocznej dali, Filip zaś począł zstępować w dolinę. Po chwili obejrzał się raz jeszcze. Zarys postaci Piotra majaczył na tle jaśniejszego nieba.

- Do widzenia Piotrze! - krzyknął Filip.

- Do widzenia panu! - doleciało słabo z oddalenia. Otoczyły go teraz jedynie noc i ciemność.

ROZDZIAŁ XIX

SFAŁSZOWANY LIST

Rozstanie z Metysem sprawiło Filipowi wyraźną przykrość, lecz zupełna samotność przyniosła mu poniekąd pewną ulgę. Piotr przywodził mu wciąż na pamięć Jankę natomiast obecnie poczęło mu się wydawać, że bolesne zdarzenia ubiegłej nocy miały miejsce nie wczoraj, lecz kiedyś bardzo już dawno. Może nawet były raczej snem niżli jawą.

Wędrował wolno poprzez dolinę, trafiwszy zaś na szlak wydeptany kopytami własnych zaprzęgów trzymał się go już machinalnie. Miał wrażenie, iż bardzo niedawno, przed paroma godzinami zaledwie kroczył tędy, jedynie w kierunku odwrotnym, udając się do Churchill. Tygodnie nieobecności, oglądane z daleka, skracały się do mikroskopijnych rozmiarów. Traciły nie tylko na długości, lecz również na znaczeniu. A jednak doświadczył w nich więcej niż kiedykolwiek przedtem w życiu. Samo szczęście, sama radość i ten okrutny cios u podnóża Słonecznej Skały.

Janka wspominała mu niegdyś, że Fort Boży zamieszkuje jedynie dwóch mężczyzn; ojciec jej i brat. Kim więc był ten trzeci? Kochankiem, którego widuje ukradkiem. Filip wzdrygnął się i przyspieszając kroku począł nabijać fajkę. Miał pewność niezachwianą, że D'Arcambal nie wie tu o niczym, a Janka znów nie podejrzewa, iż Piotr przejrzał jej tajemnicę. Gdyż niewątpliwie Metys nie po raz pierwszy był świadkiem tajemnego spotkania. Mimo to wierzył w Jankę i kochał ją nadal.

Wtem spostrzegł na przedzie coś, co zmieniło zasadniczo ponury tok myśli. Była to blada smuga, przecinająca ubity szlak i płynąca dalej poprzez łąkę ku wschodowi. Filip podbiegł z okrzykiem zdziwienia i stanął przy świeżo wykonanej robocie swych ludzi. Gdy wyjeżdżał do Churchill smuga ta, stanowiąca ostatni odcinek drogi pomiędzy obozem, a przyszlą linią kolejową, była o dwie mile krótsza. W ciągu pięciu tygodni zaledwie Mac Dougall wykonał całą tę robotę. Filip był pewien, że nie da się tego skończyć tej jesieni, tymczasem praca była nieomal gotowa, a do zimy brakło jeszcze dobrych trzech tygodni.

Filipowi wróciła dawna energia, krew szybciej popłynęła w żyłach. Podążył śpiesznie świeżo wytkniętym torem. O ćwierć mili dalej trafił na końcowy odcinek robót. Leżały tu stosy wszelkich narzędzi. Żarzyły się jeszcze głównie wielkiego ogniska, przy którym zapewne gotowano posiłek dla robotników. Filip przystanął na chwilę spoglądając w dal. Półtorej mili dalej leżało jezioro Szarego Bobra skąd nieprzerwany system wodny prowadził do nowej linii kolejowej, biegnącej im na spotkanie od południa. Filipa olśniła nowa myśl. Jeśli Mac Dougall zbudował dwie i ćwierć mili toru dla kolejki dojazdowej w ciągu pięciu tygodni, zdołają wykończyć resztę, półtorej mili, zanim śniegi nie uniemożliwią im pracę całkowicie.

Obliczał, że w całości da im to około piętnastu mil drogi, idącej brzegiem siedmiu jezior, czyli że zimą będą mieć wspaniałą szlak, po którym psy wraz z saniami i ludzie na raketach śnieżnych będą mogli biec szybko i łatwo, aż do Szarego Bobra. Między Szarym Borem zaś a nową linią kolejową, leżeć będzie tylko dwadzieścia mil gładkiego lodu. Początkowo zamierzał rozpocząć połowy dopiero wiosną, lecz właściwie mógł to uczynić znacznie wcześniej zastawiając sieci w przerębłach. Przy Lobstick Creek, dokąd linia kolejowa dotrze w kwietniu lub maju, zamrozi się ryby i złoży je na skład. Pięćset lub nawet tysiąc ton zapasu to na początek wcale nieźle. Dadzą z punktu od czterdziestu do osiemdziesięciu tysięcy dolarów, z których połowa pójdzie na wypłatę dywidendy.

Zawrócił pogwizdując z cicha. Czuł się tak pełen energii jakby wstąpiło weń nowe życie. Chciał co prędzej spotkać Mac Dougalla i miał nadzieję, że Brokaw także niebawem znajdzie się na

miejsku. Idąc obmyślał postoje przydrożne, gdzie ludzie i zwierzęta mieliby możliwość niezbędnego wypoczynku. Zbuduje się jeden schron na wybrzeżu Szarego Bobra, a resztę rozrzuci na łodzi w regularnych odstępach, co pięć mil.

Dotarł już do poprzecznej drogi i zamierzał skręcić w kierunku obozu, gdy dostrzegł czyjąś sylwetkę skradającą się opodal. Nieznajomy dążył tym samym szlakiem, którym Filip przybył przed pół godziną, a tajemnicze jego zachowanie sprawiło, że Filip przykucnąwszy za nasypem toru, postanowił człowieka śledzić. Parę minut później wędrowiec znalazł się o kilka metrów. Co prawda twarz ginęła w mroku, lecz obcy stąpał tak zgarbiony, krokiem tak niepewnym, że Filip zrozumiał, iż jest to po prostu ktoś padający ze znużenia, nie zaś żaden szpieg. Zdziwiło go, że nie zauważył poprzednio tego człowieka, gdyż idąc o wiele szybciej, musiał go niewątpliwie wyminąć gdzieś po drodze. Wobec faktu, że był tak wyczerpany i że się po drodze krył, Filip postanowił go śledzić. Ruszył zatem przez łąkę na przełaj, obserwując z dala sam niewidziany.

W ciągu najbliższej mili nocny wędrowiec przystawał dwukrotnie dla nabrania tchu, lecz zaledwie znalazłszy się pośród rozszianych baraków obozowiska, przyspieszył kroku, dał nura w ciemności i zatrzymał się wreszcie przed drzwiami niewielkiej drewnianej chatki, o strzał rewolwerowy od domku Filipa. Chata była nowo zbudowana i spojrzawszy na nią Filip gwizdnął przez zęby. Od początku chciał mieszkać osobno, toteż zbudował swój dom o paręset jardów od brzegu jeziora, nad którym tłoczyła się większość chałup. Nowa chata stała jeszcze o sto jardów dalej, na poły ukryta wśród iglastych zarośli.

Nieznajomy obrócił widocznie klucz w zamku, gdyż Filip posłyszał szcęk żelaza, a potem trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Chwilę później przez zasłonięte firanką okno słabo błysnęło światło zapalonej lampy.

Filip pośpieszył teraz ku chacie zajmowanej przez niego samego oraz inżyniera Mac Dougalla. Nacisnął klamkę, lecz drzwi były zamknięte od wewnątrz na sztabę. Zapukał wtenczas silnie i kołatał póty, aż w izbie błysnęło światło. Usłyszał także głos inżyniera tuż za progiem.

- Kto tam?

- Co tobie do tego - burknął Filip, któremu strzelił właśnie do głowy niewczesny żart. — Otwórz, kiedy stukam!

Zgrzytnęła odsuwana zasława, drzwi uchyliły się z wolna. Filip pchnął je ramieniem i wszedł. W bladym świetle kaganka zobaczył czerwoną twarz Mac Dougalla i groźnie błyszczące małe oczka. Na równym z nimi poziomie lśniła lufa rewolweru.

Filip zatrzymał się niemile zdziwiony. Inżynier opuścił broń.

- Niech nas Bóg ma w swej opiece! O mało cię nie przedziurawiłem! — wykrzyknął. — Ale bo też nie pora uprawiać tego rodzaju żarty, szczególnie gdy się ma do czynienia z Sandy Mac Dougalem!

Wyciągnął dłoń ze śmiechem ulgi, po czym obaj mężczyźni uścisnęli sobie prawice tak gwałtownie, aż im palce ścierpły.

- Czy w ten sam sposób przyjmujesz wszystkich swoich przyjaciół, Mac?

Mac Dougall wzruszył ramionami, kładąc rewolwer na stole pośrodku izby.

- O ile mi się zdaje — rzekł z dziwnym grymasem - w całym obozie nie mam ani jednego przyjaciela. A teraz wytłumacz mi Fil, co miałeś na myśli? Próbowałem się czegoś sam dorozumieć, lecz jestem jak tabaka w rogu.

Fil zawieszał właśnie swą kurtę i czapkę na jednym z licznych kołków wbitych w ścianę. Obrócił się szybko.

— Czego nie możesz zrozumieć, Mac?

— Twych poleceń z Churchill - odparł Mac Dougall, biorąc ze stołu wielką czarną fajkę.

Filip siadł teraz z westchnieniem ulgi, skrzyżował nogi i zapalił własną fajkę.

— Och, Sandy, pisałem przecież dość jasno, nawet jak dla Szkota. Dowiedziałem się w Churchill, że wielka gra rozpocznie się niebawem. Wkrótce przemówią karabiny. Nakazałem ci więc, byś zarządził ostre pogotowie na dalszych placówkach, a tu w obozie uzbroił wszystkich ludzi godnych zaufania. Nie mamy czasu do stracenia. Ale na miłość boską człowieku, czyż jeszcze nie rozumiesz? O co ci teraz chodzi?

Mac Dougall obserwował go, jakby mu odjęło mowę.

— Kazałeś mi uzbroić ludzi? — wyjąkał.

— Oczywiście. Posłałem instrukcje przed dwoma tygodniami.

Mac Dougall stuknął parokrotnie w czoło kwadratowym paluchem.

— Albo straciłeś głowę, Fil, albo znowu ze mnie kpisz! Daj już raz spokój niewczesnym żartom! Słyszysz — w głosie Szkota brzmiała nieomal pasja. - Miałem tu w czasie twojej nieobecności prawdziwe piekło. Gadajże raz poważnie!

Teraz z kolei Filip wytrzeszczył oczy. Omal się na kolegę nie rzucił.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie otrzymałeś listu, w którym ci polecam zarządzić w obozie ostre pogotowie?

— Nie. Otrzymałem tylko ten drugi.

— Drugiego listu nie było!

Mac Dougall skoczył na równe nogi, podbiegł do swej koi i wrócił z listem. Wetknął go Filipowi w garść prawie z pasją. Pot wystąpił mu na czole, gdy spostrzegł wrażenie, jakie ten skrawek papieru wywarł na zwierchniku. Filip bowiem zbladł jak ściana.

— Na miłość boską, Mac, ale ty chyba tego nie zrobiłeś?

- Cóż innego mogłem zrobić? — zapytał Mac Dougall. — Stoi przecież czarno na białym, może nie? Kazałeś wydzielić sześć patroli, po dziesięciu ludzi każdy, dać im karabiny, rewolwery, dwumiesięczny zapas żywności i rozesłać do ustalonych przez ciebie miejsc. Ten list otrzymałem przed dziesięcioma dniami, ostatni oddział zaś, pod dowództwem Toma Billingera odmaszerował przed tygodniem. Kazałeś wybrać ludzi najbardziej zaufanych, uczyniłem więc temu zadość. W obozie zostały teraz same wybierki, a strzelb za mało nawet do polowania.

- To nie ja pisałem ten list - rzekł Filip, nie spuszczając oczu z Mac Dougalla. - Podpis jest sfalszowany. List, który ci posłałem z Churchill i w którym donosiłem coś innego, został zamieniony w drodze. Czy rozumiesz co to znaczy?

Mac Dougall nie mógł najwidoczniej dobyć głosu. Kwadratowe szczęki zwały mu się kurczowo, niby stalowe sidła. Sękate garści bezwładnie leżały na kolanach.

- To oznacza walkę — ciągnął dalej Filip. - Dziś, jutro, może nawet za chwilę. Nie pojmuję czemu cios nie spadł dotychczas.

W paru słowach zdał koledze sprawę ze wszystkiego, czego się dowiedział w Churchill. Gdy skończył, Szkot pochylił się poprzez stół, chwycił rewolwer i trzymając za lufę podał go Filipowi.

- Nafaszeruj mnie ołowiem! Fil, błagam cię, uczyn to zaraz!

Filip ścisnął dłoń Mac Dougalla, wybuchając równocześnie śmiechem.

- Przecież nie teraz, gdy przydałoby mi się jeszcze paru tak dzielnych ludzi jak ty, Sandy! Szczęście, żeśmy w porę spostrzegli. Do jutra będziemy gotowi. Nie mamy ani godziny, kto wie, może nawet minuty do stracenia. Ilu pewnych ludzi masz jeszcze pod ręką?

- Najwyżej dziesięciu lub dwunastu. Robotnicy kolejowi, których spodziewaliśmy się z Grand Trunk Pacific przybyli trzy dni po twoim odjeździe do Churchill. Jest ich dwudziestu ośmiu, o

wyglądzie bandytów, lecz do roboty jedyni. Mam wrażenie zresztą, że dadzą się użyć do każdej roboty, byle im dobrze zapłacić. Ale mnie nie słuchają wcale. Dowodzi nimi niejaki Thorpe, nadzorca i tylko jego rozkazy są spełniane. Thorpe mógłby ich skłonić do walki, jednak nie posiadają żadnej broni, prócz paru noży. Mnie pozostało osiem fuzji. Zbiorę też ośmiu ludzi, gotowych bronić słusznej sprawy. Banda Thorpe'a mogłaby być straszna w walce wręcz, gdyby już do tego przyszło.

Szkot przeszedł się niespokojnie po chacie, przegarniając palcami zmierzwiłone włosy.

— Żałuję prawie - dodał - żeśmy zaprosili tę hołotę. Sprawiają po prostu wrażenie szajki bandyckiej, ale pracują jak konie. Nigdy nie widziałem nic podobnego. Za to ilekroć doszło do bójki, zawsze niemal brali górę nad naszymi ludźmi. Tak, gdybyśmy się mogli porozumieć z Thorpem...

— Pogadamy z nim jeszcze dzisiejszej nocy - przerwał Filip. — A raczej, aby być ścisłym, dzisiejszego ranka. Jest już godzina pierwsza. Ile czasu ci zajmie zgromadzenie najlepszych naszych ludzi?

— Pół godziny — tu Mac Dougall skoczył zwawo na równe nogi. - Jest Roberts, Henshaw, Tom Cassidy, Lecault, są dwaj Francuzi oraz dwaj bracia St. Pierre. Same asy. Daj każdemu fuzję i rewolwer, a stanie za dwudziestu.

Chwilę później, zgasiwszy poprzednio światło, obaj mężczyźni wyszli z chaty, Filip zwrócił uwagę kolegi na słabo oświetlone okno domu, do którego dążył przed godziną tajemniczy wędrowiec.

— To mieszkanie Thorpe'a — wyjaśnił Mac Dougall. — Nie widziałem go dzisiaj wcale. Przepadał gdzieś cały dzień. A teraz widać nie śpi.

— Pogadamy najpierw z nim - rzekł Filip.

Na pukanie Mac Dougalla odpowiedziała na razie cisza, po czym ozwały się ciężkie kroki i ktoś otworzył drzwi. Sandy wszedł pierwszy, za nim Filip. Thorpe cofnął się od progu. Był średniego wzrostu, lecz tak muskularny, że wydawał się prawie wysoki. Gładko ogolony, miał czarne oczy i włosy. Zarówno wygląd jak i wyraz twarzy nie odpowiadały zupełnie pojęciu zwykłego dozorca robót. Zachowanie oraz słowa, którymi powitał gości, podkreśliły tym bardziej dziwne wrażenie.

— Dobry wieczór panom.

— Dzień dobry - poprawił Mac Daugall, głową wskazując Filipa. - Thorpe, to jest pan Whitemore. Zobaczyliśmy, że się tutaj świeci, sądziliśmy więc, że nie przeszkodzimy.

Filip i Thorpe uścisnęli sobie wzajem dłonie.

— W samą porę, by wypić kubek kawy! — zapraszał gospodarz, pokazując dymiący na piecu garnek. - Wracam właśnie z długiej wyprawy po nowym torze. Badałem teren na północnym brzegu Szarego Bobra, co mnie tak zajęło, że puściłem się z powrotem do domu dopiero o zmierzchu. Niechże panowie spróbują. Mało kto może mi dorównać w przyrządzaniu kawy.

Mac Dougall spostrzegł w twarzy Filipa gwałtowną zmianę, a podczas gdy Thorpe śpieszył zdjąć z ognia przyskający kawę garnek, inżynier zauważył, jak jego zwierzchnik czyni szybki ruch w kierunku stołu i chwyta stamtąd coś, co sprawiało wrażenie kawałka szmaty. Dziwny przedmiot znikł zresztą momentalnie w dłoni Filipa. Lecz twarz miał zaczerwienioną, a w oczach niepojęte błyski.

— Żałuję bardzo, jednak nie możemy przyjąć gościny — rzekł. - Jestem zmęczony i chciałbym się co prędzej położyć. Zamierzałem tylko wyrazić swe uznanie dla wyteżonej pracy pańskich ludzi. Postępy w robocie są doprawdy zdumiewające.

— Istotnie są to dobrzy pracownicy - przyznał Thorpe spokojnie. - Trochę szalały, ale roboty się nie boją.

Odprowadził gości swych do drzwi. Skoro się trochę oddalili, Filip przemówił do Mac Dougalla głosem drżącym z gniewu.

— Idź, zwołaj swych ludzi do biura, Sandy. Nie mówiłem wcale z Thorpem, gdyż nie ufam kłamcom, a Thorpe z punktu skłamał. Nie chodził dziś wcale nad jezioro. Widziałem go wracającego ze strony przeciwnej. Łże. Przysporzy nam jeszcze kłopotu. Miej go na oku, Sandy, jego i tę jego szajkę. A teraz śpiesz się.

Rozdzielili się, przy czym Filip wrócił do chaty, którą opuścił przed kwadransem. Zapaliwszy na nowo lampę wyciągnął do światła ów gałganek zabrany z chaty Thorpe'a. Oddech ugrzązł mu w gardle. Wiedział już teraz, czemu Thorpe przybył tej nocy od strony wzgórz, czemu był tak wyczerpany i czemu kłamał. Ścisnął dłońmi skronie nie mogąc oczom uwierzyć. Jęknął głucho. Uczynił oto straszne odkrycie: Thorpe był ukochanym Janki.

Ten gałganek bowiem, zabrany z chaty dozorca robotników, był po prostu dobrze znajomą małą błękitno haftowaną chusteczką, zmiętą i wilgotną od łez.

ROZDZIAŁ XX

WALKA SIĘ ZACZYNA

Filip stał tak długą chwilę wpatrzony w mały kwadracik batystu. W sercu czuł dziwny chłód; kręciło mu się w głowie. Z każdą minutą rosły w nim żal i obrzydzenie. Janka i Thorpe! Tych dwoje, których przepaść zdawała się dzielić, było zatem zespolonych tak ściśle. Janka, pełna słodyczy i dystynkcji, pełna snów poetycznych i rojeń oraz Thorpe dozorca robotników! Przecież on sam czuł się niegodny tej wyjątkowej dziewczyny, ubóstwiał ją nieomal na kolanach, a ona wzgardziła nim, odepchnęła jego miłość, by pójść za tym prostakiem...

Wzdrygnął się jakby go chłód przeszył. Zbliżywszy się do pieca rzucił kawał zmiętego papieru, na to chusteczkę Janki i przytknął zapalnik. Płomień buchnął od razu.

Parę chwil później drzwi się otwały i wszedł Mac Dougall. Towarzyszyli mu obaj bracia St. Pierre, myśliwi obozowi. Filip przywitał się z nimi, po czym wszyscy trzej udali się do dalszego pokoju znanego pod nazwą biura. W ciągu paru minut zjawili się: Cassidy, Henshaw i reszta. W żadnych oczach nie błysnął niepokój, gdy Filip wyraził swą propozycję. Oszczędnie opowiedział to wszystko, co poprzednio zreferował koledze, zakończył zaś szczerym wyznaniem, że dalszy bieg wypadków zależy wyłącznie niemal od ich uczciwości i dobrej woli.

- Nie należycie do tego gatunku ludzi, co to w podobnych wypadkach oglądają się przede wszystkim za zapłatą! Dlatego właśnie ufam wam. Jest w obozie pół setki drabów, których mógłbym wynająć do obrony czy napaści, lecz nie życzę sobie zaciężników. Co mi po takich, którzy gotowi są uciec za lada strzałem! Chcę mieć towarzyszy gotowych oddać życie dla słusznej sprawy. Nie proponuję wam pieniędzy, natomiast, od tej chwili jesteście udziałowcami Wielkiej Północnej Kompanii Połowu Ryb. Skoro tylko będę się mógł skomunikować z dyrektorami każdy z was otrzyma sto imiennych akcji. Pamiętajcie, iż nie jest to żadna gratyfikacja! Po prostu chytrze chcę was zainteresować w istnieniu tej placówki. Jest nas ośmiu. Skoro każdy zaopatrzy się w rewolwer, ręczę, że żadna siła nas nie zmoże!

W słabym świetle dwu lamp olejnych twarze obecnych poczerwieniały z entuzjazmu. Cassidy pierwszy chwycił dłoń Filipa na znak zupełnej wierności.

- Dadzą nam radę dopiero gdy piekło zamarznie - rzekł - gdzie mój rewolwer?

Mac Dougall przyniósł fuzję oraz rewolwery.

— Rankiem rozpoczniemy budowę nowego domu, tuż koło tej chaty — rzekł Filip. — Dom nie jest wcale potrzebny, pozwoli to nam jednakże trzymać się kupy oraz mieć broń pod ręką. Broń i amunicję złożymy bowiem w tej izbie. Podzielimy się na dwie zmiany, przy czym Cassidy poprowadzi robotę, jeśli wy wszyscy nie macie nic przeciwko temu. Umieścimy także cztery nowe prycze, tak iż połowa ludzi będzie zawsze spała z nami, reszta natomiast może polować w pobliżu obozu i oczywiście zważać na to co się dzieje. Jak się wam ten plan podoba?

- Doskonały! — pochwyił Henshaw, przełamując swoją fuzję. — Nabijamy broń?

— Oczywiście.

W pokoju słyszano czas jakiś metaliczny szcęk otwieranych fuzji oraz zgrzyt zamków. Po upływie pięciu minut Filip został sam na sam z Mac Dougallem. Karabiny zajęły miejsca pod ścianą, pięknie wyciągnięte w rząd, przy czym na każdej lufie wisiał pas pełen naboju.

- Poszedłbym o największy zakład, że ci ludzie nie skrewią! — wykrzyknął Filip. — Mac, czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że jeśli potrzebujesz prawdziwych mężczyzn, to winienesz ich szukać

przede wszystkim na Dalekiej Północy! Każdy z tych chłopców przyszedł na świat tutaj właśnie, prócz jednego Cassidy'ego, ale Cassidy to urodzony żołnierz. Umrą, lecz się nie cofną!

Mac Dougall zatarł dłonie chichocząc.

- Co dalej, Fil?

- Musimy posłać najlepszego szybkobiegacza w ślad za Billingerem oraz powiadomić resztę oddziałów, żeby wracały co rychlej. Lecz tamci zapewne się spóźnią mimo największego nawet pośpiechu, gdy tymczasem Billinger może przybyć na czas.

- Właśnie tydzień temu wyruszył. Trudno uwierzyć, by wrócił wcześniej niż za trzy tygodnie. Wyślę kuzyna St. Pierre, młodego Indianina imieniem Krucze Pióro. Spakuje tylko tobołek na drogę i jazda. A teraz Fil, idź spać. Wyglądasz raczej na trupa niż na żywego człowieka.

Mimo okropnego fizycznego wyczerpania, Filip wcale nie był pewien, czy potrafi zasnąć. Rozkołysane nerwy wymagały ciągłego ruchu. Zresztą jedynie ustawiczny zamęt pomagał w unikaniu myśli o Jance i Thorpe'em. Skoro Mac Dougall poszedł odszukać Krucze Pióro, Filip rozebrał się jednak i wyciągnął na pryczy. Dopiero zamknięwszy oczy odczuł w całej pełni niezmiernie znużenie. Gdy Mac Dougall wrócił po upływie godziny, Filip już spał. Zbudził się o dziewiątej. Udał się wtenczas do chaty kucharza obozowego, spożył gorące śniadanie złożone z suchara i wędzonki, łyknął mocnej kawy i odszukał Szkota. Sandy wychodził właśnie z domku Thorpe'a.

- Zabawny typ z tego Thorpe'a - rzekł inżynier po przywitaniu. — Nie tylko że sam nic nie robi, ale nawet nie udaje zwykłego robotnika. Zwróć tylko uwagę na jego ręce, gdy go spotkasz. Są tak wypieszczone jak na przykład ręce pianisty. Natomiast z innych potrafi wycisnąć siódme poty. Chcesz może zobaczyć jak orzą jego ludzie.

— Właśnie idę do nich - odparł Filip. - Czy Thorpe jest u siebie?

— Miał wyjść przed chwilą. A, otóż i on.

Mac Dougall gwizdnął. Thorpe zaś, przechodzący opodal, zatrzymał się oczekując zwierzchnika.

— Chce pan zapewne obejrzeć roboty? - spytał uprzejmie, gdy Filip się z nim zrównał.

— Tak. Chcę zobaczyć, jak pańscy ludzie dają sobie radę bez kierownictwa.

Umilkł, zapalając fajkę, po czym wskazał gromadę robotników skupioną nad brzegiem jeziora.

— Ci ludzie na przykład. Budują prom. Odbierz im dozorcę, a nie będą nawet warci tego co zjedzą. Przywieźliśmy ich z Winnipeg.

Thorpe zwijał w palcach papierosa. Pod pachą miał lekkie skórzane rękawiczki.

— Moi ludzie są innego pokroju - roześmiał się beztrąsko.

— Wiem o tym - potwierdził Filip, obserwując uważnie długie białe i zręczne palce zagadkowego człowieka. - Dlatego właśnie chciałbym ich zobaczyć przy pracy, bez pana.

— Mam sobie za punkt honoru wiedzieć najdokładniej, czego pewna ilość ludzi potrafi dokonać w określonym czasie — tłumaczył Thorpe, podczas gdy szli wspólnie w stronę łąki. - Ustaliwszy ten wymiar szukam tego rodzaju pracowników, którzy nie potrzebują pilnowania ani ciągłych wskazówek. Skoro dopiąłem jednego i drugiego, zadanie gotowe. Prawda jakie to proste?

Thorpe miał w sobie niewątpliwie coś pociągającego. Nawet w obecnym stanie ducha Filip musiał to przyznać. Niezwykły dozorca interesował go pod wieloma względami. Posiadał głos o brzmieniu niskim i przyjemnym. Używał wyrażen i zwrotów znamionujących pewną kulturę duchową. Najbardziej intrygująca wszakże była jego powierzchowność. Thorpe minął zapewne czterdziestkę, dobiegał może nawet lat czterdziestu pięciu, był zatem, dwa, a nawet trzy razy niemal starszy od Janki. Jednakże nieodparty urok działał nawet na Filipa, cóż dopiero na kobietę. Myśląc o tym wszystkim Filip zacisnął pięści, aż mu paznokcie weszły w ciało.

Ludzie Thorpe'a pracowali istotnie zaciekle. Ledwo ten i ów podniósł głowę znad roboty. Tylko

pewien drobny, szczupły, czerwonolicy człowieczek dotknął czapki na widok nadchodzących.

— To mój zastępca — wyjaśnił Thorpe. - Ma mi coś do zakomunikowania. Przepraszam pana, muszę się z nim rozmówić.

Oddalił się nieco, podczas gdy Filip podążył wzdłuż linii robót. Mijając ludzi kolejno pozdrawiał ich skinieniem głowy i uśmiechem. Mac Dougall miał rację, trudno było o typy bardziej zbójcekie.

Podniesione głosy sprawiły, że się gwałtownie odwrócił. Zobaczył wtenczas, że Thorpe oraz jego zastępca zbliżyli się do ogromnego draba o szerokich barach, z którym wiedli mało przyjazną dyskusję. Paru robotników, porzuciwszy pracę, gromadziło się wokół. Słowa Thorpe'a rozlegały się daleko.

— Uczynisz to Blake albo też możesz spakować rzeczy i jazda! Co dotyczy ciebie, dotyczy również twojej szajki. Wiem co zamyślasz, lecz to mi jest całkiem obojętne. Bierz kilof i wal. Chcesz, to dobrze, nie to nie!

Filip nie dosłyszał odpowiedzi draba, lecz niespodzianie pięść Thorpe'a strzeliła ku przodowi, wprost w szczękę przeciwnika. W następnej chwili Thorpe uskoczył wstecz, sam jeden stawiając czoła pół tuzinowi zacietrzewionych ludzi. W garści miał już rewolwer, przy czym białe zęby lśniły w drapieźnym uśmiechu.

— Namyślcie się dobrze, chłopcy — mówił spokojnie. — Jeśli wam warunki nie dogadzają, wieczorem możecie otrzymać wypłatę. Dostaniecie także dostateczną ilość zapasów na drogę. Nie zamierzam was zmuszać do wypełnienia umowy.

Skończywszy, jak gdyby nigdy nic poszedł na spotkanie Filipa.

- To nam opóźni pracę co najmniej o tydzień - rzekł, chowając rewolwer do pochwy chytrze ukrytej pod bluzą. - Od dawna zresztą spodziewałem się zatargu z tym Blake'em i jego kompanią. Cieszę się, że już po wszystkim. Blake grozi strajkiem, o ile nie mianuję go swym zastępcą i nie podniosę dniówki robotników z sześciu dolarów na dziesięć. Też pomysł! Strajk w miejscu tak odludnym! Początek cywilizacji, he?

Roześmiał się, i wobec tej wspaniałej odwagi Filip również nie mógł się od śmiechu powstrzymać.

- Sądzi pan, że odejdą? - spytał z pewnym niepokojem.

- Jestem tego zupełnie pewien. Ale o to mi właśnie chodzi.

Godzinę później Filip wrócił do obozu. Nie spotkał już Thorpe'a aż do pory obiadowej, po czym nadzorca sam go odnalazł. Był wyraźnie strapiony.

- Jest nieco gorzej niż sądziłem - rzekł. - Blake wraz z ośmioma innymi zerwali umowę. Odebrał już pieniądze i rzeczy. Nie przypuszczałem, że odejdzie więcej niż trzech lub czterech.

- Dodam panu kilku ludzi - pocieszał Filip.

- W tym właśnie szkopał - odparł Thorpe skręcając papierosa. — Wolę by moi ludzie pracowali oddzielnie. Skoro się między nich wkręci paru dyletantów, ucierpi na tym niewątpliwie tempo pracy; nie mówiąc już o prawdopodobieństwie bójki. Zgadzam się najzupełniej, że to są szorstkie typy. Lecz zwłoki w robocie można uniknąć w inny sposób. Niech pańscy ludzie rozpoczną budowę drogi od jeziora Szarego Bobra, idąc nam naprzeciw.

Wkrótce po tej rozmowie z Thorpe'em, Filip spotkał Mac Dougalla. Inżynier nie ukrywał zadowolenia wobec nowego obrotu spraw.

- Cieszę się, że sobie poszli - rzekł. - Jeśli dojdzie do jakichkolwiek zamieszek nieobecność tej hołoty może nam tylko wyjść na korzyść. Dałbym całomiesięczną pensję, byle Thorpe zwolnił także resztę swoich ludzi. Pracują doskonale, to prawda, ale w razie bijatyki wolałbym ich widzieć jak

najdalej stąd.

Tego dnia Filip nie spotkał już więcej Thorpe'a. Wybrawszy ludzi do pracy nad jeziorem Szarego Bobra, wysłał równocześnie zaufanego przewodnika na drogę wiodącą z fortu Churchill na spotkanie Brokawa. Sądził, że Brokaw wraz z panną Eileen pojawią się na horyzoncie w ciągu najbliższych dni, mimo to wydał rozporządzenie, by w razie przeciwnym przewodnik dotarł aż do samych granic fortu.

Nad wieczorem, obaj bracia St. Pierre, Lecault oraz Henshaw odwiedzili szefa w biurze, składając sprawozdanie z dziennej pracy. Lecault ustrzelił łosia o trzy mile na południe, mięso zaś zawiesił na drzewie. Jeden z braci St. Pierre widział Blake'a wraz z przyjaciółmi wędrujących w stronę Churchill. Reszta nie umiała donieść nic godnego uwagi. O zmroku już, Mac Dougall przyprowadził jeszcze dwu zaufanych robotników, których uzbrojono w staroświeckie odcylcówki. Innej broni obóz już nie posiadał.

Mając dziesięć ludzi w pogotowiu do odparcia napaści, Filip poczuł się niemal panem sytuacji. Było zupełną niemożliwością, aby wrogowie mogli zaskoczyć obóz niespodzianie, przy czym wywiadowcy, błądzący co dzień po puszczy okolicznej, mieli zawsze czas, w razie usłyszenia strzelaniny, przyjść z pomocą napadniętym kolegom. Otrzymali zresztą rozkaz, za najlżejszym podejrzanym objawem, podniesienia alarmu przy pomocy serii wystrzałów, jak gdyby w pościgu za uciekającym łosiem.

Jeśli szło o uczucia osobiste, to Filip zwalczał wciąż nadaremnie wspomnienie o Jance. W ciągu dwóch lub trzech dni po powrocie do domu nie miał właściwie chwili wytchnienia, zrywając się o świcie i kładąc spać późno w nocy. Padał na posłanie wyczerpany, w nadziei, że sen zagłuszy bolesne myśli. Ciężkie warunki duchowe i fizyczne wywarły na nim swój wpływ, toteż wierny Mac Dougall ze wzrastającą troską obserwował zmienione oblicze zwierzchnika. Czwartego dnia Thorpe przepadł na całą dobę. Każda godzina nieobecności tego człowieka zdawała się Filipowi wiecznością pełną nieludzkiego udręczenia, wiedział bowiem, że nadzorca robotników poszedł na spotkanie z Janką. Trzy dni później powtórzyło się to samo i Filip po prostu dostał gorączki.

— Przepracowujesz się stanowczo — rzekł Mac Dougall do Filipa. — Śpisz najwyżej pięć godzin na dobę. Musisz zmienić tryb życia albo przygotować się na to, że gdy przyjdzie do walki zamiast stanąć z nami ramię przy ramieniu, legniesz w lazarecie.

Dni płynęły nadal ciężkie i nurzące. Ani Filip, ani Mac Dougall nie mogli pojąć, dlaczego wypadki rozwijają się z tak beznadziejną powolnością. Oczekiwali napadu z godziny na godzinę, tymczasem, mimo starannego wywiadu, nie dostrzegano w pobliżu obozu obecności jakichkolwiek obcych ludzi. Nie mogli także zrozumieć, co się dzieje wśród robotników Thorpe'a. Coraz któryś rzucał pracę. Liczebność ich spadła z dziewiętnastu do piętnastu, z piętnastu zaś na okrągły tuzin. Wreszcie Thorpe sam poprosił o obniżenie pensji o połowę, gdyż nie umie dać sobie rady z ludźmi. Tegoż dnia odszedł zastępca Thorpe'a oraz jeszcze dwu innych, tak iż zostało ich już zaledwie dziewięciu.

Zagadkowa wydawała się także zwłoka w przybyciu Brokawa. Minęły dwa tygodnie, w ciągu których Thorpe opuszczał obóz trzykrotnie. Piętnastego dnia wrócił posłaniec, który jeździł do fortu Churchill. Był zupełnie oszołomiony, przywiózł przy tym dziwaczne wieści. Oto Brokaw wraz z córką opuścili rzekomo fort Churchill dwa dni po wyjeździe Piotra Couchee. Odbywali podróż w dwóch pirogach. Posłaniec nie zauważył nigdzie na brzegach śladów ich obecności.

Odebrawszy zdumiewającą wiadomość Filip posłał po Mac Dougalla. Szkot gapił się oszołomiony.

- To jest pierwsze uderzenie naszych wrogów! - rzekł Filip, przy czym głos jego miał stalowe

brzmienie. - Uwięzili Brokawa. Trzymaj naszych ludzi pod ręką, Sandy, gdyż mogą nam być potrzebni w każdej chwili. Pięciu niech śpi za dnia, a czuwa nocą.

Upłynęło pięć dni we względnym spokoju.

Szóstego dnia, nad wieczorem Mac Dougall wszedł do izby, w której Filip przebywał sam jeden. Twarz młodego Szkota, zazwyczaj rumiana, miała tym razem odcień popielaty. Zgniółszy oburącz poręcz najbliższego krzesła, zaklął soczyście. W ciągu drugiej współpracy Filip słyszał przyjaciela klnącego zaledwie trzy czy cztery razy.

- Niech diabli porwą tego Thorpe'a!

- Co się stało? - spytał Filip, przy czym mięśnie zeszywniały mu już jak do walki.

Mac Dougall z pasją wytrząsał popiół z fajki.

- Nie chciałem ci przysparzać trosk! — rzekł. — Milczałem zatem o tym i owym. Otóż Thorpe przywiózł ze sobą ładunek whisky. Wiem dobrze, że wykroczył tym samym przeciw ustalonym przez ciebie prawom, ale i tak masz dość powodów do zatargów z nim, więc tej kwestii nie chciałem już poruszać. Jednakże i z innych względów zachowuje się jak świnia. Dwukrotnie odwiedziła go w obozie kobieta. Przekrada się potajemnie, a dziś przysłała znowu...

Filipa ścisnęło coś za gardło. Mac Dougall, patrząc w innym kierunku, nie dostrzegł drgania twarzy zwierchnika ani grymasu jaki na chwilę skaził jego rysy.

- Kobieta, Mac?...

- Młoda kobieta — podkreślił Mac Dougall z emfazą. — Nie wiem co to za jedna, lecz nie skradałaby się jak złodziej, gdyby miała prawo do tego mężczyzny. Może jest żoną któregoś z robotników?... Znajduje się tu z pół tuzina żonatych.

- Czy mógłbyś ją poznać? Czy się jej kiedyś przyjrzałeś z bliska?

- Nie. Chodzi z zasłoniętą twarzą, nie szpiegowałem jej zresztą specjalnie, bo co mi do tego.

Teraz to twoja rzecz. Rób co uważasz za wskazane.

Filip wstał. Czuł przenikliwy chłód. Włożył zatem ciepłą kurtkę, czapkę oraz przypasał rewolwer. Spojrzał na Mac Dougalla. Był bardzo blady.

- Czy jest u niego teraz?

- Przekradła się do chaty przed pół godziną zaledwie. Widziałem ją ze skraju boru.

- Skąd przysłała? Czy ze strony wzgórz?

- Tak. Stamtąd właśnie.

Filip zbliżył się do drzwi.

- Idę do Thorpe'a. Zabawię tam pewno dość długo.

Wyszedłszy na zewnątrz zatrzymał się chwilę, spozierając z dala w oświetlone okna nadzorcy. Potem ruszył w stronę chaty. Zamiast jednak skierować się do drzwi, oparł się o ścianę, w pobliżu jednego z okien. Dreszcze już minęły. W skroniach pulsowała krew. Na dźwięk głosu Thorpe'a wewnątrz izby uczuł w żyłach istny ogień. Myślał, że jeśli tajemniczą kobietą okaże się Janka, w takim razie zastrzeli Thorpe'a. Jeśli to jakaś inna kobieta, pozwoli mu odejść, byle się jeszcze dzisiejszej nocy wyniosł. Czekał. Głos Thorpe'a dolatywał często, a raz dozorca wybuchnął śmiechem, drwiącym i prawie obelżywym. Kobieta przemówiła tylko dwukrotnie. Minuty mijały; upłynęła godzina, jedna, potem druga. Wreszcie światło zgasło; wtenczas Filip przycisnął się za progiem.

Po chwili drzwi się otwarły i wymknęła się z nich zakapturzona postać, dążąc śpiesznie ku najbliższej gęstwinie. Wybiegłszy zza węgła Filip podążył jej śladem. Dogonił tajemniczą osobę na niewielkiej polance. Skoro położył dłoń na ramieniu nieznajomej, ta odwróciła się z przerażonym okrzykiem. Filip dał krok wstecz.

- Na miłość boską, Janko, więc to ty?!

Głos miał ochrypły, jakby się dusił. Na sekundę zobaczył przed sobą jej bladą, przerażoną twarz.

Potem, bez słowa poczęła uciekać w las.

Filip nie usiłował nawet jej ścigać. Dobrą chwilę trwał bez ruchu, jak skamieniały. Niebawem jednak wrócił na skraj gęstwiny. Tu dobył rewolweru i zarepetował go. W świetle gwiazd rysy jego były skażone wściekłością i cierpieniem. Uśmiechał się złowrogo, niby człowiek zdecydowany na wszystko.

ROZDZIAŁ XXI

ŚMIERĆ

Zbliżając się do chaty Filip dostrzegł nową sylwetkę uciekającą w mroku. Od razu przyszło mu na myśl, że widać wrócił zbyt późno dla wywarcia zemsty na Thorpie, przyspieszył zatem kroku. Człowiek na przedzie kierował się wprost do obozowego magazynu, gdzie robotnicy gromadzili się zazwyczaj na pogawędki lub grę w karty. Budynek ten, jaśniejący światłami, leżał zaledwie o dwieście jardów od mieszkania dozorca, toteż Filip zrozumiał, iż nie ma chwili czasu do stracenia, jeśli chce wyrzucić zemstę swoją bez świadków.

Począł biec, tak cicho jednak, że nawet gdy od ściganego osobnika dzieliło go już tylko kilkanaście kroków, tamten nie podejrzewał wciąż niczego. Lecz Filip stanął w pewnej chwili sam, uczyniwszy oszałamiające odkrycie: człowiek na przedzie nie był Thorpe'em. Thorpe znajdował się jeszcze dalej: wchodził właśnie do wnętrza magazynu. Przy otwarciu drzwi chlusnęło nań światło, toteż Filip poznał nie tylko ruchy znenawidzonego rywala, lecz i jego twarz. Mężczyzna natomiast, skradający się pomiędzy Thorpem a Filipem, zręczny, szczupły, żyłasty przypominał kogoś znajomego. Filip omal go nie przywołał głośno. Tak, nie mogło już być wątpliwości: to był Metys Piotr Couchee.

Drzwi magazynu otworzyły się znów i Piotr znikł wewnątrz oświetlonej izby. Filip poczuł naraz niewytłumaczony lęk, toteż pędem ruszył przed siebie. W progu budynku stanął. Thorpe przechylał się właśnie przez wąską ladę, gdy Metys coś doń mówił. Krótką chwilę trwała szeptana dyskusja. Potem, równocześnie nadzorca sięgnął do pochwy, Piotr zaś dobył noża. W tej samej sekundzie błysła wyostrzona stal i huknął strzał rewolwerowy. Thorpe, chwytając się za piersi, runął na kontuar, Metys natomiast chwiejnie obrócił się do drzwi i zobaczył Filipa. W oczach zaświecił mu błysk radości; wyciągnął ręce, lecz zamiast słów z gardła wydarł mu się jęk. A na zewnątrz huczały już głosy i dudniły kroki biegnących robotników. Cała gromada wtoczyła się przez drzwi, ale Mac Dougall z rewolwerem w garści rozepchnął wszystkich. Tymczasem Filip podtrzymywał z trudem omdlałego Metysa.

— Pomóż mi zanieść go do chaty, Mac - powiedział. Rozejrzawszy się pobieżnie po obecnych stwierdził z niejakim zdziwieniem, że nie ma wśród nich wcale ludzi Thorpe'a. Spytał:

— A jak tam Thorpe? Czy ciężko ranny?

— Umarł - odpowiedział ktoś.

W tejże chwili Metys z wysiłkiem otworzył oczy.

— Umarł? — wyszeptał, a ściszony i przerywany jego głos był pełen radości i triumfu.

— Zabierzcie Thorpe'a do jego chaty - zakomenderował Filip. - Ja odpowiadam za tego człowieka.

Obaj z Mac Dougallem unieśli Piotra. Śpiesząc ku najbliższej chacie, słyszeli urywany i ciężki oddech rannego. Gdy złożyli bezwładne ciało na pryczy, Metys otworzył powieki i wzrokiem poszukał Filipa.

— Proszę pana — wyjąkał — chcę wiedzieć, tylko prędko, czy mam umrzeć?

Mac Dougall, który kiedyś studiował medycynę zanim się przerzucił na inżynierię, przyjął na siebie rolę lekarza. Rozpiąwszy zatem kurtę rannego obnażył mu pierś. Spojrzawszy tylko, skoczył do swej koi, pod którą trzymał narzędzia chirurgiczne i opatrunki. Filip pochylił się nad Piotrem. Z przebitej prawej piersi sączyła się struga krwi a tuż obok rany, zawieszony na szyi na cienkim

rzemyku, leżał dziwnego kształtu medalion.

Piotr gorączkowo uchwycił dłoń Filipa.

— Niech pan mi powie prawdę — błagał. — Czy ja umrę? Bo jeśli mam umrzeć, muszę wpierrw wyjawic pewne rzeczy dotyczące Janki. Nie boję się śmierci, doprawdy wcale się nie boję. Więc niech pan mnie nie oszczędza!...

— Usłyszysz prawdę — zapewnił Filip.

I jemu także rozmowa przychodziła z trudnością, manewrował przy tym w ten sposób, by ranny nie widział jego twarzy. Chrapliwy ton oddechu Piotra miał znaczenie, co do którego nie sposób było się łudzić. Ileż to razy słyshał podobny oddech łosia lub karibu o przestrzelonych płucach.

Mac Dougall zakrzętnął się przy chorym, lecz nie upłynęło nawet pięć minut, gdy wyprostował się znów. Zrobił już wszystko co mógł zrobić. Filip wprowadził przyjaciela do sąsiedniej izby. Spytał, samym prawie tylko ruchem warg.

— Umrze?

— Tak - odparł Mac Dougall. - Nie ma najmniejszej nadziei. Dożyje najwyżej do rana.

Przysunąwszy sobie krzesło Filip siedział obok Metysa. Twarz rannego nie zdradzała cienia obawy. Oczy miał spokojne. Głos nawet nieco silniejszy.

— Umrę, prawda proszę pana?

— Obawiam się, że tak.

Wilgotne palce Piotra zacisnęły się wokół dłoni Filipa. Na usta wypłynął mu uśmiech.

— To może nawet lepiej. Jestem z tego rad. Ale pożyję jeszcze jakiś czas?

— Parę godzin.

— Bóg jest dla mnie łaskaw — wyszeptał Metys nabożnie. — Niechże mu będą dzięki. Czy nie ma tu nikogo więcej, prócz pana i mnie?

— Chcesz, abyśmy zostali we dwójkę, Piotrze?

— Tak.

Filip skinął na Mac Dougalla, a Szkot posłusznie wyszedł do sąsiedniego pokoju.

— Umrę — zaczął Piotr pogodnie. — Wraz ze mną umarłaby niejedna tajemnica, gdyby nie to, że wiem, iż kocha pan Jankę i będzie o nią dbał, gdy odejdę. Wspomniałem kiedyś, że kocham ją także. Mało kocham, wielbię! Odchodzę szczęśliwy, gdyż danym mi było wyświadczyć jej przed śmiercią przysługę. Zresztą żyjąc cierpiałbym bardziej, bowiem ona mnie nie kocha. Nie wie nawet, że trawi mnie uczucie zgoła inne niż przyjaźń braterska. Bóg mi świadkiem proszę pana, Bóg i najświętsza Panna, że Janka kochała w życiu tylko jednego człowieka, a tym człowiekiem jest pan!

Piotr umilkł łapiąc oddech. Filipa zalała ciepła fala szczęścia. Czy dobrze słyshy? Czy może temu uwierzyć? Klękając obok posłania troskliwie odsunął ciemne, zmierzwione włosy z twarzy konającego.

— Tak, kocham ją — przyznał. — Lecz nie wiedziałem, że ona kocha mnie również...

— Mniemał pan tak, nie rozumiejąc wielu rzeczy — rzekł Piotr, przy czym nie spuszczał z twarzy Filipa spokojnych oczu. — Lecz teraz pan zrozumie. Opowiem wszystko, od początku. Może postępowałem źle, nie tak jak powinienem. Zaraz pan osądzi. Janka wspomniała panu o kobiecie, którą znalazłem zmarzniętą w śniegach. To był dla mnie początek ciężkiej walki. Ale pan tego nikomu nie powtórzy, prawda proszę pana?

— Nikomu! Możesz być pewien.

Piotr umilkł znowu, najwidoczniej gromadząc myśli, usiłując dobrać słowa odpowiednie dla odmalownia jak najkrócej wieloletniego dramatu. Na policzkach płonęły mu dwie szkarłatne plamy, ręka zaś, spoczywająca na dłoni Filipa była gorąca i mokra.

— Przed wieloma laty - zaczął - niemal dwudziestu, przybył do Fortu Bożego pewien człowiek. Był młody i przychodził z Południa. D'Arcambal dobiegał już kresu męskich sił, żonę natomiast miał młodą i śliczną. Janka mi wspomniała, że widział pan jej portret na ścianie swego pokoju. D'Arcambal kochał ją nieprzytomnie. Była światłem jego oczu. Zgaduje pan co zaszło dalej. Przybysz z Południa, piękna żona... tak, uciekli razem.

Piotr kaszlnął, przy czym nieco krwi zabarwiło jego wargi. Filip otarł je delikatnie własną chusteczką, zatajając krwawą plamę przed oczyma rannego.

— Rozumiem - rzekł.

— Fakt ten złamał serce D'Arcambala - ciągnął Piotr dalej. — Zrozpaczony zniszczył wszystko cokolwiek mu przypominało niewierną. Portret jej odwrócił do ściany. Nienawiść zajęła z czasem miejsce miłości. Dwa lata później, wędrując raz przez ośnieżone pustkowie znalazłem malutką Jankę u skostniałej piersi matki. Ta kobieta proszę pana, matka Janki, była żoną D'Arcambala. Wracała do Fortu Bożego, lecz sprawiedliwość boża dosięgła jej niemal u progu domostwa. Zaniósłem malutką Jankę do mojej matki, Indianki, po czym zamierzałem odnieść trupa kobiety do dworu D'Arcambala. Raziła mnie jednakże straszna myśl, przecież Janka nie jest córką D'Arcambala, lecz tego drugiego, uwodziciela i złodzieja. Postanowiliśmy zatem wraz z matką dochować wiecznej tajemnicy. Pogrzebaliśmy zwłoki, a Jankę odniosłem do Fortu Bożego jako obce jakieś dziecko. Nikt nigdy nie poznał prawdy...

Piotr umilkł znowu dla nabrania tchu. Spytał ledwo dosłyszalnym szeptem.

— Czy tak było dobrze?

— Było wspaniale! — potwierdził Filip wzruszony.

— I koniec byłby niewątpliwie dobry — zaczął Piotr znowu — gdyby nie niespodziany powrót jej ojca. Będę się streszczał, proszę pana, gdyż trudno mi już mówić. Otóż jej ojciec przybył jakoś przed rokiem i dał się poznać Jance. Opowiedział jej wszystko. D'Arcambal jest bardzo bogaty, zatem my oboje z Janką także mamy pieniądze. Groził. Musieliśmy go przekupić. Za wszelką cenę usiłowaliśmy nadal ukryć przed D'Arcambalem straszną prawdę. Wziąwszy znaczną sumę, wyjechał. Niestety, wrócił niebawem. Tam nad rzeką, pamięta pan, to właśnie od niego przywiozłem Jance wiadomość. Proponowałem, że go zabiję, lecz Janka nie chciała nawet o tym słyszeć. Ale wielki Bóg zrządził jednak inaczej. Padł z mojej ręki...

Mimo cierpienia i współczucia jakiego doznawał, Filip czuł równocześnie niezmierną ulgę. Zamiast wyrazić słowami ogromne swoje wzruszenie, uściśnął silnie dłoń Metysa. Ten uśmiechnął się blado.

- Proszę pana, teraz najważniejsze. Ten człowiek, Thorpe, ojciec Janki był lordem Fitzhugh Lee.

Zakaszłał gwałtownie, więc Filip co prędzej uniósł mu głowę, wspierając ją o swe ramię. Po chwili znów spuścił ją na poduszki. Twarze obu mężczyzn były blade śmiertelnie, choć każda z innego powodu.

- Tego wieczoru, przed zasadzką na nas w pobliżu Churchill, rozmawiałem z nim w cztery oczy - ciągnął Piotr chrapliwie. Krył się w lasach i tego samego dnia ruszył w drogę powrotną do Fortu Bożego. Janka dowiedziała się o tej rozmowie dopiero nad rzeką, w pobliżu porohów. Pamięta pan jej nocne spotkanie, właśnie z nim, z jej ojcem. Zjawiał się dwa, trzy razy w tygodniu i zadrezczał dziewczynę. Opłacaliśmy jego milczenie, obiecywaliśmy mu nawet większą sumę: pięć tysięcy dolarów w ciągu trzech lat, byle się wyniósł stąd na stałe. Zgodził się ostatecznie, lecz odejść miał dopiero po ukończeniu swojego zadania tutaj, a tym zadaniem było zrujnowanie pana. Odkrył Jance całą sprawę, żeby ją jeszcze bardziej sterroryzować. Zmusił ją, by odwiedzała go w obozie. Traktował ją jak niewolnicę. Co za podły człowiek! To przecież on przechwycił list pana do

inżyniera Mac Dougalla i sfałszował to drugie pismo, mając pozbawić was wszelkich możliwości obrony... Tymczasem Janka...

Spazm bólu przebiegł mu po twarzy. Na ustach pojawiła się znowu krew. Jęknął.

- Na miłość Boską, proszę pana, wody... muszę przecież skończyć!

Filip oparł raz jeszcze głowę Metysa na swym ramieniu. W drzwiach pojawiła się niespokojna twarz Mac Dougalla. Po chwili Piotr zaczął znów.

- Janka zamierzała powiadomić pana o wszystkim, lecz nie chciała zdradzić ojca. Tymczasem Thorpe powziął szatański plan. Ludziom swym kazał się przebrać w stroje indiańskie i napaść na obóz jutro w nocy. Przed dziesięcioma dniami udaliśmy się oboje do starego wodza Cree, Sashigo, który kocha Jankę jak własne dziecko. To był pomysł Janki, dla ocalenia pana. Powtórzyła wodzowi, że Thorpe, dokonawszy gwałtu, zamierza zrzucić odpowiedzialność właśnie na jego plemię. Sashigo ukrywa się teraz w pobliżu, pośród wzgórz, z trzydziestoma doborowymi wojownikami. Obmyśliliśmy wszystko dokładnie. Wiemy, gdzie się czają ludzie Thorpe'a. Jutrzejszej nocy, gdy rozpoczną atak, zapalimy wielkie ognisko na skale w pobliżu jeziora. Na ten sygnał Sashigo urządzi zasadzkę w kotlinie między dwoma pasmami wzgórz. Żaden z napastników nie ujdzie z życiem. I nikt się nigdy nie dowie co zaszło, bowiem Indianie umieją dochowywać tajemnicy. Tylko że ja tego wszystkiego nie doczekam. Zanim rozgorzeje walka, umrę. Stos sygnałowy jest już gotów: brzoza kora u samego szczytu skały. Janka czeka na mnie na łące, lecz ja nie przyjdę. Zapali pan ogień, proszę pana, skoro tylko ściemnieje. Nikt się nigdy nie dowie. Ojciec Janki umarł. Czy zachowa pan w tajemnicy tragedię jej matki?... Zachowa na zawsze.

- Na zawsze! — zapewnił Filip gorąco.

Do pokoju wszedł Mac Dougall, niosąc kubeł wypełniony do połowy kolorowym płynem. Przytknął go do ust Piotra. Metys przełknął z trudem nieco lekarstwa, po czym inżynier wyszedł znów, uczyniwszy poprzednio w kierunku Filipa znaczący gest.

- Mój Boże, jak piecze - szepnął Piotr, jak gdyby mówiąc sam do siebie. — Czy mogę się znów wyciągnąć, proszę pana?

Filip ostrożnie opuścił go na poduszki. Nie usiłował wcale mówić. Oczy Piotra szukały jego wzroku. Były pełne ognia, ożywione na chwilę działaniem podniecającego lekarstwa.

- Widziałem się z Thorpe'em znów dzisiejszego popołudnia - rzekł głosem nieco spokojniejszym. - D'Arcambal sądził, że zabrałem Jankę z wizytą do żony pewnego trapera nad rzeką Churchill. Thorpe był pijany. Drwił z nas obojga, mówiąc, że jesteśmy parą durniów, że nie odejdzie wcale, jak nam to obiecał, lecz zostanie tu na stałe. Skoro Janka odeszła; raz jeszcze usiłowałem mu przemówić do rozsądku. Groziłem, że go zabiję, jeśli nie opuści tych stron. Parsknął śmiechem i uderzył mnie. Zanim się zerwałam na nogi, on już wyszedł z chaty. Puściłem się za nim w pogoń. Pan wie co zaszło dalej. Pan wytłumaczy Jance tak, by zrozumiała...

- Czy nie moglibyśmy po nią posłać? - spytał Filip. - Musi być niedaleko.

- Nie, proszę pana. Po co? Zmartwiłaby się ogromnie widząc mnie w takim stanie. Mieliśmy się spotkać z nią dziś, o północy w miejscu, gdzie się przecinają dwie drogi. Niech pan tam pójdzie zamiast mnie. Dopiero gdy usłyszy wszystko, może sobie przyjść jeśli zechce. Jutro znów zapalicie z nią razem ognisko sygnałowe...

- Ale Thorpe umarł — rzekł Filip. — Czyż napadną bez niego?

- Prócz Thorpe'a jest tam jeszcze ktoś inny. Thorpe trzymał w tajemnicy przed Janką kim jest ów drugi, ten, który opłaca ludzi dybiących na pana zgubę. Atak niewątpliwie będzie miał miejsce.

Filip schylił się nisko nad Piotrem.

- Od dawna domyślałem się podobnego spisku. Wiedziałem, że ten Thorpe, który dla jakichś

tajemniczych powodów przybrał nazwisko lorda Fitzhugh Lee, jest tylko płatnym narzędziem w rękę groźniejszego przeciwnika. Czyś mi wszystko opowiedział Piotrze, czy już nic więcej nie masz do wyjaśnienia?!

- Nic, proszę pana.

- Czy to Thorpe napadł was na urwisku w pobliżu Churchill?

- Nie. To z pewnością nie był on. Nie mam pojęcia kto właściwie, ale jednak nie on. Sądzę, że gromada włóczęgów chciała mnie zamordować i ograbić, a porwać Jankę.

- Ja znów wątpię, żeby napaść była czymś przypadkowym. Przypomnij sobie Piotrze, czy Thorpe spotykał się z kimkolwiek w Churchill?

- Nie wiem. Ukrywał się w lasach okolicznych.

Ciało Metysa przebiegł nagle gwałtowny dreszcz. Jęcząc chwycił za rzemyk przytrzymujący mu na szyi szczególnego kształtu medalion.

- Proszę pana - szepnął — ten medalion nosiła Janka, gdy ją w śniegu znalazłem. Zdjąłem go z jej szyi, gdyż monogram wskazuje zbyt wyraźnie na żonę D'Arcambala. Głupi jestem, proszę pana, wariat, lecz chciałbym żeby ten medalion pochowano wraz ze mną pod starym drzewem, gdzie się znajduje mogiła matki Janki. I jeśli będzie pan mógł, jeśli to możliwe, proszę mi włożyć do ręki, gdy już umrę, jakiś drobiazg należący do niej, jakąś najbliższą pamiątkę. Będzie mi się spokojnie spało w grobie...

Filip schylił głowę w milczeniu, na znak solennej obietnicy. Oczy miał gorące i ślepe od łez. Piotr ścisnął go za rękę.

- Kocha pana równie silnie jak ja Kocham ją — szeptał ledwo dosłyszalnie. - Musi pan jej odpłacać zawsze tym samym uczuciem. Jeśli pan ją kiedyś zdradzi, dobry Bóg ześle na pana przekleństwo Piotra Couchee.

Z trudem wstrzymując łkanie, Filip ukląkł obok pościeli, kryjąc twarz w dłoniach niby rozżalone dziecko. Czas jakiś trwała cisza podkreślana jedynie ciężkim oddechem umierającego. Wtem ustał również i ten dźwięk, więc Filip uczył w sercu chłód przenikliwy. Był pewien, że usłyszy zaraz rżenie przedśmiertne. Raptem Piotr krzyknął przeraźliwie. Podniósłszy głowę Filip patrzył nic nie rozumiejąc. Metys, o twarzy zroszonej potem, bladej jak płótno poderwał się na łóżku, szeroko rozwarte gorejące oczy wlepiwszy w okno izby. Okno wychodziło na jezioro, a pół mili dalej sterczała samotna zatoka. Niebo ponad nią różowiło się złociście jak od rannej zorzy. Ze szczytu skały zaś buchnął płomień.

Piotr wyciągnął ku niemu ramiona, jęcząc:

- Janko, och Janko!...

Chwiejąc się opadł wstecz. Słowa wybiegały mu z ust chrapliwie i nierówno.

- To sygnał! - bełkotał. - To nasz sygnał! Janka rozmawiała z Thorpe'em. Widać zmienił plan...

Napad dzisiejszej nocy... Janka zapaliła ogień...

Dreszcz przebiegł raz jeszcze jego ciało, po czym ranny wyprężył się i znieruchomiał.

Przez uchylone drzwi wbiegł Mac Dougall i nachylony przyłożył ucho do piersi Piotra.

- Umarł? - spytał Filip.

- Jeszcze nie.

- Odzyska jeszcze przytomność?

- Być może.

Filip ujął Mac Dougalla za ramię.

- Atak odbędzie się dziś w nocy, Mac. Musisz przestrzec ludzi. Niech będą gotowi. Ale ty sam nie odstępuj tego człowieka i postaraj się utrzymać go przy życiu.

Wyskoczył za drzwi i znikł w ciemności nocnej. Ognisty sygnał bił wysoko w niebo. Wierzchołek wzgórza oraz wody jeziora różowiały niby o świtaniu. Biegąc co tchu Filip powtarzał raz po raz słowa umierającego Metysa.

- Janka! Moja Janka!

ROZDZIAŁ XXII

WYZNANIE

Wiść o podwójnej tragedii szybko rozeszła się po obozie, toteż ludzie tłoczyli się grupami komentując wypadki. Filip, nie życząc sobie by go poznano, wyminął zbiegowisko, zboczył w las i wykręciwszy niebawem pośród niskich chaszczy biegł ku jezioru. Nie czuł wcale znużenia. Mimo że kolczaste krzewy smagały go, nie czuł ukłuć ani zadrapań. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że dyszy ciężko docierając do podnóża góry. Przeczucie najwyższego szczęścia przysparzało mu sił. Janka go kocha! Najcudniejsza prawda objawiała mu się na nowo za każdym krokiem. Powtarzał ją bezustannie.

Płomień ogniska wskazywał mu drogę, piął się zatem coraz wyżej ze skały na skałę. Dotarłszy do wierzchołka upadł na twarz i mdlejąc niemal z utrudzenia ciężko łapał oddech. Ogień rozniecono u stóp wielkiej, uschłej sosny, przy czym gorejący jej pień strzelał teraz płomieniem na sto stóp w górę. Filip czuł na twarzy buchający żar. Potwornej wielkości pochodnia rozjaśniała mroki. Na skalnej platformie widno było niby w dzień. Filip wzrokiem poszukał Janki. Zobaczył ją stojącą na samej krawędzi, po przeciwnej stronie urwiska. Oslaniając dłonią oczy spozierała na południowy zachód.

Wykrzyknął jej imię. Zaskoczona obróciła się ku niemu, lecz zanim zdążyła zrozumieć co się dzieje, znalazł się obok. Janka miała twarz bladą i znużoną, gdy zaś poznała kto ją woła, rysy jej nabrały wyrazu cierpienia. Milczała, oczami jedynie wyrażając całą mękę. Filip usiłował przemówić, lecz i jemu również brakło słów. Wtenczas, niespodzianie wyciągnawszy ramiona objął ją tak ciasno, tak szybkim ruchem, że nie zdołała tego przewidzieć ani temu zapobiec. Głowa dziewczyny legła na piersi mężczyzny. Czuł jak wrywa się, jak pręży mięśnie zamierzając się wyzwolić z uścisku. Przemówił więc łagodnie i przekonująco.

— Posłuchaj Janko — rzekł — to Piotr mnie przysyła. Opowiedział mi wszystko, rozumiesz, wszystko! — położył nacisk specjalny na ostatnich słowach. - Kochanie, nie ma już rzeczy, którą byś przede mną musiała ukrywać. Nie tylko wiem, ale i rozumiem..

Drżała mu teraz w ramionach. Podniosła na niego oczy pełne zdziwienia i niewiary. Przyciągnął ją bliżej jeszcze, aż poczuł na ustach tchnienie jej warg.

— Janeczko - szeptał dziewczynie na ucho, podczas gdy trzask płonącej sosny tłumił już i tak ciche słowa. — Janeczko, Piotr opowiedział mi wszystko, rozumiał bowiem, że cię kocham... Powiedział dlatego także...

Słowa ugrzęzły mu w gardle. Wyczuwając wahanie jego i niepokój, Janka odrzucając głowę zajrzała w oczy Filipa. Wargi drżały jej jak do płaczu. Filip ucałował te drżące usta i oto upór dziewczyny zmieł: rozszłochała się po dziecinnemu głośno.

— Janko — powtarzał Filip. - Janko...

Łkanie dziewczyny cichło. Filip, odzyskując wreszcie przytomność umysłu rozważał, jakie słowa tu dobrać, by w sposób najdelikatniejszy donieść o ciężkim stanie Piotra. Rozumiał, iż przez nieopanowanie i egoizm zmarnował już niejedną cenną chwilę. Czule ujął w obie dłonie mokrą od łez twarzyczkę dziewczyny.

— Piotr powtórzył mi wszystko — rzekł — wszystko od dnia gdy znalazł cię w śniegach taką małą, do chwili, gdy ojciec twój wrócił, by cię zadrećcać. Dziś wieczór kochanie wybuchły w obozie zamieszki. Piotr jest ranny i prosi, żebyś do niego przyszła. A Thorpe... Thorpe... umarł.

Filip doznał na moment uczucia ogromnego przerażenia. Janka przestała oddychać. Zaciężyla mu też w ramionach jak martwa. Wtem wydarła się z jego objęć i śmiertelnie blada załamała ręce.

- Umarł? Umarł?

- Tak.

- To Piotr *go* zabił?

Filip usiłował objąć ją na nowo, lecz nie dała się pochwycić. Wyczytała zresztą odpowiedź z jego twarzy.

- Piotr jest ranny? - pytała dalej, nie spuszczając oczu z jego źrenic.

Zdołał pochwycić jej ręce. Ścisnął je silnie, jak gdyby czułym dotknięciem dodając dziewczynie odwagi do zniesienia okrutnego ciosu.

- Tak, Janko, jest ciężko ranny. Musimy śpieszyć co prędzej, obawiam się bowiem, iż nie ma czasu do stracenia.

- Umrze?

- Sądzę, że tak.

Odwrócił oczy nie mogąc znieść wyrazu cierpienia jakie odmalowało się w jej rysach. Mocno trzymając za rękę prowadził ją wokół ognia, aż do łagodniejszego stoku po stronie przeciwnej. Wtem Janka stanęła jak wryta. Palce jej zacisnęły się kurczowo wokół dłoni Filipa. Uparcie patrzyła na południowy zachód, kędy leżał przestwór łąk i boru. Daleko, o milę, może o dwie nowy słup ognia rozdzierał nocną ciemność. W oczach dziewczyny błysnęła radość.

- Nadchodzą! - szepnęła łamiącym się głosem. - To Sashigo oraz indiańscy wojownicy! Nadchodzą!

Schodzili ze wzgórza w milczeniu. W jakimś miejscu mniej stromym, Filip przyciągnął znów Jankę do siebie i pocałował ją w usta. Ręka w rękę dążyli potem przez rzadki, iglasty zagajnik do oświetlonej chaty, w której konał Piotr. Gdy weszli Mac Dougall siedział właśnie u wezglowia rannego, lecz na ich widok podniósł się i na palcach opuścił izbę. Filip podprowadził Jankę do łóżka. Na dźwięk cichych słów Metys otworzył oczy. Zobaczył dziewczynę i poznał ją. W mętnych oczach zabłyśło przedziwne światło. Poruszając wargami usiłował unieść rękę z kołdry. Janka padła obok na kolana. Musiała zrozumieć w tej chwili jakiego rodzaju miłością kochał ją ten przybrany brat. Ujmując głowę jego w obie dłonie, pochyliła się tak nisko, że rozpuszczone jej włosy przysłoniły obie twarze niby welon. Filip zacisnął zęby, by nie jęknąć. W pokoju zapadła śmiertelna cisza.

Wydało mu się, że minęła wieczność zanim Janka podniosła wreszcie głowę. Uczyniła to ostrożnie, pieczołowicie, jak gdyby w obawie, że zbudzi śpiące dziecko. Wyczytał prawdę z jej twarzy zanim otworzyła usta. Głos miała niski, łagodny i tkliwy. Na taki głos może się tylko zdobyć kobieta w chwili najwyższego cierpienia.

- Zostaw nas samych, Filipie - rzekła. — Piotr nie żyje.

ROZDZIAŁ XXIII

OKROPNA PRAWDA

Filip milcząco schylił głowę i wyszedł jak najciszej. Zamykając za sobą drzwi obrócił się nieco, a z pochylonej postaci Janki wyczytał, że dziewczyna modli się przy zwłokach. Uprzytomnił sobie innego rodzaju obrazek: pustynia śnieżna przed laty i Piotr klęczący obok trupa grzesznicy. W zamian za tamten pacierz Piotr doznał chociażby tej pociechy, że istota, którą kochał tak gorąco była przy nim w godzinie zgonu.

Wychodząc do biura Filip mało co widział. Oślepiały go łzy. Ani dbając, że Mac Dougall na niego patrzy, otarł chustką oczy. Wtenczas dopiero spostrzegł, że prócz młodego Szkota w izbie znajduje się ktoś jeszcze. Ten ktoś wstał z ławy, gdy zaś zbliżył się do lampy Filip omal nie krzyknął ze zdumienia. Był to bowiem Gregson!

— Przykro mi, Fil - rzekł malarz stłumionym głosem - że przybywam w chwili tak dla ciebie bolesnej.

Filip gapił się jak na ducha. Nie tylko oszołomiło go niespodziane pojawienie Gregsona, ale i jego zachowanie. Malarz nie zbliżał się więcej, nie wyciągnął dłoni na powitanie. Twarz miał przy tym dziwnie posępną. Od czasu do czasu spoglądał w kierunku drzwi, za którymi leżały zwłoki Piotra i rysy przebiegał mu skurcz. Filip podał przyjacielowi rękę, lecz ten cofnął się natychmiast.

- Teraz nie — rzekł. - Poczekaj, aż ci coś opowiem. Wobec dziwnego brzmienia głosu Filip ochłódl. Pochwycił także wzrok Gregsona zwrócony w kierunku Mac Dougalla. Zbliżywszy się do inżyniera szepnął mu na ucho:

- Słuchaj, Sandy, Janka jest tutaj obok, z Piotrem. Chciała zostać na chwilę sama przy zwłokach. Czy zechcesz poczekać na nią na dworze, a potem zaprowadzić ją do żony Cassidy'ego? Wy tłumacz jej proszę, że zaraz do niej przyjdę.

Zamknawszy drzwi za Mac Dougallem odwrócił się znów do Gregsona. Malarz zajął właśnie miejsce przy stole, więc Filip siadł naprzeciw powtórnie wyciągając rękę.

- Co się stało, Greggy? O co chodzi? Lecz Gregson nie podał mu ręki.

- Nie pora na długie ceregiele - rzekł. — Później możemy raz jeszcze poruszyć niektóre kwestie, dziś tylko chcę, byś zrozumiał, czemu nie mogę uścisnąć twojej dłoni. Byliśmy przyjaciółmi od wielu lat. W ciągu paru minut możemy się stać zaciekłymi wrogami, ty w każdym razie moim wrogiem. Zanim wyjawię ci prawdę, muszę prosić byś, czegokolwiek się dowiesz, oszczędzał cześć Eileen Brokaw. Nie tylko proszę o to. Żądam tego stanowczo. Uprzedzając twoje zarzuty przyznam zresztą, że dusza jej błądziła czas jakiś po manowcach. Lecz należy to już do zamierzchłych dziejów. Eileen jest teraz czysta i godna czci. Kocham ją. Los sprawił, że i ona mnie kocha. Mamy się pobrać.

Filip wciąż jeszcze wyciągał dłoń przez stół.

- Greggy! - zawołał serdecznie - Greggy! Rozumiem ciebie tak dobrze, gdyż rozumiem miłość. Wiem, co znaczy kochać i być kochanym. Czemuż miałbym się stać twoim wrogiem? Czyż dlatego, że Eileen odzyskała złote serce i dała je tobie? Daj łapę Greggy!

- Czekaj — odbruknął Gregson mrukliwie - Fil, łamiesz mi serce! Słuchaj! Otrzymałeś niewątpliwie mój list. Ale nie popełniłem wcale haniebnego dezercji. Ostatniej nocy twego pobytu w Churchill dokonałem pewnego odkrycia. Wiem już kto cię zwalcza! Wiem, kto stoi na czele spisku. Wiem, kto kierował zbrodniami Thorpe'a i kto jest za nie odpowiedzialny! Kto ma na sumieniu tego trupa!...

Pochylony przez stół wskazywał drzwi, poza którymi stygły zwłoki Piotra Couchée.

- A tym człowiekiem jest...

Słowa grzęzły mu w gardle. Zakrztusił się nimi.

- Tym człowiekiem jest Brokaw, ojciec mojej narzeczonej!

- Na miłość Boską! — wykrzyknął Filip. — Zwariowałeś, Gregson?!

- Omal nie zwariowałem, poczyniwszy to odkrycie. Ale teraz jestem najzupełniej przytomny. Szło mu o to, by rząd cofnął twoją koncesję. Thorpe wraz ze swoją szajką mieli zniszczyć obóz i zamordować ciebie. Brokaw zarabiał na tym z punktu, na czysto z górą pół miliona dolarów. Szczegółów udzielenie ci później, gdyż teraz czas nagli. Brokaw znał Thorpe'a już poprzednio, toteż przyjął go jako agenta.

Thorpe lubił zawsze szumne tytuły i dlatego właśnie obrał sobie imię lorda Fitzhugh Lee, zamiast czegoś skromniejszego i mniej wpadającego w oczy. Chcąc posłać agentowi tajemne instrukcje, których nie śmiał zawierzyć poczcie, Brokaw wydelegował na Daleką Północ swoją córkę, Eileen. Przybyła do Kanady o trzy miesiące wcześniej niż ojciec. Spędziła tydzień w Fortcie Bożym. Potem przybyła do Churchill, gdzie ją spotkałem. Tymczasem Brokaw opłacił kapitana, który nocą podpłynął blisko Ślepego Indianina i wziął na pokład zarówno Eileen, jak i Thorpe'a. Pamiętasz, jak dziewczyna z Fortu Bożego rzuciła się Eileen na szyję? Eileen odtrąciła ją, by się przed tobą nie zdradzić, bo jakim cudem mogłaby ci wytłumaczyć tę znajomość? Tymczasem Thorpe i Brokaw obmyślili pierwszy cios. Zabić Piotra Couchée i porwać jego siostrę. Mieli gromadę zaufanych zbirów do dyspozycji, więc plan na pierwszy rzut oka nie przedstawiał żadnych trudności. Daliby później znać do Fortu Bożego o tym tragicznym wydarzeniu, zwalając całą winę na twoich ludzi rzekomo przebywających w Churchill. Twoja interwencja w samą porę popsowała im szyki. Szczęście uśmiechnęło się do ciebie, ale i do mnie również, gdy znalazłem Eileen i mogę przysiąc, że moja narzeczone nie miała pojęcia o zamierzonym porwaniu ani o całym tym ohydny spisku. Ojciec oszukiwał ją na równi z tobą. Słuchaj, Fil...

Gregson pochylił się przez stół i po raz pierwszy w jego oczach błysła pokorna prośba.

— Słuchaj Fil, gdyby nie Eileen, nie byłoby mnie tutaj. Omal nie odebrała sobie życia dowiedziawszy się wszystkiego o ojcu. Wtenczas właśnie, widząc ją tak doszczętnie złamaną, wyznałem swoją miłość. Ułożyliśmy wspólnie pewien plan. Towarzyszyłem im w podróży. Określonego dnia Eileen udała, że jest chora. Rozbiliśmy obóz nieco w głębi lądu. Obu indiańskich przewodników odesłałem do Churchill z powrotem, gdyż nie życzyłem sobie świadków decydującej rozmowy. Wyznam ci jeszcze jedno: przez egoizm i dla świętego spokoju, zamierzałem skłamać. Brokaw opłaciłby milczenie Thorpe'a, przelałby na ciebie swoje prawa w spółce i ty nigdy nie dowiedziałbyś się niczego. To Eileen kazała wyznać ci prawdę. To jest jej spowiedź, nie moja. Na zakończenie usłyszałem z jej ust słowa następujące: „Wiem, że mnie kochasz. Ale żoną twoją będę mogła zostać dopiero wtenczas, gdy Filip nam przebaczy. Wiem zresztą, że na przebaczenie nie zasługuję“.

Cóż ci jeszcze dodać? Pokazałem Brokawowi cień nadziei. Przeleje na ciebie swój urząd w Kompanii oraz odda ci te sześćset tysięcy dolarów, które się obecnie znajdują w kasie, a które zamierzał sobie przywłaszczyć. Ponadto, za straty poniesione z jego winy zapłaci ci jeszcze pół miliona, niemal wszystko co posiada. Zniknie z horyzontu raz na zawsze. My oboje z Eileen znajdziemy sobie jakiś spokojny zakątek i obiecuję, że nigdy już o nas nie usłyszysz. Oto co mogę ofiarować w zamian za nieoddawanie sprawy do sądu.

W ciągu tak długiej przemowy przyjaciela, Filip nie odezwał się ani słowem. Siedział jak skamieniały. Wściekłość, zdumienie, oburzenie ścierały się w nim na przemian. Dopiero lekkie

pukanie do zamkniętych drzwi przywołało go do rzeczywistości. Zasuwa podniosła się wolno i w progu stanęła Janka. Poprzez łązy nie dostrzegła nic więcej, prócz sylwetki ukochanego człowieka. Z głośnym płaczem wyciągnęła do niego ręce, Filip zaś skoczywszy naprzeciw porwał ją w ramiona.

Tuląc dziewczynę do piersi, ponad jej schyloną głowę Filip zobaczył Gregsona, który ze zwieszonym czołem opuszczał właśnie izbę smutny i przybity, jakby go gniozło brzemień wstydu. Czyniąc dłonią przyjazny gest, Filip zawołał.

— Greggy, stary przyjacielu, podziękuj Bogu jeśli znalazłeś miłość równie silną. Straciłbym własne szczęście gdybym nie potrafił uszanować twojego. Wracaj do Eileen. Powiedz Brokawowi, że zgadzam się na wszystko. Potem przywieź tu do nas Eileen. Janka pokocha ją z pewnością!

Janka, odwróciwszy się szybko zobaczyła już tylko w drzwiach plecy Gregsona.

ROZDZIAŁ XXIV

KARTA Z MEDALIONU

Po wyjściu Gregsona, oboje, Filip i Janka milczeli czas jakiś. Mężczyzna gładził tylko pieszczotliwym gestem miękkie włosy dziewczyny. Serca mieli zbyt pełne uczucia i po prostu brakło im słów. Lecz Filip wiedział, że nie wolno mu tracić głowy. Rewelacje Gregsona, wraz z którymi dobiegała końca zbrodnicza kampania prowadzona przeciw niemu osobiście, mniej zaprzątają mu myśli, niżli dalszy los Janki. Umarli zarówno ojciec dziewczyny, jak i Piotr wraz z nimi zaś zesła do grobu ciężka tajemnica. Prócz niego i Janki nikt nie był jej świadom.

Janka podniosła naraz oczy, spoglądając na niego z ufnością i oddaniem. Spytała bardzo prosto i spokojnie:

- Kochasz mnie?

- Ponad wszystko na świecie — odparł Filip. Obserwowała go nadal tak uważnie, jak gdyby poprzez

okienka żrenic usiłując zajrzeć w głąb duszy.

- Czy wiesz o wszystkim? — szepnęła po chwili milczenia.

Przygarnął ją znów bliżej.

- Janko, wszystko jest właśnie tak, jak być powinno. Jak to dobrze, że znaleziono cię w śniegach. Jak to dobrze, że ta śliczna kobieta z portretu jest twoją matką. Nie chciałbym zmienić niczego, gdyż gdyby cokolwiek podległo zmianie najmniejszej, nie byłabyś tą Janeczką, którą tak kocham. Nacierpiał się moje biedactwo, lecz ja również miałem swoją dozę cierpienia. Bóg pozwolił nam wreszcie znaleźć się nawzajem. Wszystko będzie już odtąd dobrze, moje ty kochanie najmiłsze!...

Gregson wychodząc zostawił drzwi uchylone. Powiew wiatru rozwarł je teraz szerzej. Z zewnątrz doleciał naraz dźwięk, wobec którego słowa zamarły na ustach Filipa. Janka zaś drgnęła wyraźnie. Oboje nie łudzili się ani chwili co do natury dalekiego hałasu. W oddaleniu, poza łańcuchem wzgórz, na krańcu jeziora gęsto huczały wystrzały. Ręka w rękę podbiegli do drzwi.

— To wódz Sashigo! - dyszała Janka. - Zapomniałam o nim zupełnie. Tam się biją!

Do chaty wszedł Mac Dougall, który daremnie oczekiwał do tej pory nadejścia Janki.

— Strzelają! — rzekł, ruchem głowy wskazując kierunek. - Co to znaczy?

— Zaczekamy i zobaczymy - odparł Filip. — Poślij paru ludzi na zwiady, Mac. Gdy odprowadzę pannę D'Arcambal do żony Cassidy'ego, przyjdę również.

Oddalił się szybko wraz z Janką. Nagły poryw wiatru z południa przywiał wyraźniejszy huk palby karabinowej. Wkrótce zresztą strzały zrzędy, odzywając się jedynie pojedynczo, w znacznych odstępach. Wreszcie nastąpiła dłuższa cisza, aż zabrzmiał daleki, gardłowy wrzask triumfu Indian Cree: wrzask zrodzony z leśnego echa, wycie wilcze na krwawym tropie. Potem cisza zapadła znowu, tym razem na dobre.

Poczuł jak palce Janki zaciskają się na jego dłoni.

— Nikt się nigdy nie dowie - uspokoił ją Filip. — Nawet Mac Dougall nie zgadnie co zaszło tam dzisiejszej nocy.

Zatrzymał się o kilka kroków od chaty Cassidy'ego. Okna świeciły przyjaźnie, z wnętrza zaś dobiegał wesoły śmiech dwojga dzieci. Czule przyciągnął dziewczynę do siebie.

— Prześpisz się dzisiaj tu, a jutro udamy się razem do Fortu Bożego.

- Muszę wrócić dziś — sprzeciwiała się Janka. — Poślij ze mną kogokolwiek, sam zaś

przybędziesz jutro... z Piotrem.

Pogładziła mu pieszczotliwie twarz, przy czym to delikatne dotknięcie wyraziło większą miłość niż najczulsze słowa.

- Rozumiesz, kochanie — tłumaczyła, dostrzegając niepokój w jego oczach - dziś jestem silna. Potrafię przygotować ojca zanim ty przybędziesz.

- Poślę z tobą Mac Dougalla — zgodził się Filip po chwili namysłu. — Później udam się za wami.

- Z Piotrem?

- Tak, z Piotrem.

Stali jeszcze chwilę nie wchodząc do chaty, po czym Filip, unosząc ku sobie twarz dziewczyny poprosił serdecznie:

- Czy chcesz mnie pocałować, kochanie? Z własnej woli, po raz pierwszy?

- To wcale nie będzie pierwszy raz — wyznała Janka szeptem. — Bo wtenczas, gdy uratowałeś mnie z porohów i sądziłam, że umrzesz...

Po upływie pięciu minut Filip wrócił do Mac Dougalla. W izbie prócz młodego inżyniera znajdowali się jeszcze Robert, Heshaw, Cassidy i Lecault.

- Wysłałem braci St. Pierre dla zbadania przyczyny strzałów — rzekł Szkot. — Patrz, ilu robotników tłoczy się koło magazynu. A tam na górze płonie ognisko. Ludzie sądzą, że to Indianie zdybali parę łosi i polują przy świetle ognia.

- Mają zapewne słuszną — spokojnie przyświadczył Filip. — Chodź no tutaj, Mac, chcę ci coś powiedzieć.

Odeszli nieco na stronę, po czym Filip opowiedział w paru słowach to, co uważał za stosowne wyjawić; zatem o roli Thorpe'a i coś niecoś z wieści przyniesionych przez Gregsona. Potem przeszedł do spraw dotyczących bezpośrednio Janki.

- Mam wrażenie, że wraz ze śmiecią Thorpe'a kończą się nasze kłopoty, Mac. Ofiaruję ci zajęcie znacznie miłsze niż walka o całość obozu. Panna D'Arcambal musi koniecznie wrócić do domu przed świtem i dla towarzyszenia jej w tej podróży wybrałem cię właśnie. Mac, ona zostanie wkrótce moją żoną i ty zupełnie nie masz pojęcia, jaki ja jestem okropnie szczęśliwy!

Mac Dougall nie okazał zbyt wielkiego zdziwienia.

- Zgadłem już — rzekł krótko, po czym szeroko uśmiechnięty wyciągnął do kolegi prawicę. — Ślepy spostrzegłby to. No a ta strzelanina w oddali i śmierć tego Metysa, czy także mają coś wspólnego?...

- Dowiesz się niebawem! - przerwał mu Filip. - Dziś lepiej nie zastanawiaj się nad niczym. Panna D'Arcambal musi natychmiast wracać do domu. Czy możesz jej towarzyszyć?

- Ależ z przyjemnością.

- Może jechać konno do rzeki, a tam wskaże ci miejsce, gdzie się znajduje łódź. Rankiem podążę za wami i przywiozę zwłoki Piotra.

Kwadrans później Janka z Mac Dougallem odjechali w kierunku Churchill, gdy tymczasem Filip ścigał ich wzrokiem dopóki nie znikli w mroku nocnym. Bracia St. Pierre wrócili dopiero po upływie godziny. Filip czuł się dość nieswojo, gdy ci dwaj ciemnolicy myśliwi, wszedłszy do biura oparli najpierw o ścianę długie swoje rusznice. Istniała obawa, iż Sashigo zostawi na polu walki niepożądane jakieś ślady, nic, po której będzie można dojść do kłębka. Lecz bracia St. Pierre nie znaleźli nic zgoła, toteż tłumaczyli powód strzelaniny tak samo jak Mac Dougall. Widocznie Indianie napsuli tyle prochu w daremnym pościgu za stadem łosi, a ogień rozpalili dla oświetlenia terenu łowów.

Dopiero koło północy Filip odzyskał nieco spokoju, nabrawszy przekonania, że istotnie wszyscy ludzie Thorpe'a padli w walce z Indianami i że obozowi nic już nie grozi.

Rozpuścił wtenczas swoich robotników, zatrzymując jednego tylko Cassidy'ego, któremu polecił spędzić noc w biurze. Sam zamierzał przygotować ciało Piotra do ostatniej podróży.

Koło pryczy, na której leżał Metys, płonęła słabym ogniem lampa olejna. Filip wyżej podkręcił knot, chcąc zyskać nieco więcej światła. Z uczuciem zdziwienia oraz głębokiego żalu stwierdził, że zastygłe rysy noszą piętno czulego uśmiechu. Ani chwili nie wątpił, że Piotr skonał z imieniem Janki na ustach. Zdawało się nawet, że człowiek ten nie umarł wcale, tylko po prostu śpi, marząc o swojej wielkiej dozgonnej miłości.

- Niech ci Bóg błogosławi Piotrze, stary przyjacielu - powiedział Filip głośno, czując jak go coś ściska za gardło.

Usunął nieco zimne ręce skrzyżowane na piersi, uchylił koca, który zakrywał nałożone pośpiesznie bandaże. Na obnażonym ciele w pobliżu serca spoczywał złoty medalion. Po raz pierwszy przyjrzał mu się uważnie. Był wielkości połowy dłoni męskiej, płaski, silnie pogięty. Filip wzdrygnął się zrozumiawszy co zaszło. Oto kula, która zabiła Piotra, ugodziła wpierw medalion naruszając zamknięcie. Filip wziął klejnot do ręki. Wtenczas zobaczył, że przez powstałą szczelinę wygląda cienki skrawek papieru. Odkrycie to kazało mu nawet zapomnieć na chwilę o obecności trupa. Piotr nigdy nie otwierał medalionu, gdyż staroświecki kluczyk dopasowany do miniaturowego zameczka musiał się gdzieś zgubić. Ale przecież medalion ten nosiła na szyi Janka. Kto wie, czy ów skrawek papieru nie kryje w sobie jakiejś tajemnicy?

Ostrożnie, by nie uszkodzić cienkiej bibułki, Filip wyjął papier ze złotego wnętrza. Jak się spodziewał, zobaczył nakreślone kobiecym pismem wyrazy. Ledwo mógł je odczytać pochylony blisko nad lampą, tak silnie wyblakły z biegiem lat. Bo też kreślono je przed laty niemal osiemnastoma. Brzmiały zaś jak następuje:

Mój mężu, nawet Bóg nie zdoła już odmienić tego, co uczyniłam. Wlokę się oto z powrotem pełna żalu i wyrzutów sumienia, kochająca cię bardziej niż kiedykolwiek, by zwrócić ci nasze dziecko. Jest twoją córką, twoją i moją. Urodziła się ósmego września, siedem miesięcy po opuszczeniu przeze mnie Fortu Bożego. Należy do ciebie, więc ci ją zwracam, prosząc Boga równocześnie, by to dziecko złagodziło krzywdę jakiej zaznałeś ode mnie. Nie błagam cię nawet o przebaczenie, gdyż wiem, że na nie nie zasłużyłam. Skonałabym u twoich nóg gdybyś na mnie spojrział. Żałuję już tylko ze względu na nasze dziecko. Zostawię tę małą w takim miejscu, że ją na pewno znajdziesz, sama zaś odpokutuję niebawem za swój grzech, za moje bezprzykładne szaleństwo. Jeśli zaś Bóg pozwoli, duch mój zawsze unosić się będzie w pobliżu ciebie i może w śmierci znajdę wreszcie to, czego nie mogłam znaleźć za życia, to jest spokój.

Twoja żona.

Filip wyprostował się z wolna, patrząc w nieruchome rysy Piotra. Szeptał:

— Czemuś tego nie otworzył? Czemu? O, Boże, ileż nieszczęść dałoby się uniknąć!...

Czekał, w przekonaniu, że blade usta poruszą się jednak i dadzą mu odpowiedź. Potem wspomniawszy Jankę, jej pośpieszną wędrówkę do Fortu Bożego i te okropne rzeczy, które będzie musiał wyjawiać panu D'Arcambal. Ilu cierpień zaoszczędzi obojgu jeśli zdąży na czas. Rzuciwszy okiem na zegarek stwierdził, że Janka odjechała przed trzema godzinami. Mowy nie było o nadrobieniu straconego czasu, chyba że jakaś poważna przeszkoda zatrzymała ją w drodze.

Filip zbudził śpiesznie drzemiącego już Cassidy'ego, wyjaśniając mu w paru słowach, że musi natychmiast gnać do Fortu Bożego, że zatem poleca mu bezpieczeństwo obozu, ciało Piotra zaś ma

być odesłane następnego dnia z należnymi honorami i odpowiednią eskortą.

- Nie trzeba ci chyba szczegółowo wyjaśniać? - dodał Filip na zakończenie. — Będziesz wiedział jak należy postąpić?

A Cassidy, który przed pół rokiem pochował najmłodsze swoje dziecko, w milczeniu skinął tylko głową.

Filip pośpieszył do stajen, po czym, wybrawszy jednego z najściślejszych koni pocwałował w stronę Churchill. Od Zatoki Hudsona dał chłodny wiatr boleśnie kłując oczy drobinami gradu. To była zapowiedź zamieci. Jeśli wiatr skręci trochę bardziej na północny wschód, kruszyny gradu przeobrażą się w śnieg. Do rana ziemia zniknie pod białym całunem. Nim jeździec dotarł do krawędzi lasu poza pasmem wzgórz, wiatr dał już na całego, a drzewa skręcane przemocą jęczały jak żywe. Wspominając sztywne już zwłoki Metysa, Filip wzdygnął się mimo woli. Tej nocy, gdy Piotr znalazł w śniegu Jankę wraz z jej nieżywą matką, pogoda musiała być mniej więcej taka sama. Wiatr zmieniał już kierunek. Płatki śniegu polatywały coraz gęściej. Niebawem biały potop zasypał wszelkie ślady, zgęszczając mrok do zupełnej ciemności.

U końca lądowej drożyny, ponad wodą leżały dwa czołna, więc Filip wybrał mniejsze i lżejsze. Starał się wiosłować jak najszybciej, nękała go jedynie obawa, że przegapi ujście strugi skręcającej ku Fortowi Bożemu. Według zegarka wyznaczył czas odpowiedni, a po upływie godziny, trzymając się tuż koło zachodniego brzegu, zaczął wiosłować niezmiernie wolno i ostrożnie. W tym tempie robił najwyżej milę drogi na godzinę. Niebawem, gdzieś niedaleko ozwało się tęskne wycie psa. Najwidoczniej Fort Boży był tuż. Istotnie Filip znalazł czarny tunel wiodący w głąb lądu, gdy zaś wciągnął czołno na ląd, okna domu błysnęły ku niemu jarzącymi ognikami świateł. Lampy płonęły w pokoju samego D'Arcambala. Drzwi dworu były tylko przymknięte. Po cichu Filip wszedł do sieni i znajomą drogą skręcił do korytarza. W zupełnym milczeniu dotarł pod znajomy próg.

Wolno nacisnął kłankę. Władca Fortu Bożego siedział z pochyloną głową w obszernym swoim fotelu, Janka zaś klęczała u jego nóg. Znajdowali się tak blisko jedno drugiego, że rozpuszczone włosy dziewczyny kryły twarz starego człowieka. Na szmer kroków Filipa starzec podniósł głowę, a poznawszy kto przed nim stoi wyciągnął dłoń do przybysza.

— Mój synu! - powiedział.

Filip znalazł się od razu na kolanach obok Janki, zaś dłoń D'Arcambala opadła mu na ramię, tak ciężko, że Filip odgadł natychmiast, iż przybył zbyt późno, by oszczędzić tym dwojgu cierpień związanych z rozpamiętywaniem spraw dawno minionych, których istotnej treści zresztą nikt nie umiał odgadnąć. Janka ani drgnęła dostrzegłszy go obok siebie. Znalazł po omacku jej dłoń: była chłodna i sztywna.

— Gnałem z obozu na łeb na szyję — rzekł Filip. - Staralem się doścignąć Jankę. Na szyi Piotra wisiał medalion, a w medalionie było to.

Wręczył panu D'Arcambal skrwawioną kartkę papieru, po czym na widok zmienionej nie do poznania twarzy starca zrozumiał, że tych dwoje, ojca i córkę należy teraz zostawić samych.

— Poczekam w sali portretowej — rzekł, po czym wstając przycisnął do ust dłoń Janki.

W starym pokoju nic się nie zmieniło w ciągu tych paru tygodni. Portret matki Janki wisiał nadal twarzą do ściany. Na zewnątrz szalała wichura przesłaniając śniegiem szyby. Zbliżywszy się do okna Filip długą chwilę usiłował coś dojrzeć, na próżno, gdyż biały tuman kłębił się gęsty i nieprzenikniony. Wtem posłyszawszy kroki obrócił się do drzwi. W progu stali Janka z ojcem.

Twarz starego człowieka promieniała niezwykłym szczęściem. Zdawał się nie widzieć Filipa, nie widzieć w ogóle nikogo i niczego prócz odwróconego portretu na ścianie. Przemierzył pokój, wyprostowany, barczysty, wysoko niosąc siwą głowę i dumnym gestem jak ktoś, kto objawia światu

długo tajone arcydzieło, obrócił portret od ściany. Promienna twarz matki i żony uśmiechnęła się do obecnych. Jednakże Filip doznał wrażenia, że na krótką chwilę uśmiech opuścił drobne wargi, w oczach zaś błysła prośba o przebaczenie. Filip zadrżał. Zbliżywszy się do niego Janka wtuliła mu się w ramiona. Wtem stary D'Arcambal wyciągnął do obojga swe wielkie, silne dłonie. - Moje dzieci!... — rzekł.

ROZDZIAŁ XXV

SZCZĘŚCIE

Przez całą noc dął z północnego wschodu silny wiatr. Parę godzin po odejściu Janki wraz z ojcem Filip po cichu opuścił izbę, a wyszedłszy do sieni otworzył zewnętrzne drzwi. Słyszał, jak zawodzi wichura ponad szczytem Słonecznej Skały, jak się zмага z drzewami lasu, lecz mimo to starannie zamykając drzwi znalazł się na dworze.

Było ciemno i zimno. Kłujące śnieżynki na kształt drobnego śrutu, biły po głowie i twarzy. Kuląc głowę w ramiona Filip śpieszył pod osłonę skały, gdzie stanął nasłuchując burzliwej pieśni żywiołów. Myślał o rycerzu Grosellier, który przed dwustoma z górą lat odkrył czarowny ten zakątek. Czuł się na zawsze zespolony z tą ziemią, której nigdy już nie zamierzał opuszczać. Tu mieszkało jego szczęście najwyższe; tu, lepiej niż gdziekolwiek indziej, poznał wszechmoc bożą. Nigdy już nie porzuci tych stron. Obejrzał się na Fort Boży. Wszystkie światła już pogasty i jeśli nie sen, to spokój zupełny ukoił wreszcie udręczone dusze mieszkańców. Wracając do starego dworu, Filip miał wrażenie, że wiatr nie zawodzi mu, tylko śpiewa.

Zdrzemnął się dopiero nad ranem. Zbudziwszy się stwierdził, że zamieć ucichła, a nad nieskalaną białą śniegu świeci wspaniałe słońce. U szczytu Słonecznej Skały zdawało się płonąć jarzące ognisko; udręczony w ciągu nocy las otulił srebrny puch. Zdawało się, iż miniony huragan zostawił po sobie jedynie piękno, szczęście i spokój.

Podniecony i radosny Filip wyszedł ze swego pokoju, minął długą sień i właśnie na swojej drodze zobaczył — Jankę. Przez szyby pobliskiego okna słońce zlewało na nią cały swój blask. Promieniała szczęściem i urodą. Spuszczając oczy, szepnęła:

- Filipie!...

- Janko!...

Po cóż wargi miały się trudzić nad układaniem próżnych słów, gdy serca dopowiadały wszystko. Przytuleni ciasno wyglądali oknem. Jak daleko sięgał wzrok leżała biała pustka, po której przed laty Metys Piotr przyniósł małą Jankę. Dziewczyna załkała krótko. Podniosła na Filipa oczy pełne miłości i łez. W obie dłonie ujęła jego twarz.

- Czy dziś przywiozą Piotra? — spytała szeptem.

- Tak.

- Pochowamy go tam — rzekła jeszcze Janka, a Filip wiedział, że myśli o samotnym drzewie, pod którym spoczywa jej matka.

- Czy kochasz mnie? - spytała po chwili. - Czy kochasz mnie tak bardzo, by zostać tu ze mną na zawsze? Bo ja nie chcę szukać szczęścia gdzie indziej. Zamieszkamy tutaj we dwoje, tylko my, nikt inny.

- Na zawsze tutaj i na zawsze razem - z powagą potwierdził Filip.

Przygotowano na podstawie bookini.pl